

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



TADEUSZ MICIŃSKI

POEZJE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

W MROKU GWIAZD

STRĄCENI Z NIEBIOSÓW

*„Za karę będę na okropnej skale
stróżował stojąc – bez snu i bez ruchu –
jęk niczyjego mój nie dojdzie słuchu”.
(Eschylos)*

KOLOSSEUM

Ruinom podobne serce moje – ruinom ogromnym i bezkształtnym.
Mrok otulił rany moje, po lazurowych wschodach prowadzi mię zaduma w gwiazdy.
Orionie – bracie mój – w purpurowym zarzewiu wulkanów czytający księgę przeznaczeń –
i Ty, siostrzo moja, Andromedo, przykuta do skał –
i Ty, łamiąca dłonie Kassiopeo, której córę wzięło na pożarcie złe bóstwo – miłość –
i Ty, Perseuszu, coś ujarzmił obłąkane loty swojej wyobraźni –
i Ty, Liro – i Ty, Orle – i Ty najbliższa nam grzywo Centaura –
– o gwiazdy magowie, składający hołd wiekuistemu
Sercu! wzmocnijcie chlebem aniołów mnie – najciemniejszego
z tułaczów po otchłani.

Męczennicy, których krew użyźnia bryłę ziemi – dziewice,
niewinniejsze od lilij – młodzieńcy, dzielniejsi od posągów –
rozżarcie serce moje w trybularz wonności.

I wy, Geniusze, tworzący wszechład – ogień – wodę –
powietrze i ziemię – eter – gwiazdy i przeznaczenie gwiazd –
świeczniki boże siedmioramienne – skryształcie mię w klejnot wiedzy, na czarny węgiel
rzućcie iskry objawień.

Aniołowie – otom dzwon zaryty w piasku, – na wysokich górach postawcie mię bracisz-
kowie moi, abym dolinom opętany w mroku zwiastował Ducha Pocieszyciela.

O ruiny serca mego, ogromne i bezkształtne w mroku –
poryte wąwozami cieniów, które nie wiem dokąd zawiodą –
pełne więzień i klatek na potwory, łańcuchów – porzewiałych od krwi i od łez –
– Czarodzieje filtrują jady w przysionkach mych –
handlarze brązu rozkopują łono moje –
niewolnice kupczą wdziękiem Afrodyty –
dumna młodzież rozpędza rydwany dokoła cyprysowych alej –
lecz łasice gryzą się w ciemnościach, a świerszcze sykają nad upadkiem –
i tylko gwiazdy wświecają się w sznur obłąkanych nieskończonością okien –
a niebiosa rozwinęły się nade mną jako szafirowe żagle.

O przedwieczne rodzeństwo – aniołowie, geniusze i święci
– dźwignijcie księżyc z fali morza zamarzonego – niechaj
cyprysy moje napelni szmerami proroctw.

W ciemności schodzi duch mój – w ciemności rozżęczone
od szronu gwiazd – łyskające kopułą czarodziejskiego zamku,
gdzie białe rumaki stręcane są w głuche jeziora – a w fosforycznych grotach uczują widma
potępionych.

Tysiącoletnie drzewa rozpaczy nurzają się w lodowych zatorach, płyną szeleszcząc ku
bezdennym wirom – nad mglistym wyżłobionym lejem Anioł śmierci waży się w krwawym
płomieniu, niby dogorywająca na wieży latarnia.

Stało się –

zapadły pode mną niebios – kępa kwiatów pod stopą
kamiennego olbrzyma i mrok zgęstniał dookoła.

A nad głębiami Duch – gasi gwiazdy – i rozżarza wizje,
światniejsze od gwiazd.

ORLAND SZALONY

Kwiat purpurowy marznie w lodowni
w upiornych snach –
dusza się błąka z zarzewiem głowni,
by odgnać strach.

Tam – na Golgoty krzyżu zawisnął
skrwawiony kruk –
harfa gra cicho – skrzydłami błysnął –
u Jego nóg.
A więc ty dziki śmiechu zwątpienia
składasz Mu łyzy?
lecz to kość ludzką gryzły wśród cienia
złodniałe psy.

Hej, z maurytańskich śpiewnych sal
wybiega do mnie hurysa –
czarny płomienny jedwabny szal
z nagiego łona się zwisa.

Cyprysy – księżyc – fontann szmer –
zaczarowane ganki –
oddałem wszystkie gwiazdy sfer
za uścisk – Maurytanki

Newady śnieżne zimne szczyty,
gdzie orły z wrzaskiem krążą głodne,
sosen pachnących malachity,
mórz turkusowych szlaki wodne –

– widzę – czerwony mam puginał
i krwi na ciele moim plama,
gdym ją w uścisku już przeginał
ona o śmierć prosiła sama.

Na szafirowej snów głębinie
toną żałobne gwiazd mych łodzie.
A cień olbrzymi jest na wodzie
od chmury, która za mną płynie.

.....

Oh, w ciemnym borze
słowiki nucą –
oh, na przestworze
gwiazdy!

Polecę – polecę – polecę –
i umrę – u Twoich nóg –
w głębokiej zimnej rzece –
śniąc, że u Twych nóg.

Dusza jak płomień biały
przez morza leci w dal –
ja rycerz Boga – lecz o skały
zmiądzylem święty Gral.

W przydrożnej wisiał iwie
skrwawiony za mnie Mistrz –
ja mam ran więcej! – orły żywi?
mym sercem – burzo świszcz!

Ach, w modrzewiowym dworze,
gdzie na kominku płonie żar,
(obroń tej myśli, Boże!)
podejdę w ciemny jar –
– – wilkołak! będę pił twą krew –
i twoje dziatki – –
wydrę im z trzew
ten jęk – co serce opiekielni –
matki!
– – – Zawyje wicher, zawierucha –
i ujrzysz mojego ducha,
jak twojego męża głowę
będę włókł –
i uderzę nią o przydrzwia brązowe.

.....
i ujrzysz mię wśród zamieci,
jak będę go włókł i krwawił –
i wyć będziesz – ty – i twoje dzieci
a szatan będzie z borów błogosławił
tej mocnej – jak śmierć – zemście.

CZARNE XIĘSTWO

Pną się we mnie czarne kwiaty –
złote kwiaty,
krwawe kwiaty.

Nim Adonai przeklął Kainowe plemię,
w ogniach Mocy i Tronów –
i z kryształowych dzwonów
płynęły w rajskich melodiach na ziemię.

Ach, moich szaleństw złowieszczę bachmaty
wichrem spadających komet
uniosły mię w zamek Chimery –
gdzie na krzyżach rozpięte
ciała męczonych Andromed
i niemych Sfingów twarze wniebowzięte.
(... fosforycznie przyświecają
w studniach głębokich –
jednookich
olbrzymów do się zapraszają...)

Na rubinowym szczycie, oplatana w liany
zodiaków i w sennych mgławic protosfery –
ta Jeruzalem piekielna.
Jako płonące świeczniki
żarzą się wichrem rozszumione cedry.
Wśród kolumn czarnych olbrzymiej katedry
zaklęta postać leży Bereniki.
(...a hymn jej grają
zimowe bezdroża –
a skrzydła nad nią roztaczają
Samumy...)

Pośród nocy miesięcznej przez bory
orszak magów płynie w adoracji –
nad słoniami złota kiść akacji –
to królowie wyklętej Gomory.

W tańcu zwiewnym czarne bajadery
lśnią skarbami podziemnej Golkondy –
na warkoczach skrzą gwiazdy, drżą szmery,
jak kwiat mango w ściskach anakondy.

Wrzask tympanów, brzmia dzikie litaury
od pochodni goreją świątynie –
to na Olimp się wdarły Centaury

i w zadumie patrzą na boginię:
(a hymn jej grają
zimowe bezdroża –
a skrzydła nad nią roztaczają
Samumy).

Nad cysterną – wśród gorącej splecionej zieleni
kwiat niewoli brudną krwią się mieni
i zatapia w mrok siny swe łona –
duch za kratą wyteża ramiona.

Kiedy w rajskim dziwnym śnie,
kołysany szeptem tulipanów,
w mgły srebrzyste przyoblokłem Cię
na dalekiej wyspie Oceanów
(w dziwnym rajskim śnie) –
szafirową w ogniach różę
wydałem z mojego łona
i łzy szczęścia w gwiazd wicherze
przetopiłem w blask Oriona –
ach, ujrzałem Cię:
przeze mnie wyśnioną,
przeze mnie na wiek potępioną.

Bóg mściwy wyrwał ten mój serca kwiat
i wśród jaskiń księżycy pustyni
duchy węzów się wzniosły w las pinij –
a ze skał niebosiężnych gdzie był chram
patrzył na mnie fosforyczny zimny gad –
ze skał, gdzie się tuli śmierć do bram.

Ponad głębiami czarnych wód
leżę w bezchwiejnym cichym śnie
i marzę – że ty przyjdiesz mnie
tam strącić – w swój piekielny gród.

Na uczcie króla Baltazara
sfalszował mag żydowski Daniel
jej złote imię Upharisim.
A imię znaczy:
– nieśmiertelny
– i bogom równy!
– zejdź w zimny wilgny loch kościelny
– i zabij tę, co w trumnie śni –
– Mené – Mené – co w mroku łśni –
– jej duszę – serce tve –

- Mené – Mené!..
- a ja Cię wzniosę – bóg piekielny –
- ponad aniołów czyn nie dokonany
- ponad najgłębszą z gwiazd
- o której mędrcy marzą i szatany...

O pani konających, nasyć oczy moje.

LUCIFER

Jam ciemny jest wśród wichrów płomień boży,
lejący z jękiem w dal – jak głuchy dzwon północy
ja w mrokach gór zapalam czerwien zory
iskrą mych bólów, gwiazdą mej bezmocy.

Ja komet król – a duch się we mnie wicherzy
jak pył pustyni w zwiewną piramidę –
ja piorun burz – a od grobowca cichszy
mógł swych kryję trupiość i ohydę.

Ja – otchłań tęcz – a płakałbym nad sobą
jak zimny wiatr na zwiędłych stawu trzcinach –
jam blask wulkanów – a w błotnych nizinach
idę, jak pogrzeb, z nudą i żalobą.

Na harfach morze gra – kłębi się rajów pożoga –
i słońce – mój wróg słońce! wschodzi, wielbiąc Boga.

Mój duch łańcuchem skuty do ziemi
zwisa się w przepaść piekielnych łon,
a kiedy targnie skrzydły dźwięcznemi
głuche się echo ozwie jak dzwon.

U stropu mego gwiazda się żarzy
[serce me niegdyś kochało ją]
w przeanieleniu złotych witraży
ona się moją syciła krwią.

I znowu płynie gwiazdzista rosa
pocałunkami morderczych zórz –
oh, duszo moja, – oh, me niebios
rzućcie swe płomień w toń zimnych mórz.

Nie pragnę słońca – osamotniony –
z krzykiem złowieszczym upiornych snów,
bogowie mogli – jam był pojony
jak wy – ambrozją – i mlekiem lwów.

Organy grają Requiem żalu,
organy grają Centaurów zgon,
jak Damajanti płacze po Nalu,
tak burze, wichry, grady i szron –
wieczne są we mnie, jak łzy w opalu.

MELANCOLIA

Żyje we mnie jakiś głuchy płacz – jakiś szloch i płacz żyją we mnie –
niby w grocie kropel wieczny szmer, monotonnych kropel tajny jęk.
Ach, to pewno przez zbójców zamknięta ze złotymi włosami królewna,
(kasztelanka lub może pasterka) – z pól słonecznych, zielonych porwana,
zapomniana i w grocie zamknięta i na ostrych się gładkach krwawiąca,
złotowłosa mej duszy królewna.
Łzy jej płyną jak zimne opale – łzy jej płyną wśród nocy bez końca
i w kryształ się lodów zwisają – w zamyślenia wiszące kryształy.
Raz przypełznął za szmerem do groty – wąż kusiciel tych głuchych podziemi,
usta chciwie przyłożył do źródła, lecz się wzdrygnął przed blaskiem nieznanym.
A wtem ujrzał w szafirach królewnę – i swe oczy głębokie, zielone –
swoje oczy widzące w ciemnościach utkwiał w bladą płaczącą królewnę –
i mądrymi oczyma pocieszał i prowadził ją w otchłań głęboką –
fosforycznie oczyma przyświecał – i prowadził ją w otchłań głęboko.
Aż pod ręką skrwawioną, co szuka w mroku oparcia,
grać poczęły jak dzwony bólów zamarzłych kryształy:
chór wyklętych pielgrzymów nuci pieśń grobu świętego,
tarcze błyskają, miecze – wśród kolumn czarnych bazaltu –
wstają z grobów olbrzymy – szal rozpędzonych rumaków
niesie ich w ognjach kłębiących przed gniewny w piorunach Majestat.
Nagle śpiewy zamilkły – głucha rozwarła się otchłań –
widać wśród ścian obślizgłych mgłą wirujące jezioro.
I na zwilgłym grobowcu drżąca spoczęła królewna,
w otchłań patrzy bezgwiezdna – w świątyń zagasłych jezioro.
Wtem ją mocne ramiona objęły w krzyku bezdźwięcznym
i uniosły nad otchłań skrzydeł sześcioro
i ujrzała cudowną w blasku miesięcznym – twarz Lucifera.

Oto mej duszy świątynia – z czarnych, jak miłość, marmurów,
gdziem lud spiżowych posągów zaklął nad głębią rozpaczy.
Niech wicher morski gra, niech strąca lwów – Poskramiaczy
w płynny wulkanów żar – w ogniowy pałac Ahurów.
u napowietrzny most z bolesnych krwawych stygmatów
między górami na morzu, jakoby nici pajęcze –
i tu Cię będę niósł, jak chmura porwaną tęczę,
na ten najwyższy cypl – w zorzy polarnej dwóch światów.
I Tobie oddam regiony, co w skalnych zboczach mej duszy,
jak ametysty lśnią: sny prerie; sny jak miesiąc w borze,
tę ścieżynę modlitwy, którą szedł Chrystus raz w mroku.
A dla mnie to bezbrzeżne kraterów gasnących morze,
upiory światła, wieczność, której już nic nie poruszy –
chyba ten Bóg – co przyszedł mię potępić – w Twoim wzroku.

KAIN

Wyszła mi z boru – w złocie warkoczy
z twarzą indyjskiej Bogarodzicy –
w błękitnych iskrach – w srebrnej przeźroczy –
nadksiężycowej wieszczka świątnicy...
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy –
ach, – i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

Jak wulkan krwawy w łonie Arymana,
jak Samum, gdy się wichrami rozuzda –
tak we mnie otchłań – gwiazdami przetkana
leciała w państwo słoneczne Ormuzda.
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy –
ach, i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

Nie wzbraniał mi jej smok, żelazna wieża,
zdradny labirynt ni królewskie ramię –
miłość zwycięży wszystko – wszystko złamie –
ale nie miłość drugą do pasterza.

Więc Śmierć przyzwałem – i śmierć odtąd żyje
i wszechświat cały grobowcem przywarła –
– – – czuję mdły powiew – –
– – w oczeretach gnije – –
z tęsknoty – u nóg mych – umarła.

Na pustej trzcinie rozpiąłem jej włos –
nad śniącą rzeką schyliły się drzewa –
wiatr cicho płacze – ptak mogilny śpiewa –
to los mój – los!...
głębiny tajne pruć –
milczenia głuche mącić –
jako stracona łódź
od brzegu się odtrącić –
mieć gwiazdy – gwiazdy rzucić –
i tylko piosnkę nucić –
to los mój – los!...

Magia mej duszy niechaj Cię wywoła
z zarzewia komet czy z mroku przepaści –
przyjdź – ustroimy w lotus nasze czoła
i gibkie ciała nasze nard namaści.

Pachną mi dziwnie Twoje złote włosy,
jak prześwielone senne kłosy.
Twych oczu lazur, jak górskie jeziora,
w których się pławi czarna sykomorą.
A Twoje usta, pachnące jak róże –
chłodne – jak płomień zaklęty w marmurze.
W ogrodach piersi kwitnące jabłonie,
jakoby księżyc w mgieł srebrnych oponie.
Biodra toczone ze słoniowej kości,
jako indyjska świątynia miłości.

O przyjdź – na liściach zwiędłych piszę
ten sen mój obłąkany –
rzucam je w strumień łez moich wezbrany –
niechaj w anielskie odpłyną zacisze – –

Ale mi włócznieią swą miedzianą
potrząsasz – i groźna jak mrok –
rozdzieraszą serce moje –
czarną pianą
dysze mi toń – ja pieczar tych smok –
weź moje skarby i Twe zimne serce –
opasz – niech błyszczą!

Szmaragd Ci wspomni te zielone łąki,
po których szliśmy strojnie w asfodele –
rubin – czyścicowe jeziora rozłąki –
i miłość, którą oddałaś w kościele
innemu – a diament – moje serce dumne,
stopione w ogniach i rzucone w trumnę.
Na czole Twoim płomień chryzolitów,
abyś widziała gwiazdy konające –
ortoklast zimny, smutny jak miesiące
zamrozi w oczach Twoich sen błękitów.

Ale ci jeszcze składam te szafiry
i perły jak chmury bezdomne,
i krwawej jaszmy obłąkane wiry –
na znak, że Ciebie nigdy nie zapomnę –
pierścien Ci włożę z mrocznych karbonatów,
bo się spotkamy – za progiem tych światów.

Kiedy Cię moje oplotą sny –
 jak białe róże –
nie bój się kochać – ja – i ty
 w nieba lazurze.
Ziemia, jak echo minionych dni,
 grające w borze,
a nasze duchy wśród martwych pni
 wieszają zorze.
Serce mi splatasz koroną gwiazd,
 hymnem warkoczy –
pode mną góry, wieżyce miast –
 nade mną – oczy.
Dziwnie się srebrzysz, aniele mój,
 w tęczowym piórze –
fontanny szemrzą, gwiazd iskrzy rój
 woneją róże...

Jest serca kraj na modrej morza fali,
gdzie Centaur dzikiej poucza mądrości,
gdzie bór indyjskie rozwiesza wonności
i w wodospadach rzeka się kryształy.
Tam żyjesz Ty – i Bóg mi Cię zazdrości –
weźmie Cię – gdy serce moje spali.

Błękitnym echem letniej żarzy,
szumem kwiecistych traw –
głęboko na dnie łśni i marzy
w czarze krateru staw.

Podziemnych duchów serce szklane
gra Bogu dziwną pieśń –
jak Anioł dumne, nieskalane
przez łzy ni pleśń.

Tu chciałbym marzyć w noc gwiazdzistą,
na czole mieć Twą dłoń –
i zejść przed jutrznią w uroczystą
głęboką zimną toń.

Lecz wiem, że wznosząc nad anioły
rajów Ci oddam moc –
sam w głuche muszę iść padoly
w głęboką zimną noc.

Na księżycu czarnym wiszę
patrząc w gwiazd gasnących ciszę.
W mroku dumnym i bezgłośnym
ze strzaskaną harfą snów
płynę – szukam jej –
nie odnajdę już.

INFERNO

Wichry i dżdże – niebo od gromów rozdarte,
wężę błyskawic i wycie szatanów –
duch mój zgnieciony głębią Oceanów
szyderstwem kłuje swą zastygłą wartę.

– Ha, Belfegorze! doli twej zazdroścę,
bo ogień chłonąc, jak ptak nieśmiertelny –
światów gasnących bard, księżę udzielny –
w Ławrach swych grzebiesz mar anielskich moszcze.

Skrzył fosforycznie, choć mróz lodowaty
ścinał me żyły. I wyciągnął skrzydło
i pot uronił na żelazne kraty –
syknęły z bólu – i pękły. Straszycło
wszponia się we mnie swym wzrokiem bez powiek
i szepce: masz mnie – jam twój skryty człowiek.

ANANKE

Gwiazdy wydały nade mną sąd:

- wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd.
- Ty budowniku nadgwiezdnych wież
- będziesz się tułał, jak dziki zwierz,
- zapadnie każdy pod tobą ład –
- wśród ognia zmarzniesz – stlisz się jak lont.

A gwiazdom odparł królewski duch:

wam przeznaczono okrężny ruch,
mojej wolności dowodem błąd,
serce me dźwiga w głębinach ład.
Poszumy płaczą mogilnych drzew,
lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja budowniczy nadgwiezdnych miast
szydę z rozpaczki gasnących gwiazd.

KALLYPSO

Oh, brylantowe iskry na czarnym szafirze
niebiosów – oh, serca mojego łabędzie...
grobowce straszą mnie, cyprysy w kirze,
a jego nie ma, nie będzie...
Lira mi pękła na grani ołtarza
gdybym chciała serce wypłakać swym śpiewem,
Na górach pali się wulkanów żarza,
jak kiedy leżał rozbitek pod drzewem.
W brązowej twarzy, okolonej mrokiem,
paliły się oczy straszliwe:
skrzydlate słońca gdzieś w jarze głębokim,
dumne, szalone, złe a razem tkliwe.
Raz – kiedy Centaur konał z mego noża –
(poznaję teraz – kara boża...)

Agralu! owoś pędził obłąkany
po kamienistych puszczech i uroczną pieśnią
zakląłeś gwiazdy, Kocytu szatany,
abym ja była z tych, co w mękach nie śnią,
powieki mając kleszczami obcięte –
dni moje – jako trawy zżęte...
Bóg mi się zjawiał w czerwonym piorunie,
za miłość moją darząc tron z niebiosów –
lecz jam wolała wśród lilij i wrzosów
słuchać rapsodu na spiżowej strunie:
noc – pożar – wyróżnione narody
i obłąkane widziadłem dziewice...
Leciały do mnie duchów korowody
za swą królowę biorąc – Osmętnicę;
więc czarodziejskie tworzyłam im raje –
kwieciste, wonne zapomnień ruczaje.

Był zmierzch. A na dnie groty gwiazdy się w jeziorze
złociły, jak połamane w hieroglif miesiące –
on – na samotnej skale, wychodzącej w morze
płakał – i słowa rzucał gorejące –
krzyk przeraźliwy, niby orła w klatce –
wnętrza zadrgały we mnie – a już w matce.
...Płyn! do ojczyzny tęsknisz pewnie –
płyn!... nogi całowałam rzewnie.
Z wichrem poleciał w burzliwej zawiei
straszydła ścigać i lądy nieznane,
Fal słucham morskich, zapatrzona w pianę,
jako w trujący błądliwy kwiat nadziei.

O ty, co zimne okrążasz padoły
samotny ogniu! w zagrobowej ciszy
siejący marzeń srebrnych asfodele –
oto ofiarne ci składam jemioly –
powiedz tej Mocy, która serc nie słyszy,
że tak się zetli, jak serce – w popiele.

KORSARZ

Żywiłem mowa huragany wód.
Lecz pomnę, żyłem nad brzegami rzeczki,
poły wonią mnie drobne kwiateczki
i wierzb otaczał pieszczotliwy chłód.
Migały rybek szybujące strzałki,
jak pierś kobieca świecił piasek miałki –
woda szeptała: baw się ze mną, baw...
Wtem usłyszałem nade mną w purpurze
orły lecące piersią przeciw chmurze,
jak przeciw Persom para greckich naw.
I szął mnie porwał – i miecz zardzewiony
rzuciłem w serce kochanki wysnionej –
i biegłem w puszcze, choć słyszałem jęk.
A Bóg mnie przeklął. Ja przekląłem Boga.
Odtąd me serce nie zna, co jest trwoga
i mowy innej, nad fal ciemnych dźwięk.

Na skałach leżał okrętowy tram.
Topór do ręki. Wypłynąłem śmiało
słońcu naprzeciw, co jeszcze nie wstało.
Nade mną orły dwa. Ja człowiek – sam.

Tak jestem smętny, jak kurhan na stepie –
a tak samotny, jak wicher na morzu –
a tak zbłąkany, jak liść na bezdrożu –
a tak zwinięty, jak połoz w czerepie.

Straszą mnie widma i tajemne zbrodnie,
śpiewają rajów skrzydlate Ahury –
gdybym rozedrzeć mógł na sercu chmury
rzucałbym gwiazdy sercom bezpodobnie!

Gdybym ja nie był druid skamieniały,
bóg bez wieczności i król bez korony –
gdybym ja nie był ptak morski szalony –
gdybym ja nie był od męki szerniały,
gdybym ja nie był jak śpiew na mogile –
powiódłbym – na Termopile!

W zaczarowanym lesie, pełnym jaśni
błądzą głębokie cienie, pełne łez –
ach, serce moje drży od łez,
jak dziecię przerażone w baśni.
Na śniegu złote lśnią kaczeńce,
lilowy szafran, blady szczaw –
słońcu się kłonią: my straceńce,
lecz Ty nas w róży świetnej zbaw.
A słońce szydzi na lazurach:
powiędną róże, zmierzchną bzy –
lecz ja was pomszczę w ciemnych chmurach
dobędę piorun z waszej łzy.

Nade mną leci w szafir morza
obłok, pojony mlekiem gór –
nade mną śpiewa ptaków chór –
motyl, kochanek lilij łoża...

A ja pod mrokiem łzy-kamienia
sączę swój ciemny jad, –
lecz śmiać się będę z przerażenia
tego, kto zerwie kwiat.

Rycz burzo! wicherze, potargaj te sznury,
w których mię dławi nędzny karzeł – ziemia –
i rzuć na przestwór, gdzie duch się oniemia
w kabalistyczny poemat natury.
Mroku podziemny! Twe głuche urwiska
wiodą mnie w grobów zapomnianych szpaler –
ja – Prometeusz przykuty do galer –
lękam się zimnych gwiazd urągowiska.
Ogień tajony serce moje kruszy,
jako lodozwał granitową skalę.
Pelion na Osse! morze rozszalałe,
wulkany, słońca na zdobycie duszy –
i cóż posiadłem? kwiat z niebieskich pól –
cichy, bezkresny – niepojęty ból.

KRÓL W OSJAKU

*„Lew się ducha we mnie sroży
i rzuca się i rwie ludzi
wprzód, nim się rozum obudzi”.*

Łuną rozpaczy zażegajac siola
zbiegłem, żywota nie chroniac przed tużbą.
Innego nie chce, prócz ciszy, kościoła,
fałszywcom nie chce być swakiem, ni družbą –
niechaj nas morza przedziela i step –
w miejsce korony wdziałem wilczy łeb.

Polszcza... kochałem ja się w twych rumieńcach,
którymi zorza wschodziła z za boru –
i w twoich złotych warkoczach i w żeńcach –
i w łyskawicach letniego wieczoru,
i w ryku żubrów, idących na spój...
od szlochu pęknie pierś... Boh mój!

Przez ducha mgły i w zbroic chrzeście
widzę ten cudny gród – w sadach wiśniowych i w złocie.
Tutaj zdobyłem cześć – i tu straciłem szczęście –
tu greckiem wino lał bogini mej – Tęsknocie –
tu Antygony cień ślepy mi przyzwał Mag –
i tu wśród ciemnych burz słuchałem dzikich sag.

Hej, przy księżycu srebrnymi podkowy
zmiałałem kowyl z družyną po stepie...
Hej, znawały mnie panieńskie alkowy,
bo serca rubin pieśniami rozszczepię!
ja prosty rycerz – bard słońca i pól
więcej zdobyłem królestw, niżli – król.

Raz – osaczywszy połowieckie wieże
zsiadłem, rannego mając tabuńczyka –
a słońce krwawe już otwarło dźwierze,
przez które dusza Bogu się wymyka;
a na kurhanie stary Bojan grał –
miedziane struny wieszczą pieśnią rwał.

I zmilkł. Ujrzałem olwijską kniaziównę
na koniu w cwał lecaącą z Czarnomorza –
Stanęła, klęka. Oczy gwiazdom równe
wbija mi w serce, mówiac: „ta krwi zorza –
to moje władztwo! zgłiszcza – to mój dom!
biegłam – monachów mając z nożami – lub srom:”.

Com odrzekł – nie wiem, bo chóry Eonów
już mnie objęły w grające pierścienie –
i blask poczułem, jak jeden z tych Tronów
na których gwiazdne oparł Bóg sklepienie.
Szliśmy – tęczami obryzgani ros
z kurhanów leciał dziwny – rajski głos.

Lecz któż, o Panie, zmierzył Twe krawędzie
i wieczność morza przelał do swej dłoni?
Któż wie, co było – i któż wie, co będzie?
za spadającą gwiazdą któż pogoni?

Pani! jedyna moja – wszechświat w Tobie
poznałem, bom go ukochał przez Ciebie!
i jeśli teraz żyję smętny w grobie,
to z wiarą, że się ocknę w Twoim sercu – w niebie
Ach, gdym Cię złożył na marach otrutą –
bólami ściętą twarz – źrenice szklane –
tom ja przysięgnął taką pomstę lutą,
jak Duch – co pisał ogniem: Thekel-Mane!

Przez nocy tysiąc szukałem zbrodniarza,
w gusła zabrałem i w czarne zakłęcia –
Szatan objawił: zbrodniarz u ołtarza –
– służy mnie – ale ma wygląd jagnięcia –
– służy mnie – ale go oddam bez żalu –
– ażebyś poznał bratyma w szakalu.

– Tyś go paizem swym zasłaniał w sieczy –
– niejedna tobie zań przyłgnęła rana –
– ale jest zdrady pełen duch człowieczy,
– gorszej – niż ciało paląca toffana.
– Idź w grób – i legnij pod ciemnymi jodły,
– wszystkie cię gwiazdy prócz jednej – zawiodły.

– I tę jedyną – Tobie zadmuchięto.
– Ale masz w sobie, czego nikt nie zżarzy:
– Prometeiczny ogień – duchów święto –
– w zamurowanym lochu blask witraży...
Coś mówił jeszcze – koń mój zdębion trwogą
szedł jakiś żebrak lichy wiejską drogą.

Rozsiekleń. Z świstem lecąc przez mokradła,
deptałem węże jako srebrne struny –
a z borów na mnie leciały widziadła
i twarz zielona z nadpróchniałej truny –
Wtem kościół. Z koniem wjechałem do nawy,
lud śpiewał. Chrystus patrzył na mnie łzawy.

„Nie będę Tobie służył, Jezu miły,
boś nie jest Bogiem gwiazd ani ananki”.
Na wieży dzwony same rozdzwoniły
i same gasnąć poczęły kaganki –
on – słońce krzyżma wzniósł – lecz patrzył groźno –
już leżał w krwi...

Ja król – ja sędzia – archanioł sumienia –
zbirem stanąłem przed lico ojczyzny.
Czemuż w mym sercu nie dotknęła blizny,
którą korona mi wryła cierpienia –
czemuż na gwiazd mych nie patrzy agonię –
krzyżową mękę moją: rex Poloniae!

Jeśli niewinny – niebo mu otwarłem,
sam żyjąc w piekle miłości straconej,
jeśli męczennik – jak lew go rozdarłem,
ciemnym nieszczęścia grotem przebodzony –
bo huczy we mnie tak ogromny dzwon,
że gdy uderzy – to aż w Boga tron.

Kto tu? znów przyszedł... oczyma przebija –
szepce – tak cichy rozpacznie i blady
„Jam święty – zbawił mię Chrystus Maryja” –
precz maro! szatan cię wysłał na zwiady –
któż wie cokolwiek? dusza ciemny bór –
dusi mię – słońca! – wieków chór...

Jak cicho... w małym ogródku przy celi –
czerwone maki i modre baldaszki
i te dziewanny, jak w złocie anieli,
i migocące lazuruowe ważki...
Czy z mazowieckich jezior wy? czy na jej kurhanie
gra pieśniarz? czy w borach tam słycać szlochanie?
...I odleciały!... a jam ryknął płaczem –
gardzą – nieszczęścia królem i tułaczem.
Ojczyzno! mych krwawiących kości
nie złożę w Tobie – bobym Piotrowinem
świadczył, wbrew ducha miłości –
żeś mi macochą była, choć ja – synem.

LAMENTACJE

Szumi wicher – płacze, w gałęziach jodłowych –
dokądże mnie wiodą bogunki żałobne?
– Poprzez góry, morza – przez wulkanów jamy
powiedziem braciszka na trójsen głęboki.
W pierwszym śnie on wyśni lico ukochanej
i będzie z nią płynął po złotych jeziorach;
a w drugim śnie bory, pałace wysokie,
miesiące czerwone i serce Chrystusa;
a w trzecim: głębokie groty lazuruowe
i gwiazdy grające – i że jest – szczęśliwy!

O siostry żałobne – czemuż mię niesiecie
w zimne kurytarze nad stojącą wodą?
Ale nie odrzekły – twarz mi zakrywają
i grają i łkają na czarownym flecie.

BAŚŃ

Śpią wierzchołki gór
w fioletowej mgle –
tajemniczy bór
ukołysał mnie –
i przytulił mnie –
usynowił mnie –
i do siedmiu cór
powiódł w białej mgle.
Błyszczący zamek szklanny
na czarnym ostrowie –
a kwitną dziewanny
i maków pąsowie...

Na bawolim zagrał rogu siwy groźny Bór –
wypłynęło na jezioro siedm królewskich cór.
Ta Bez serca, jako hiacynt, jak hiacynt różowy,
a Z węzami – jak lilija – lilija anielska;
nad Umarłą szybowały krogulce i sowy,
a Zakłątą owionęły mórz głębokich zielska.
Dumna rozpacz – na harfie lazuruwej grała,
Kwiat niewoli – łańcuchy do gwiazd przykuwała,
a Nieznaną – tęczowe kryją mi welony
i jak pierścień Saturna, grają złote dzwony.

Do łodzi mię proszą na bezchwiejne tonie –
i kwiatem paproci operlają skronie –
i płyną wśród skał pod mostem kamiennym –
idzie pacholę z krzyżem promiennym.

NOCE POLARNE

*„Oto nas dwoje na ogromnej pustyni,
wiec nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy;
a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy,
to nie opuści nas”.*

*„I dziwił się Anhelli, że była spokojną
o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię
wielką, a nawet krwią mając zmazane
ręce”*

Jak zwiędłe liście czernią me kroki na śniegu,
Noc cicha, błękitna mimo chmur.
Błyskają ognie gdzieś z tamtego brzegu –
wśród gór.
Noc cicha – mimo chmur – mimo zawiei.
Noc twórcza. Patrzę uśmiechniony
w życie i śmierć. Jam brat Amaltei,
ale z niebiosów strącony.
Apollo – Helios – Agni –
więcej ma duszo – nie pragnij.
Noc cicha, twórcza – borów szumy –
nad morzem księżyc skrzy –
W głębinie widzę tummy
i wieże trzy.
Na czarnej wieży biją dzwony –
to człowiek pogrzebiony.
Na purpurowej groźne straże –
tam przeznaczenie każe.
W trzeciej – co zowie się królewska –
lampa niebieska –
to Ty!

W mym sercu baśni o jutrzence
i fantastyczne kwiaty szronu;
w mym sercu jakby echo dzwonu;
w mym sercu zakrwawione ręce
grają na strunach miesiąca
odwieczny ciemny
hymn.
Schodzę w labirynt podziemny –
u stóp mych morze się roztrąca.

GLEBINY DUCH

W żelaznych trumnach króle Tatry.
Noc – wicher i warczenie chmur.
Noc – głębia i błyskanie watry.
Z topieli pełźnie okrwawiony Mór.
 Na głębie! na głębie!
 na serce morza pośród gór –
 wśród skał lodowo-śnieżnych
 wirują myśli jastrzębie –
 duch rwie się do bezbrzeżnych
 krain.

Odbijam tratwę w mrok i patrzę w śmierci jamę
i tworzę nową pieśń, jak Jubalkain –
olbrzymów pieśń – umarłych bogów dramę –
olbrzymów pieśń – Wöluspa i Szachname.

Wichry! śnieżyce! mych szałów tabuny!
przepaście! bory! słuchacze mych dum!
w zatorach zemsty law kipiących szum –
serc potrzaskanych tajemnicze runy –
księżycy, gwiazdy – me bracia – me struny!

Azalim skald? posiadłem dar cierpienia.
Azalim król? któż większe ma przestworza?
tak Atlantyda rzucona w głąb morza
tysiącem kolumn błyszczy się i spienia.

Znam bogów brzask: zielone oceany,
w płomieniach zorzy lodowe katedry,
ryk mastodontów, paroście i cedry,
harf złotośpiewnych mistyczne peany
i demiurgów orszak zadumany.

Ponad górami, niby księżyc w pełni,
snuje me serce czarodziejską prześl –
fiołkowy obłok u stóp mych się wełni –
a jezior szklanych zatopiona gęśl
gra wizje gwiazd –
 – ja z uchylonej trumny
słucham – a wokół się wałą kolumny –
i ziemia drży pode mną – i drży serce moje,
jak posąg, w miażdżonej świątyni –
a w chmurach pędzą skrwawieni heroje,
pytając mię o znak: śmierć na pustyni!

Nad górą świata, nad głębiami szczytów,
słyszę jęk matki, co mi serce rwie –
rzucam w jej łono pył aerolitów –
rzuciłbym słońce – lecz się łzami mgłę.

Z czarnych kryształów mój pałac – w gryfy lemury rżnięty –
gwiazdy przez witraż świecą zamarznęty.
Perły posadzką, w koralach namioty –
huczą nade mną gdzieś przeznaczeń młoty.
Myśl moja rzeźbi posągowe mary
[na Jowiszowym czole stygmat kary].
Po salach błędzę jako lew skrzydlaty
[echem grobowym wtórzę kazamaty].
W melodiach ciszy nie zadrga zasłona
[w trumnie z ołowiu ktoś jęczy i kona].
Mrok zimny pluszcze w śpiżowe podwoje
[gwiazdy migocą w zmarzłe serce moje].

Zgrzytnęły dźwierze – pleśń i katakumba –
pochodnia krwawi napis: in haec tumba.
Wyrazy milkną, lecz połysk przelśniewa –
w trumnie z ołowiu głos żalobny śpiewa.
Chyłkiem się wije cień zamaskowany –
idę rozpacznie do ostatniej ściany.
Dotknąłem gwoździa – nisze się ozwarły –
padłem na progu, jak człowiek umarły.
Nieznana ręka podjęła mię z prochu –
widzę grób – lampę konającą w lochu.
Na stopniach klękam sarkofagu –
od blasków się źrenica mruży –
jak dwa płomyki białej róży
świecą dwie ręce zapalone –
dwie żywe ręce – jak przy Magu –
me serce żywcem pogrzebione.
I zaszlochały łyzy w głębinie,
zamigotały skrzydła zmięte –
aniołów grają chóry święte –
w różanych widzę mgłach świątynię –
ale me serce już pęknięte –
już go tym rajem nie upoję –
anioły lecą ze mną w boje.
Precz! – i wydarłem złote miecze –
od przepaści moich progu
wara wam – i wara Bogu!
oto me serce człowiecze –
rubinowa tajemnica –
oto je rzucam w odmęty!

Jak czarna leceć błyskawica,
nad przepaściami słyhać me tętenty.

A za mną śpiewa borów chór
i łkają dzwony zatopionych miast –
krwawi się serce morza pośród gór –
konają tęcze zdruzgotanych gwiazd –
hurra – tytany! w ręku piorun siny –
ten świat roztrącić – w głębiny! w głębiny!

NOKTURN

Las płaczących brzoź
śniegiem osypany,
pościnał mi mróz
moje tulipany.
Leży u mych stóp
konająca mewa –
patrzą na jej trup
zamyślane drzewa.
Śniegiem zmywam krew,
lecz jej nic nie zgłuszy –
słyszę dziwny śpiew
w czarnym zamku duszy.

UMARŁY ŚWIAT

Pokażę zamek wam nad czarną głębią,
zarosły w tarnię, bluszcz i dziewięciornik –
pokażę duchów siedzibę jastrzębią,
wydartą przez mój miecz, a nie paciornik,
i pójdę z wami w śpiewne kurytarze –
podziemny znicz i piorun wam ukazę.

Królestwo moje na miedzianej turni
nad łez doliną w gradach i obłoku;
na skalnej zbroi śnią rycerze jurni,
kołysząc włócznie zielone w otoku –
nad hełmem szafir, gwiazdami usiany,
a pod pancerzem serce i wulkany.

Jałowcem pachną krzesanicy pola,
białe pustynne jak sybirski cmentarz –
wszystko tu wieczne, jak ból i niedola,
a choćbyś z pułkiem szedł, jak regimentarz,
widząc toń zimną i martwą jeziora,
poczujesz nagle w sercu szpon upiora.

Dni moje przeszły, jak cień – i nic w górze –
o Chryste – i Tyś minął – jestem dumny,
widząc zmierzch bogów – serce mam w marmurze,
a me tęsknoty zwarły się w kolumny
krwawych bazaltów... Nie dbam o bożyszczka –
z Walhalli mojej dymią mrok i zgliszczka.

Zwano mię Chrobry. Stalowe koncerze
biły jak hajnał w mego ducha dzwony,
mój róg na puszczech zwoływał rycerze
i rzewne w gajach straszyl dziwożony,
gdym wiódł w uroczu rzek leśnych zakręty
purpurą strojne, zdobyte okręty.

Obłok się we mnie wpił żelaznolicy
i gład otulił, jak gieżło grobowe.
Pamięć półsenną dawnej mam świątnicy,
kiedy się w tęczach ukazował Prowe
i pszczoł pobrzękiem szumiały lewady –
pod rosochatym dębem wojsk obrady.

Lecz świat mój umarł. Błądzą nad wybrzeżem
wsłuchany w pomruk wilgotnych kamieni.
Mój róg – bez echa... Cisza mi pacierzem

była, a dziś już me serce rumieni.
Gram tryumf – wicher mi łka przez szczeliny
gram wieszczby – miesiąc zakrwawia się siny.

Umarł... więc wichru i słońcu czarnemu,
które już złotych nie wyda owocy,
gram, – a hymnowi nie wyśpiewanemu
wtórują cienie nadgwieździstej Mocy...
Mój Bóg już umarł... w ogniu swe sztandary
pałę: miłości, nadziei, wiary...

WIDMA

Płyną z mogił duchy białe,
jak męczonych ofiar dym –
i swe szpony zlodowiałe
zatapiają w sercu mym.

I powstaje niepożyta
rozoranej ziemi moc –
wicher świszczce, wicher zgrzyta,
to upiorów sądna noc.

Kto jesteście – biali króle –
co szeptacie w sercu mym?
wyją bomby, świszczą kule –
i z reduty płynie dym.

Jak ten żołnierz się krwawi... idź precz!
szubienica skrzypi i powiewa –
kto obróci w moim sercu miecz –
temu serce moje pieśń zaśpiewa.

Ha – coś tętni – karawan i grób –
ba, to jest – sędziego tron –
widzę – siedzi w gwiazdach On –
krwią bez głowy ściekający trup.
A dokoła groźny stanął huf –
zamarznięty na bezdrożach lud –
lśnią na barkach czarne pióra sów –
a na hełmach ich gwiazdy – jak cud.

I ugiąłem przed nim kolano –
i swą głowę złożyłem na pień –
wtem zapłakał mi tęczowy Cień:
czy miłością i ciebie zbłąkano?

Ja odrzekłem: wyleję swą krew
za ten jeden z mego serca śpiew –
za ten jeden z ręki Bożej cud –
za bijący w niebiosy grom – lud!

Lecz zahuczał przeraźliwy śmiech –
i na koniu poleciałem w cwał –
a spod kopyt rozpryskiwał grzech –
a na trąbie grał śpizowej – Szał.

I nie żądam już więcej aniołów –
nie podaję już siebie na zgon –
czuję – leci do mych oczodołów –
z czarnej ręki sypiący się szron.

I rozpędzam swego konia w cwał
i przelatam żywe groby w skok –
a na trąbie gra śpiżowej Szał –
a gwiazdami osypuje – Mrok.

*„Izali nad umarłymi cuda czynić będziesz?
Izali kto w grobie opowie miłość Twoją
i prawdę Twoją – w ziemi zapomnienia?”*

Duch mój zamieszkał wyludnione miasta
i widmem nędzy przepala swe oczy –
duch mój gdzieś w dale bezimienne kroczy,
jak pogrzeb, wynoszący trędowatych z miasta.

Biją mi głucho popękane dzwony
i anioł ciemny prowadzi za sobą –
i jak biczownik, okryty żałobą,
płaczę – a w łzach mych biją nieszczęść dzwony.

W zmarzłej dolinie Cienia śmierci,
gdzie gwiazd migocą sarkofagi,
buduję sobie dół – i nagi
z płomieniem schodzę w cienie śmierci.

ZAMEK DUSZY

Ty u bram moich, wiekuisty Boże!
wszak władcą grobów jestem i pustyni –
nie władcą nawet, bo nieraz się korzę
przed cieniem cienia – i smutek mię czyni
bezwładnym, jako w krach zamarźle morze.

Ale racz wstąpić do skalnej wieżycy,
gdzie moje tygry wyściełam ajerem –
przed Tobą, królu, stanę bez przyłbicy
i miód wyniosę przedni – sercem szczerem –
sam jestem – Bór i Poświst moi służebnicy

Jarzą gromnice nad umarłym ciałem
[z księgi mię żywych raczyłeś wymazać] –
i obdarzywszy czarodziejstwa szalem –
piekło mi każesz strącać, gwiazdy stwarzać
i jako harfą być – pod lodu zwałem..

O Miłościwy! Ty mi ciemne moce
na okręt życia-ś dał – w puszcze Pandory
i serce moje – jak gwiazdzistą procę,
rozwichrzasz duchem, co się rwie w przestwory
a straż mi dzierżą głuche, zimne Moce.

Oto mi płacze i budzi się wiecznie
gość mój tajemny i więzien nieznany –
czasem, jak Helios, gra hymny słoneczne,
a czasem jęcząc jak żebrak złamany,
tuli się do nóg moich – niebezpiecznie!

Bo za jałmużnę łez – on dzikim śmiechem
wstrząsa kamienny sklep – i aż w milczeniu
skarg potępionych napęlnia mię echem –
a twarzy jego nie widać w płomieniu –
a na Oliwnej Górze zwał go Chrystus – grzechem

I teraz czuję – siedzi za mą głową
Archanioł senny, co na krańcach ziemi
rozpostarł skrzydła i baśń lazuruwą
gra na organach palcami srebrnymi –
– – Miłość –
– i drugie niezgłębione słowo:
Śmierć.

Miałem się Bogu spowiadać – nie będę.
Niech serce leży w zimnej bazylice

osnute w marzeń królewską legendę
i w proch – dopóki zaszumią orlice
i tam uniosą, gdzie wszystko zdobęde!

wszystko! i Ciebie czarny Polifemie,
coś mi roztraskał maszt niedoli głazem – –
Serce jak wulkan w swoich ogniach drzemie,
zarosłe lilią i błękitnym ślazem –
aż buchnie – i krwią swą zaleje tę ziemię,

co u podnóża śni w jodeł tęsknocie,
jako słowiki – gdy osiada groby.
Serce me tętni w głuchym grzmocie
i zasłuchane w płacz kamiennej Nioby,
gotowe bluźnić, że więdną stokrocie.

Niech więdną – kwiaty rozstrzępione morzem,
niechaj się więzień szalony uśmierca,
biegnąc puszcz wolnych lodowym bezdrożem –
niechaj me serce pęknie – lecz z Twojego serca
dobęde także jęk – tym ostrym nożem – –
Ona umarła – i nigdy nie wstanie –
Ona zaklęta – i nikt jej nie zbudzi –
rzuciłeś w zimny loch – na obłąkanie
tę Świętą, gdzie się zakrwawi i zbrudzi
i wyprze Ciebie, słysząc kurów pianie,

słyszac Judasza cekiny i Piłatową
sprawiedliwość Boga...
– – – – – Ty opuszczony
Starcze – błąkasz się w zamieć zimową,
a nicość bije w swoje czarne dzwony,
a piorun wije gniazdo nad Twą głową.

I tu przychodzisz – Twórczo przeznaczenia –
[jak mnich wyklęty – aż na krańcach wioski –
do samotnego nędzarza – wśród cienia
zebrzac o węglík – w imię męki Boskiej...]

odszedł, nade mną zwarły się sklepienia –

Mroki, pochłóńcie mię! wy mię zatopcie, głębiny,

On nad urwiskiem, osypany szronem
gwiazd – w zakrwawionem
przestworzu... O, przebac nam winy,
jako my Tobie – błogosławim dzwonem
umarłych –
– – mających umrzeć tej godziny.

~~~~~

Aniołowie grają hymn. – serce moje płacze –  
Aniołowie idą w dal – serce me przykłęka, –  
i zostałem sam – gdzie grobowca pleśń –  
słońca nigdy już – ni gwiazd nie zobaczę –  
a prowadzi mię jakaś mściwa ręka –  
a prowadzi mię – wiekuisty żal.

## MSZA ŻAŁOBNA

Idę nad brzegiem zamarzonego morza  
[o Matko Święta, zmiłuj się nad nami] –  
wydęte – głuche – lodowe bezdroża  
[o Matko Święta, zmiłuj się nad nami] –  
z czarnych rozpadlin wylatuje śnieg –  
i z dzikim świstem uderza na brzeg.

Tu skały groźne – tam oślizgłe jary –  
kłębią się – wyją – na powietrzu mary;  
wody rzegocą głucho pod stopami –  
[o Matko Święta, zmiłuj się nad nami].

Ja niegdyś Roger – król Normanów –  
z pychy sławiony i czarnego męstwa –  
wielem dokonał przy woli szatanów,  
wieże na gwiazdach budując i księstwa –  
Choremu niosę grzechów odpuszczenie,  
ale z mej duszy któż mię wyratuje?  
słyszę w głębinach niepojęte drzenie –  
morze swój kaftan szalonego pruje.

Na turni kościół, a w podziemiach blask –  
słyszę anielski śpiew i lodów trzask.  
Wejdę na chwilę pomodlić się Bogu –  
wściekły mię wichur odtrąca od progu;  
ale przez okno widzę złoty tron –  
w światłach tęczy mi lecący szron –  
a w tęczach widzę rozśpiewany chór –  
na tronie rycerz – mój pośmiertny wtór.

Włos czarny mu w połowie zakrył trupią twarz –  
z sześciorga skrzydeł płynie krew do czasz.  
Na harfie niemej gra – szatański zawtórzyl śmiech  
tej męce. Rzekłem: pieśń Twoja odpuszcza Ci grzech.

Z gór się olbrzymich bory łamały wśród łkań –  
rzekłem: rycerzu, ty się zorzą stań.  
Tysiące nad nim złotych rozbłysnęło piór,  
księżyc, jak kielich czerwony wśród chmur.  
Drzewa szły za nim – i krze – i ptastwo – i mogilny głąz –  
i aniołowie w blasku swych nieziemnych kras –  
i czarne smugi dziko rozkrakanych wron –  
w pustym kościele ktoś uderzył w dzwon.  
[O czarna męko moja, o morze – wyjące pod krami – !...]  
rzekłem, odchodząc: duchy, pokój z wami.

## JUŻ ŚWIT

*„Krzyż tedy zawdy nagotowany jest i wszędzie cię czeka.  
Nie możesz go się uchronić, dokądkolwiek ucieczesz, bo gdziebyś-  
kolwiek poszedł, samego siebie z sobą nosisz, a samego siebie zawdy  
najdziesz.*

*A jakoż ty inszej drogi szukasz, mimo tej królewskiej drogi, która jest  
drogą krzyża świętego?”*

*(Nieznany)*

*„I obejrzał się duch jasny na wołanie  
dziecka i powracał leniwo po złotej fali,  
wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych  
ze smutku”.*

*(Anhelli)*

Już świt... Purpury są na niebie.  
 Już świt... Wciąż nocne straszą mary,  
 Sen to? czy zjaw? czy jakie czary?  
 dusza mogiłę własną grzebie.  
 Dusza ma blada z przerażenia,  
 jako te zimne mgły na polu,  
 dusza się lęka swego cienia –  
 ten cień – czerwony jak od bólu.  
 Ptaki się budzą – lecz ja słyszę –  
 coś w moim sercu łzami rosi –  
 W dół się przechylam, w wielką ciszę  
 serce się moje w dal unosi –  
 serce się moje w dal wydziera –  
 i już się stroi w kij pątniczy,  
 w kamienną czarkę łzy swe zbiera,  
 gdy będzie konać – Bóg policzy.  
 [Tylko mi nie płacz – nie łam dłoni  
 ze snów otrząśnij się złowrogich –  
 jest coś, co nas przed zgubą broni –  
 nas – i naszemu sercu drogich].

oooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooo

Już Anioł chodzi między mgłami  
 i je owiewa skrzydły swemi  
 i tak uświęca, że nie plami  
 ich pył, ni ciężar smętnej ziemi.  
 Jako przejrzyste senne morze  
 fioletem lśniąco i błękitem  
 falują mgły te po przestworze  
 srebrzysto-jasnym, złotolitem.  
 Nagle się mienia na różowo,  
 jakby od szczęścia zapłonione –  
 tak przenajświętsza Cię Królowo,  
 maluje serce rozmodlone:  
 w złoto-zielonej mgieł obręczy  
 ognista róża lśni szkarłatem,  
 rozwiewa skrzydła ponad światem –  
 raczej na światów gdzieś przełęczy.  
 Drzewa jak wyspy koralowe  
 zaczarowane, niepojęte –  
 obłoki, jak kadzidło święte,  
 czerwone wewnątrz i lilowe.

-----

Słysząc za szybą tuż brzęczenie –  
 to motyl rwie się do swobody –  
 leć – i poleciał na ogrody –  
 leć – i nieś słońcu pozdrowienie.

Słońce! Ty jesteś ziemi królem –  
Boże! Ty jesteś świata słońcem –  
Duszo! Ty jesteś bóstwa gońcem –  
Serce! Ty jedno – wiecznym bólem.

\*\*\*

Płyną ciche, srebrne łązy  
i fioletów płynię żal  
w nieskończoną ciemną dal –  
pachną zwiędłe bzy –  
to Ty, duszo? Ty!

W chmurach leci czarny ptak,  
niesie w szponach krwawy plon –  
– Czy to z Twoich dumnych łon  
– wyrwany ten znak?  
Tak, ma duszo, tak.  
– Tyś mię zaklął w tęczy snów  
– do tych szarych zimnych mglic –  
– co masz mówić – prędko mów –  
– łązy Ci płyną z lic –  
Nic, ma duszo, nic.



\*\*\*

Bądź zdrowa! [jak dziwnie brzmi dzwon!]

Bądź zdrowa! [lecą liście z drzewa...]

Bądź zdrowa! [miłość jest jak zgon...]

Bądź zdrowa! [wiatr złowrogi śpiewa...]

– *Już nigdy!* –

Rwie serce Twój płacz!

– *Wydarł się z piersi niespodzianie,*

– *żegnam Cię – trzeba – i Ty Boże racz –*

– *litości!*... – –

W konie!... Chryste Panie.

## PRZED BURZĄ

Tak... więc mi radzisz jedno – zapomnienie –  
i przyjaźń dajesz miłosiernej siostry...  
Wiem – obowiązek, przysiędga, sumienie –  
wiem – i nie żądam – wolę ja nóż ostry,  
niżli łagodne czyścicowe płomienie.

Już późno... wróćmy. O, jak zmienne Lenko,  
pogody świata – wiatr chmurzyska goni  
i pędzi prosto – patrz – w Twoje okienko  
podniebne, skryte w hiacynty i bluszcze –  
i tam łzy drobne, rzęsiste uroni.

Czy wiesz? gdy drżący wichur w szyby pluszcze  
mam dziwną pewność i dziwną obawę,  
że tak sam jeden będę w dni szarawe  
umierał... Nie myśl, że straszyc chcę zgonem –  
poję się życiem, jak faun winogronem.

Otóż i dom Twój. Deszcz okrutny siecze.  
Wszelka tragedia swą banalność wlecze.  
Milczysz? wciąż milczysz... i oczy masz wbite  
w szorstkie, zdeptane, brukowe kamienie –  
ja wiem – tam czytasz napisy wyryte –  
ja zgadnę:  
„depce po nas przeznaczenie”...

Mej duszy osnowa,  
którą ci składam na wieczność:  
był ból i była konieczność  
i Kain i grzech i Jehowa  
i ducha śmiertelny głód –  
a teraz wolność – i cud.  
Widzisz bezgrzmotne błyskania?  
piorun się w tej chmurze chowa.  
Z płomiennej róży kochania  
kto się skałą nie narodzi –  
zginie w powodzi.  
Śmiejesz się smutno – ciemne moje słowa...  
trzeba zwyciężać... zwyciężać... bądź zdrowa.

## ZOFIA CASANOVA (Z HISZP.) SKARGI

Pod krzyżem zgięta – w mroku rozpaczy  
na ostrych gładach dusza się krwawi  
i swą Gólgotę krwią serca znaczy...  
czy już z tej męki nic nie wybawi?  
Anioł, co strzeże przeznaczeń dróg –  
– Tak, rzecze – Bóg!

Cios mnie oślepił, zgubiłam drogę,  
rana zalewa wciąż oczy moje –  
pośród ciemności kroczyć nie mogę –  
i brak mi wsparcia – i tak się boję –  
co robić, Panie? drzę, jako liść –  
– Z miłością – iść.

Czyliż podobna wlec swoje życie  
z okropną wizją ciągłej niedoli?  
gadzinę myśli zatruwać skrycie  
i wiecznie milczeć o tym, co boli –  
gdy w uszach moich bez końca brzmi  
marność mych dni...

Tak więc – wśród duszy osamotnienia,  
gdzie każde tchnienie goryczą dysze –  
jakiż, o Panie, dasz cud zbawienia,  
aby się burza zmieniła w ciszę  
i przestał jęczeć rozbity dzwon?  
– Jedyne... zgon.

## OGIEŃ

Samotny siedzę przy kominka blasku,  
na ścianach drgają fantastyczne mary –  
z bezdźwięcznym śmiechem w takt suchego trzasku  
litanii słucham dusz – w łunach Ofiary.

Powoli smutek objął serce senne,  
jak pająk muchę, w szarą swoją przędzę;  
smutek tak wiotki, jako mgły wiosenne,  
a tak bezbrzeżny, jako ludzkie nędze.

Łuczywo gaśnie – pokrwawione ściany  
snują mi szeptem dziwne opowieści  
„szedł w nocy młodzian z Chrystusem nieznanym” –  
a serce moje w okna mi szeleści.

Oh, zimno – czarno – źle –  
wicher na polu dmie –  
weź ono drzewko zmarznięte,  
rzuć je do ognia – niech zgorze –  
mój Boże!  
a serce moje uczyni równie święte.

## WILIA

### *Memu Ojcu.*

On do mnie pisał list – mój synuś mały!  
patrzac się w księżyc – na szrężodze szyby  
pisał mi rączką, że już nadleciały  
aniołki – Pan Jezus przyjdzie – łowią ryby –  
złote lśnią gwiazdki...

– niech mój Tatuś wraca –

Mama jest chora – Tatuś caca –  
mój Tatuś dusia...  
Lecz pewno wstrzymały  
chmury ten list, lub Anioł biały –  
bo mi się nie wdarł promień w stalagmity  
i nie oświetlił groty, łzami szumnej  
i nie przypomniał, że są gdzieś błękity –  
i Bóg – i w moim sercu dwie Jego kolumny.

Raduj się duszo moja w Panu,  
rozbłyśnij, jak zorza, w purpurze  
i zamek słońcu na strzelistej górze  
wybuduj – w dal od czarnego tumanu.  
Choćbyś utracił wszechświat – nie stracone  
nic – bo masz dwa serca przelśnione  
i na tych skrzydłach wylecisz wśród pieśni.

Tobie syneczku, – pisze Tatuś dusia,  
że wróci – weźmie na rączki Jarusia  
i będzie z Tobą zbierał fijołeczki  
i będzie nucił piosneczki  
o kwiatku, co się nie rozwinął wcześniej –  
– i Mama już płakać nie będzie...

Ale Ciebie groźny idzie za mną wszędzie  
i nie wiem, kiedy mię wyzwoli  
z tych mroków – Bóg.

\*\*\*

Kiedy odejdę w dal  
zostanie po mnie żal –  
daremny będzie żal,  
gdy płynąć muszę w dal.

Lecz tak się łączy żal  
z moją tęsknotą w dal –  
że patrzę w moją dal –  
jako w bezbrzeżny żal.

## SAMOBÓJCA

Biją w mą czaszkę, jak w dzwon, głuche grzmoty  
i krwawa ręka pisze mi przekleństwo.  
Ja wybierając los mój, wybrałem szaleństwo  
i porzuciłem raj i zeszedłem w czarne groty.

I płynę w mrok – i wiem, że oto zgasnę,  
jako pęknięte słońce. W imię Ojca, Syna!  
mam w sercu głąz, a tu głębina –  
jam tułacz – ale będę miał królestwo własne.

Ta lufa zimna – lecz ogień gorący –  
dobry to ogień, co ucisza serce –  
na górach wschodzi blask błogosławiący  
me wrogi i płaszczą królewskiego ździercę.

Jako pelikan – krwi mojej żywicą  
karmiłem – nicość! – a dzieci me z głodu  
umarły – a moja Matka niewolnicą  
obraca w żarnach krew i łzy narodu.

Wezmę mój pług – ja Piastów pogrobowiec –  
ja dumny kneź – zaoram ziemię czarną –  
i będą iskry isć – jak złote ziarno.  
– A na Łomnicy – strzaskam z porfiru grobowiec  
i wyjmę moje serce...

## DUSZA W CZYŚĆCU

Umarłych ceniom i w gwiazdne kurhany,  
składam tę urnę przetlonych pamiątek,  
jakoby ciała umarłych dzieciątek.  
Bo duch mój z ziemskiej jasności wygnany  
wstecz się ogląda na rodzinne łany  
i nim go śnieżne pochłoną zamieci  
do chat się tuli, gdzie łuczyna świeci.

W umarłych święto, w jęki niepowrotne,  
serce się moje nie czuje samotne.

Ach, pamiętam knieje, szumiące dokoła,  
świegot ptastwa, ryk zwierza i dymiące sioła –  
wonie traw pokoszonych i białe bociany,  
lecające gdzieś aż z Indiów na mój dach żerdziany.

Dziś – pół świata zbłądziwszy na smętnym błakaniu –  
Tobie, coś moją młodość widziała w zaraniu –  
Lipo cmentarna! Xieni pszczoł i roju  
duszynek, co już doznały wiecznego spokoju –  
pod cieniem Twoim, pod Twoją obroną  
chciałbym złożyć mą duszę, jak falę znużoną  
i lśnić w Twoich konarach zbłękitnionym niebem –  
a męką moją, jak czarnym podzielić się chlebem  
z oną Królową, co była duchów żywicielka –  
a za Chrystusem zeszła w otchłań...  
I teraz Ciebie jej błąka się w wichrowe noce,  
a w oczach wypalonych szrężoga migoce  
i jasność wielka.

Chciałbym pługiem rozorać krwawe sarkofagi  
i z płomieniem – w królewski zejść grób –  
i w kryształny grać dzwon – i wziąć na ramiona  
i nieść Bogu, aż oczy odemknie przelśniona  
i zorzami rozbłyśnie jej trup –  
i pokłonią się króle i myrrhę przyniosą jej magi  
i przyjdzie Oblubieniec –  
ze zbóż jasnych da wieniec –  
a śmierć, jak suchy liść  
odtrąci z Jej łona –  
i wstanie zbłękitniona  
i będzie ku nam iść.



Lecz za winy własne lub mojego rodu  
na niwach spustoszonych umierając z głodu,  
u źródeł jadłem strutych konając z pragnienia,  
to się spalam w pożarach, to marznę wśród cienia –  
w rozpękłych górach lawy księżyca martwego.

Idzie wiejskie pacholę przed Maryi ołtarze –  
niech Cię, moja dziecino, pychą Bóg nie karze –  
i niech Cię odtąd Aniołowie strzegą.

Tu znamiona  
światów obu;  
Ciemność kona,  
Anioł globu  
wchodzi z grobu.

Już kry pękają w czarnej wodzie,  
róże mistyczne w mym ogrodzie,  
róże – gwiazdy –  
w sercu mym dźwięczy chór aniołów,  
w sercu się kruszy rdza i ołów –

miej łzy! miej łzy!  
Z ofiarnych czas  
dymi się krew –  
ach, Ojciec nasz,  
słyszysz ten śpiew?  
Przez mroków łan  
wrzyna się pług –  
z czerwonych pian  
ognisty Bóg.

I runął grom  
w mogilny tyn  
i zadrzał dom –  
wstał Boży Syn  
Na tęczach łak  
lilije w krąg –  
a głębiach mórz  
królestwo zórz...

Ziemia się wznosi  
jak wonna tuja  
w niebiosach buja –  
skrzydła me rosi  
łez Alleluja...

*Niewiasta klęcząca:*  
Czemu duchy płaczą,  
błądząc pod jodłami?  
niebiosą obaczą,  
Boga z aniołami –  
Alleluja...

*Śmierć z kosą:*  
Postawił mię Pan  
na szmaragdzie łak  
i do jasných wód  
wiedzie mój lud –  
Alleluja...

## **IN LOCO TORMENTORUM**

*Vivo sin vivir en mí...*

*Żyję – nie żyjąc już w sobie, na życie  
aniołów spozieram, a w mroku, w rozpacz  
umieram.*

## MORIETUR STELLA

Godzina moja się zbliża  
i otaczają ciemności –  
już wyschły źródła miłości  
i w płomiennej męce krzyża  
serce wciąż głębiej się zniża,  
wciąż głębiej w nim rany roździeram –  
i żyję, by czuć, że umieram.

Na fali czystym błękicie  
łódź moja płynie w wygnanie –  
i widzę zorzy świtanie –  
i widzę loch mój w granicie –  
on, ręce moje otnijcie,  
gdyż bramę Grozy rozwieram –  
On rzekł mi: ja w Tobie – umieram.

Nade mną złote łabędzie  
rozbłękitniają się w hymny –  
a w głębi widzę gad zimny,  
i oczy krwawe – w obłędzie –  
i ktoś mi szeptem: – ja wszędzie  
za twoim sercem się wdzieram –  
ja mrok – ja śmierć – ja Bóg – nie umieram.

O wy, kratery wulkanów,  
zamarzłym ogniem zionące –  
o, moje róże więdnące,  
wśród czarnej mgły oceanów –  
o niedolo mych peanów,  
w których się Boga wypieram,  
a stopy zimne całując, umieram.

Słowiku, co ożywasz gaje  
w pustyniach mojego łona –  
ach, jakże serce me kona  
ach, jakiej męki doznaję –  
paląc w płomieniach swe raje –  
na lichej kolumnie się wspieram –  
z nią padam – i łkam – i umieram.

Z Twych rąk mi płyną ulżenia,  
gdy krwią swą rosisz me lico –  
lecz doli mej tajemnicą  
zamknięta w grodzie płomienia!  
gdzie tak mnie trapią cierpienia

i tyle szturmów odpieram,  
żeć zamek zdam – bo umieram.

Oto jak cień się przekradać  
pod murem rajskich ogrodów –  
w ogniu się paląc wśród lodów –  
mieć Cię – a nie posiadać –  
zdobyć – ukochać – postradać –  
to człowiek – z niego się wydzieram  
– daremnie! daremnie żyję i umieram.

## WAMPIR

Modlą się duchy ciemnych wód –  
modli się serce krwawe.  
W wnętrznościach mogił szłocha lud  
i szłocha serce krwawe.  
Armat śpiżowych tętni grzmot  
i tętni serce krwawe.  
Bagnety pełzną pjanych rot  
i pełźnie serce krwawe.  
Zadrgały bruki rżniętych miast –  
zadrgało serce krwawe.  
Wampiry gaszą wieczność gwiazd  
i gaszą serce krwawe.  
Zhańbione ciała – pusty dwór –  
zhańbione serce krwawe.  
Wtem tryumfalnie zapiał kur –  
i pękło serce krwawe.

## TEMPLARIUSZ

Na ciemnym morzu wichur rozpacz  
szarpie i targa żagiel tułaczy.  
Płynę bez steru, płynę bez wiosła –  
oby mię prędzej burza rozniosła!

Ja – rycerz dumny świętego Grala –  
[duch mój się dotąd ogniami spala]  
Różany ogród bożych tajemnic –  
[dziś uroczysko mogiłnych ciemnic]  
Ja – com Chrystusa wynosił z grobu  
[oto stygmaty na rękach obu] –  
Ja i me gwiazdy cicho spadamy –  
jak lilie zżęte w grobowe jamy.  
Morze się pieni, ryczy jak lew –  
nade mną stado znużonych mew.

Goni je, szarpie dzika rybitwa –  
skrzydła ich błyszczą niby modlitwa.  
Oh, dajcie łuk mój, który ocala –  
wzdyma się grzywą ostatnia fala –  
łódź wylatuje w obręczy pian –  
na trąbach śmierci zagrał mi Pan.

-----  
Litości zebrze tłum obłąkany,  
katedr się chwieją kamienne ściany,  
runęły, gniotąc serca i mózgi,  
w jelitach sterczą krzyża odrzuzgi.  
Dłonie błagalne wbiły się w drzewo,  
otchłań się kłębi z czarną ulewą,  
na wirach tańczy ludzkość wyrodna,  
pod serc nawalą krzyż idzie do dna.

Morze się pieni, ryczy jak lew –  
nucę spokojnie ostatni śpiew.

\*\*\*

Zahuczał wicher – wicher jesienny  
nad moim sercem – sercem tułaczem –  
i Anioł senny – Anioł Gehenny  
już mnie powitał – powitał płaczem.



## NATCHNIENIE

Na koralowych snu księżycach  
Ciebie me skrzypki sławią, Pani!  
do ciemnej schodząc mar otchłani  
zapalasz kwiaty na łzawnicach.

Uwiędłe serce, jak dzieciątko,  
tulisz do piersi obłąkanej  
i dziwnej pieśni – nie wygranej –  
bawisz nadziejną pamiątką.

Już się godzina zaćmień zbliża,  
kiedy mię z Tobą Bóg rozdzieli –  
Ciebie uniosą w chór anieli,  
a mnie przybiją do stóp krzyża.

## SANTA HERMANDAD

*Enclavado pies y manos en un madero  
y en cruz, con tormentos inhumanos que  
me respondeys Maranos malvados perros  
sin luz.*

*(Hurtado 1557)*

*Gwoździami za ręce i nogi przybity do  
drewna i krzyża w nadludzkiej męczarni –  
bez światła.*

Bujnie zroszony mój ogród krwią.  
Z lochów tych na świat nie wyjdzie jęk.  
Braciszków moich wiedli do męk –  
[a dzwony dzwonią...] – kleszczmi ich rwą.

Lampka im zżarzy skórę do trzew,  
na dybach zwisną jak harfa strun –  
a krzyż zielony z krepą wśród łun,  
jako nadziei bluźnierczy krzew.

Oczy ich próchnem świecą, jak duchów –  
usta zgniecione byczym pęcherzem –  
i tak przed ojcem staną kacierzem,  
w drewnianej klatce, z brzękiem łańcuchów.  
A łzy tych gromnic na twarz kapiące,  
nie tak bolesne, nie tak gorące.

## AUTO-DA-FÉ

Przyjaźń mi zdradnie ręce związała,  
gdym je wyciągał w górę do nieba.  
Ojczyzna plwociał mnie obryzgała,  
gdym ją nakarmił z wina i chleba.

Miłość poranna w pustkę wywiodła,  
z twarzą słoneczną Pani alkierza;  
a miłość Święta – bok mi przebodła,  
i do miejskiego ciśnię pręgierza;  
a miłość Gwiezdna – serce wyrwała  
i psom rzucając – naigrawała.

Rozumek, mistrz mój, w galowym fraku,  
do żelaznego przybił mię woza –  
a na nim dzwoni Śmierć Dolorosa –  
a ja się duszę – w złotym kołpaku.

## QUEMADERO

*[„była to platforma, ułożona z kamieni.  
Na wierzchu cztery posągi proroków,  
wewnątrz pustych – gdzie wprowadzano  
osądzonych i spalano po kilku naraz w tym  
rodzaju babilońskiego pieca”].*

Sztabą przykuty do proroka,  
gdzie pocałunków lśnią motyle,  
a z ust mych płynie krwi posoka,  
a w uszach dźwięczą krotofile.

Ogień buchnął – i czarne mantyle  
dech zaparły, jak fala głęboka –  
tylko jednej przechrzciance z Maroka  
oczy gasną, jak gwiazdy w mogile.

Wczoraj z braćmi łamałem się w celi  
pleśniącym komunii chlebem,  
a barłóg zamiast pościeli,  
a ciemny loch był nam niebem.  
Król złotą błysnął ku nam szpada,  
na ogień dziatki moje kładą.

## MADONNA DOLOROSA

*[„... żelazny posąg z kolcami do wewnątrz,  
w którym zamykano przestępcę”...]*

Coś w mym sercu dziko pęka –  
w dzwon uderza ciemna Groza –  
i kolczata dusi ręka –  
to Madonna Dolorosa.  
W snów mistycznych mym ogrodzie  
drga konwulsją Lilia – Roza,  
zamrożona lśni mimoza,  
a w piekielnym tortur chłodzie  
każdą żyłkę w niej przebodzie  
Pani królestw – Dolorosa.  
Idzie święta w aureoli  
z dzieciątkiem na ręku zmarłym –  
żrenice puste rozwarłem,  
czując, że nic już nie boli.

## REINKARNACJA

Z bram czarnych idę Babilonu,  
z ruin, gdzie ptastwo dzikie jęczy,  
w mroku się bijąc o pierś dzwonu.

A ciała królów poszarpane  
przez widm złowieszcze wardałaki,  
a rzeki krwawą toczą pianę.

W pałacach pustych błędą straże –  
łańcuchem skuli czaszkę moją,  
w piekielnym zanurzając warze.

Abbadon czekał z mię ofiary,  
lecz anioł Boży wszedł do lochu –  
legł z mieczem w sercu człowiek stary.

Po skałach zbiegłem stromych w morze,  
śpiewem otchłani jęczą fale,  
konchy, jak łzy me, lśnią w pokorze.

Słucham objawień Twych w głębinie –  
komety się krzyżują w mroku,  
okręt mój w Ciemność Bożą płynie.

Na włosach zmarłej gram pieśń Wschodu,  
bym Cię nie przeklął Hieruzalem,  
obłąkanego Ty narodu

Matko! – a bólem Twoim się opaszę,  
a głowę swą na gwiazdach złożę,  
wieczność, jak wino zleję w czaszę.

A kości moje wezmę z ziemi,  
którą przyciemnił Duch Twój Pański,  
i odtąd ziarnem bujnym plemi.

Krwi mej czerwone bystre prądy,  
co wypłynęły z gór Taboru, –  
nowe przelśnione ujrzą lądy.

Serce mam owoc z tego drzewa,  
co kwitnie w raju snem Cherubów,  
a ptak żałoby nad nim śpiewa.

A śpiew ten z harfy jest proroków,  
z płomienia gwiazd i z męczenników,  
z piorunów, z wichrów i obłoków  
i z onych Judasza srebrników,  
jenżmi Cię kupił człowiek, Boże.

Tyś tajemnicze posiał znaki,  
abym powrócić mógł do Ciebie,  
jak słońce w ojczyste zodiaki.

Ale mój okręt wiry niosą –  
przebóg! pod więzień ślizgie ściany –  
rozpacz mię krwawą zlewa rosą.

I szydzą ze mnie czarni strażę  
i krzyż gotują mi jutrzeńki –  
wracam w mych więzień kurytarze.

I to wszak darem z Twojej ręki –  
ból – wieczność męki...

## WPOŚRÓD RAJU

*„Patrzyła na różnobarwną puszcze,  
którą obrały za siedzibę pawie –  
uśmiechając się, ale z sercem pożerany  
przez płomień smutku – jej wielkie oczy  
widziały rzeki o jasnych wodach i drzewa  
okryte kwiatem pnączów”.*

*(Savitri)*



## NOC MAJOWA

Osły w koronach zasiedli na trawie –  
światlaki różę całują polną –  
a śmierć odmiga się w stawie  
i gra piosenkę swawolną.

Efemerydy,  
lećcie w tan –  
o kwiaty jezior, nereidy!  
na multankach w dąbrowie gra Pan.

Efemerydy  
lećcie w tan,  
lećcie w tan –  
miłosnym splotem  
objęci  
wieczyście młodzi  
i święci –  
śmiertelnym grotem  
przeszyci –

W migliwej sinej fali  
złote karasie i płotki,  
a cierpliwe zimorodki  
patrzą swym okiem ze stali –  
a na drzewach stuk czarnych kowali,  
wśród jarzębin kraśne krzywodzióbki  
i pustułki z oczyma jak hubki –  
w świście wesołym i śpiewach  
to nad wodą – to latam po drzewach.  
Do nocnej hulanki  
stworzone w lasach polanki.  
Wszystkie ptaszki hołd mi czynią,  
bo dziś me śluby z boginią.  
I oto nad jeziorem,  
stoim w kwieciu purpurowem,  
łzy szczęścia lejąc z zachwytem i trwogą,  
miłosną płonąć pożogą –  
ogień ogarnia te prastare drzewa  
i płaczą smolnymi łzami,  
a znajoma – z mórz polarnych mewa  
aureolą się toczy nad nami.  
Ach, szkarłatne pnącze fakirów,  
ach, kaktusów gwiaździste królewny,  
ach, dwa groby szklane wśród kirów  
i płomień serc naszych powiewny.  
Zaszumił skrzydłami król Gryf  
ze swą kochanką Łabedą –

wśród płomiennych rumaków i grzyw  
pędzimy z Norn chmurnych czeredą –  
a góry pod nami –  
a śnieg pianą –  
jakby z ziemi wytrysnęły fale –  
a dokoła bezmiar szafirowy –  
i ogień – i bór – i te sowy,  
wpatrzone źrenicą przerażeń,  
co pojęła boski szal wydarzeń.  
Ale mi łzy płyną gorące,  
leśne fauny patrzą na mnie drwiące,  
bo ust naszych nie umiemy łączyć,  
i jak rzeka do morza się wsączyć –  
stoimy w niemej trwodze,  
w zachwycie, w krwawej pożodze,  
a na rękach oplecionych w kwiaty  
sączą się rdzawe stygmaty.  
Konające pary jednodniówek  
do nóg mych padają z szelestem,  
a grabarze czarni mrówek  
wloką ich – w kurytarze pod rdestem.

---

Niegdyś błdziłem przez te kolumnady,  
co Abderrahman tworzył ukochanej,  
w ametystową noc Szeherezady,  
gdy w niebiosach płoną talizmany –  
– – – usłyszałem ryk osła –  
ach, jak rozpaczliwy –  
jak flet przedęty, dziki i chrapliwy.  
Lecz nigdy w ludzkiej krtani  
taka dusza nie wyrosła,  
taki jęk potępieńca z otchłani.  
Ja z nim nie pójdę w zawody,  
lecz wszystkim radzę! –  
    Efemerydy,  
    lećcie w tan –  
o kwiaty jezior, nereidy –  
na multankach w dąbrowie gra Pan.

---

---

\*\*\*

Stoi kamień na kamieniu – i jeszcze kamień –  
a ty się, serce, na smoka zamień.  
– Czemu, więźniu, płaczesz – do swej wioski wrócisz!  
– Idź swą drogą, Panie, bo się nie zasmucisz.

\*\*\*

Wśród traw  
omdlały leżą  
bezwładnie –  
jak senny staw.  
Czarne wiecierze  
czyhają na dnie  
i każda żywa  
myśl tam przepadnie,  
wola spoczywa  
w zaroślach na dnie.

Czy sen?  
dzikie widziadła –  
gromada hien  
umarłą duszę  
kręgiem obsiadła.  
Krew płynie z żył –  
lecz słodko znoszę katusze –  
i śnię – żem kiedyś dawno – żył.  
W obojętności  
bujnych pokoszonych traw –  
idę do Boga –  
wśród kolumn czarnych wieczności.

A złota rosa na twarz moją pada.  
I wstrząsa dreszcz.  
Czarne chmurzyska,  
jako bawołów pędzących stada –  
tysiące krwawych oczu błyska.  
I kataraktą runął deszcz.  
To sen mnie łudzi –  
to nad grobem wyje  
oślepla skarga –  
ja głąz myślący – nie żyję.

-----  
Grom budzi!  
-----

Wichrem sieczony –  
nad grzywą rumaka –  
porywam mocnymi ramiony  
piorun –  
i skrzydła swe rozwijam ptaka.  
Nad morze!  
nad lśniące  
gwiazdami usiane morze –  
za purpurowe góry  
w czarne głębokie niebios.

## AKWARELE

Jesienne lasy poczerwienione  
goreją w cudnym słońca zachodzie.  
Witam was, brzozy, graby złoczone  
i fantastyczne ruiny w wodzie.  
Czemu się śmieją te jarzębiny?  
czemu dumają jodły zielone?  
czemu się krwawią klony – osiny?  
płyną fiolety mgieł przez doliny  
i jak motyle w barwnym ogrodzie  
latają liście złoto-czerwone.

\*\*\*

Z wyżyn spoglądam na leśne obszary  
pod tchnieniem wiatru jękliwie szumiące.  
Tam pogrzebałem – w szafirowe jary  
troje mych dzieciak – i siebie tam strącę.  
Nad jeziorami wznoszą się opary,  
krążą stadami wrony żer wietrzące.  
Pójdę – i z czarnej tej jedliny zrobię  
krzyż – i wykrzesam iskrę wiary –  
i zapalę ten ogromny bór – hymnem o Tobie –  
jeśli mi wrócisz jedno z tych dzieciak – żyjące.

\*\*\*

Noc mi rzuciła swą czarną zasłonę  
na serce – a okręt mój płynie wśród lodu.  
Wyskoczę na brzeg – pójdę do mar swych ogrodu.  
Pan Jezus furtę ozwarł – ma zranione  
czoło, lecz w oczach ironii błyskanie.

.....  
.....  
.....  
.....

Pan Jezus śmieje się – i księżyc gasi.

\*\*\*

Dotknięciem wróżki mchy szmaragdowe  
mienia się w barwne perskie makaty.  
Z swych grot podziemnych wyszły różowe  
królowny i w perłach błyskają ich szaty.  
Zwiędłe tojady chylają głowę,  
a w aksamitach puszą się pleśnie.  
Iskrzy się farfor, brąz i bławaty,  
pazie, rycerze, króle pąsowe  
i białych orlik – madonny we śnie.



\*\*\*

Poją mnie wrzosa, paprocie miedziane  
i srebrne słońce i lazur głęboki.

Płyną –

doliną – potoki wezbrane –

łączą się –

sączą – przez śniegi, opoki –

łona –

ramiona tulą się w obłoki.

Duch mój okrąża Himalajów szczyty –

grody –

pagody tylko sercu znane –

w sennym klasztorze – spoglądam na morze,

w złotą, błękitną, migotną Nirwanę –

w czarne, bezdenne, spienione granity.

\*\*\*

Fioletowe góry  
zapadają w mgły,  
ciemnieją lazury –  
jakby w głąbie szły.

Złoty róg miesiąca  
sieje poblask mdły –  
lasów wiatr nie trąca,  
jakby do snu szły.

Potok wciąż głośniejszy  
rwie się jak zwierz zły –  
smutek wciąż czarniejszy –  
coraz gęstsze mgły.

\*\*\*

Jaki lekki – zwinny – chybki –  
sunę przez zarośla!  
mój skok przesadza polany,  
skapane w mgle i księżycu.  
Oczy migocą zielono,  
grzbiet się preży,  
cętki błyskają w zaroślach.  
Otom król chytrych, silnych  
zwierząt: ja –  
tygrys.  
I widzę:  
siedzi pod czerwoną palmą  
w białej sukni –  
z księgą indyjskiej mądrości.  
Pełzam w gęstwinie dżungli –  
u nóg jej pocałem się łasić –  
w obłędzie strachu  
nie śmie drgnąć.  
Patrzy na mnie, patrzy –  
jak ptak o bijącym gwałtownie sercu.  
Lekko ją łapą  
przechylam –  
ona próbuje wstać –  
i nagle –  
kły wbijam w klatkę piersiową  
– strumienie gorącej krwi  
w bolesnym jęku  
wiją się przed moimi oczyma.  
Ona tylko raz –  
mój Boże –  
szepnęła moje imię –  
I obudziłem się –  
mój Boże –  
własną  
piers rozdarłem  
i broczę krwią.

## **PALMY**

Widzę w Twych oczach ciemne morza tonie  
i szafir nieba, co się w nich przegląda –  
rozkosz otchłani, która śmiercią zionie –  
ciszę bezmiarów – których się pożąda.

Lub mi się zdaje, że to leśne głusze  
w podzwrotnikowym słońcu gorejące –  
a w głębi zimne; strojne w pióropusze  
tęczowych kwiatów, a od lian ginące.

Tak się w mej duszy mienia Twoje oczy,  
że nic trwałego w nich, prócz tajemnicy.  
I próżno pytam, czy mnie do świątnicy  
ten sfinks prowadzi, czy pustych roztoczy,  
gdzie palmy więdną na słonecznym skwarze  
i tak do rajów podobne – miraż.

## STRYGA

Widzę w Twych oczach zdradliwe sadzawki,  
kożuchem zgniłych lśniące nenufarów,  
potworne śmigi kręcących się żarów,  
roślin krwiożerczych wężowate drgawki.

Lub mi się zdaje, że to są wieżyce  
pohańbionego kościoła, gdzie straszy –  
i biją pięści w brązową grobnicę  
i leży ksiądz martwy w blaskach złotej czaszy.

Tak się mienią Twe czary, że kindżałem wydrę  
dwoje tych wieszczych, a złowrogich oczu –  
i pod skronią Zbawcy oprawię w przeźroczu,  
aby się zdało, że zamartwychwzniósł Hydrę.  
I niech urzekną gwiazd mroźnych ten szlak  
zimowy, łzawiąc bezdźwięcznie: tik-tak-tik-tak...

## STRACH

W mroku się idzie tam – kiedy wyje wiatr.  
Zwiotszała kuźnia wśród rozstajnych dróg.  
Za dnia nie ujrzysz jej –  
hej – hej –  
wyje wiatr.  
Noc mroźna – wiatr wyrywa pnie,  
sosny do ziemi gnie.  
Za cmentarzem bije młot –  
głuchy grzmot.  
Kuj żelazo,  
kuj żelazo –  
okute serce nie pęka.  
Skradam się – pod chaszcą zwałonych drzew –  
przez rozerwane nawałnicą skiby –  
do samej ściany, gdzie połyska żar.  
Dziura jest w dylach: widzę –  
niski człowieczek –  
[chwilami wyrasta nad chmury]  
z oczyma jak dwa lochy bez dna –  
w wyschłych piszczelach rąk  
dźwiga młot –  
i podnosi z wolna –  
jak nakręcona figura woskowa –  
zaś opuszcza nagle z potęgą –  
w straszne zębate kowadło,  
na którym się wzdryga  
rozkrwawiona hostia.  
Ona oddycha, jak serce –  
ona się przyczaja w sobie – i kurczy –  
w blasku rozbryzanych płomieni  
twarz bledsza od lilij  
wschodniego księcia.  
Oczy gasną cicho, jak księżyc na morzu,  
tuląc się w wiekuisty bezmiar czarnych szafirów.  
Ziemia się rozwarła  
i jęło zapadać oberwisko meteorów  
w ziejącą wśród głazów szczelinę.  
A straszny ślepiec odepchnął kupę żużli nogą  
i przez bór pędzi –  
i znowu powraca –  
sosny szumiące ugina jak rzysko.  
Moje oczy stały się podobne do dwojga  
zamarzłych okien.  
On nie widzi –  
nie ogląda się –

lecz czegoś szuka niewidomy –  
i wygrzebuje coś skrytego w ziemi –  
wtem wichur uderzył żelaznym skrzydłem  
i runął – zawalił się dach.

---

Idę śpiąc –  
nogi mam, jak ciężkie czarne trumny.  
Słyszę dźwięk trąbki  
i skowyt ogarów –  
siadłem w rowie –  
głowa mi opadła:  
idę już tak od wieków –  
przeklęty – bez winy.  
I obudził mnie mróz:  
szumi las –  
gdzie iść?  
droga tu –  
droga tam –  
Wlecze się za mną brzydka ropucha.  
Szatany z piskiem, jak szczury,  
osuwają się po drzewach –  
zmyliłem szlak –  
wróciłem w miejsce, gdzie kuźnia.  
Popiół zimny –  
kładnę się na kupie żużli,  
sen okrąża mnie, jak ryś –  
nie wchodząc  
do wnętrza zmartwiałej, nieruchomej ciszy.

*Kochanemu bratu S. Maszewskiemu.*

\*\*\*

Stanąć tak nad morzem  
z chmur kłębam na dnie  
i w głąb niemą rzucać  
jarzące klejnoty...

I pod jej pałacem  
oprzeć skroń na murach  
i wyrzec się – wyrzec  
duszy swej na wieki...

I żagiel rozwinąć,  
kiedy burza wyje  
i mknąć ponad góry  
i spadać – i płynąć...



## SERENADA

Indyjskie zwiewne kwiaty,  
kwitnące raz w sto lat –  
o piękna, wyjdź z komnaty,  
jak księżyc spoza krat.  
Na harfie gram Ci słowa,  
które się lśnią jak żar –  
czemuż Cię otchłań chowa  
i Ty nie wstajesz z mar?  
Ach, głupcy nie szaleją –  
powiedział biedny Wil –  
w nim bogi płaczą, lwy się śmieją  
z przelotnych szczęścia chwil.  
A smutek go pożerał  
do Imogeny lic  
i kwiaty z drzew odzierał,  
rzucając w nicość – nic.  
Wyjdź do mnie, o królewno,  
choć mam żebraczy strój –  
a rzeką gwiazd ulewną  
firmament olśnię Twój.  
Lecz biedne drzewko zsycha,  
umarły siejąc kwiat –  
i piosnka we mnie ścicha,  
jak więzień spoza krat.

## AMA

Moja tygrysica błękitnooka,  
na hebanowym łożu wyciągnięta,  
jedwab kaszmirski otula ją – śni.  
Szebrzą strumyki wśród araukaryj. –  
Kazałem do marmurowej sali  
wpuścić lwa olbrzymiego z gór Atlasu.  
Wsunął się niemy – z piorunami w ślepiach,  
Obszedł mnie w krąg, nie racząc spojrzeć.  
Zwarłem drzwi na łańcuch  
i z miradoru patrzę  
wśród purpurowo-złoto-błękitnych arabesek.  
Ama ocknęła się –  
moregowatym ogonem wyrażając radość –  
leniwo – niby odaliska – szła ku lwu pustyni.  
Lecz on drapieżną opętany chucią  
runął, jak z góry oberwana skała.  
Zwarli się –  
i czworgiem łap wyskoczył w powietrze –  
– czarna jaskinia mignęła pod brzuchem.  
Ama łyskawicą wysunęła się – kłęb  
sinych węzów niosąc w paszczy – wnętrzości lwa.  
Z pustą ziejącą otchłanią zataczał się  
i z wolna obchodził lew jamę krwi konając.  
Jak na wieczornych przechadzkach nad morzem,  
łasiła się do mej ręki Ama – od lwa nie tknięta –  
tylko bardziej leniwa pokłada się u mych nóg –  
i nie mogła wstać.  
Cierpiąc patrzała na mnie tajemniczym blaskiem,  
a w oczach jej morze gasło i ciemniało.

## ZATOKA TĘCZ

*...wielki cyrk, który przekroczył ścianę  
olbrzymich gór, otaczających Morze deszczów  
– tworzy Sinus Iridum...*

*(Selenografia)*

*Księżyc: kto jesteś?*

*Dusza: ja jestem ty.*

*(Rigveda)*

## DROGA MLECZNA

Idę wśród gwiazd – i snów mych trybularzem  
zimne stęgle planety rozżarzam w ognia kościoły.

Słowiki nucą radośnie,  
by umrzeć w marzeń wiośnie –  
ze swą kochanką wśród kwiatów  
błądzić na przełęczy światów.

Płomień wybucha, szaleje – nad uczuć krwawym ołtarzem,  
w tryumfującej pieśni konają z harfą anioły.

Ja Cię powiodę, mój młody  
witezium, na lepsze – na krwawsze gody:  
Twój okręt wśród mgieł i zawiei  
w kraj zórz popłynie Medei –  
a tam w głębinach jej oczy –  
zapomnisz, że krew dzieciak broczy.

Hej maski! lodowym wśród gwiazd kurytarzem  
w królewskich szatach – do uczty wesołej!

Ścigajmy lśniące  
komet hurysy –  
a jako lampy mdlejące  
oświetlą nam miesiące  
grobow cyprysy.  
Z morza wyłowim barweny –  
tęczową śmierć Heliosa –  
wam oddam bogów niebios –  
mnie zamek martwej Gehenny.

Precz widma! zostawcie króla na jego pustyni –  
sam jestem – w mroku się kłębią złe oczy Erynij –  
ktoś ze mną czuwa –  
ha, z gór się osuwa  
czarny lodozwał –  
sumienie!

## MEDUZA

Z grot czarnych, które rzeźbi sen i obłąkanie,  
z podziemi, gdzie wśród ognia żyje płaz –  
potok łez moich w zamęcie i pianie  
zapada w głuche bezdźwięczne otchłanie,  
gdzie Bóg się wyparł nas.

Zębate wieże i skaliste grody,  
księżycy krwawe, zatopione w mgle –  
miraże światła, lodowe ogrody  
i widm okropnych wyjące narody,  
co szarpia mnie.

Ty żyjesz w raju, ja mrę na Golgocie –  
na kresach duszy, gdzie Magog i Gog –  
grudę Twojej ziemi rozbijam w tęsknocie,  
by Twoich świątyń iskrzyły się krocie –  
i pełnę w mrok.

Ja matka bogów – niosę Ciebie w łonie –  
choć nad mą głową syczy wążów gniew  
i patrzę w zimne ołowiane tonie,  
serce mgłą krwawą jeszcze Ci wyzionie  
łabędzi śpiew.

Bo Cię tak wielbię, żeś mnie bardzo zmęczył,  
i smagał grzechem i pędził mnie wzwyż –  
a nad przepaścią Anioł się rozłeczył –  
i gwiazd obłędem serce me uwieńczył –  
i wznosił na krzyż

Własne królestwa rozwaliłam w gruzy,  
by cię nie straszyc bezmiarem mych mąk –  
ale się spojrzeć strzeż w lico Meduzy,  
gdzie z obłąkanych oczu płyną czarne śluzy  
na gwoździe rąk.

W zimnym Tartarze – ja posąg antyczny,  
z torsem bez kolan i oczyma z dziur –  
uśmiech na twarzy mojej sardoniczny,  
a w piersiach źródło miłości mistycznej,  
jak tęcza z chmur.

## WYSPA GORGON

Wonny srebrzysty kwiat orchidei –  
miłość zbląkana w czarnej zawiei –  
skrzydła rozpuścił nad nią krwawy sęp –  
biedna królewna, gnijąca wśród kęp!...

Tęczami śniegu migoce ten kwiat,  
ale się rdzawy w nim przesącza jad –  
w słońca uściskach motyl drga leciuchno,  
w mroku się jarzy zielonawe próchno.

-----  
– Wielu młodzianów legło u mych stóp –  
mroźny, głęboki zapadał się grób –  
księżyc się wznosi nad górą pustyni,  
pałac samotny jak serce bogini.

Wśród nocnej ciszy miedziane Centaury  
płyną w cieśninach i grają w litaury;  
chrapliwym dźwiękiem swych poczwórnych płuc  
świadczą, że kona ich z miłości wódz.

Syczącą głownię rzuciłam do nóg –  
inny mię pojął – tam w podziemiach – bóg!

.....  
Centaurze młody, sercem obłąkany,  
na dno kraterów zwiedli Cię szatany.

Wiatr zimnej nocy dworzec mój zapalił,  
bór się w gałęziach opalonych żalił,  
i poszłam w ciemność – czerwoną od łun  
– – oczy objawień pełne i run.

Słońce, gdy skrzydła swe opuszcza w mrok,  
tygrys raniony, gdy się pręży w skok –  
taką ma krwawość i taki ma wzrok.

A śpiew na falach łamał się wśród burz.

– Tam, gdzie już słońce nie odwiedza krain,  
– lecz harfiarz ciemny – starzec Wajnemain  
– przyciąga z głębin ciche światło mórz –  
– płynę wygnaniec, zabójca ojczyzny,  
– [czasem mi tylko pachnie zagon żyzny]  
– okręt steruję na złowrogi prąd,  
– aby ominąć Gorgon śpiewnych łąd.

– Orki, Meduzy, czarne Kaszaloty,  
– i wód miraże i tęczowe groty  
– [fale mi szumią jakby pokos traw  
– i śnię – mój dworzec z jodeł pośród raf ].

– Na trąbie wodnej Norny mi zagrały  
– okręt wirując poleciał na skały...

Gościu! Gorgony ty się boisz łon?  
słuchaj, jak bije Ci wieczorny dzwon.

Tam nad jeziorem błękitnych lotosów  
gwiazdę Twych natchnień przypnę do mych włosów  
kogo ja dotknę – ten nie wstanie już  
z sennego łoża moich czarnych róż.

W jedwab Cię miękkiej otulę niewoli,  
serce mi oddasz, które jeszcze boli –  
słuchaj – rzuciłam je w świetlaną toń –  
teraz na skrzydła moje pochyl skroń.

Hymn Twój poniesiesz umarłym narodom,  
ja nieśmiertelną jestem, w śmierci młodą –  
nie drżysz – to ramion moich tuli chłód –  
na Eleuzyjskich polach jest Twój lud.

Zaklnę Cię w kamień i poświęcę bogom,  
skrzydeł anielskich będziesz tlił pożogą,  
patrzając na morza, nie czekaj nikogo,  
wsłuchany w gwiazdy – idź Samotną Drogą.

Jam jest Gorgona, – kochanku mych łon –  
słyszysz – wieczorny znów Ci zagrał dzwon.

*Przy grobie Medyceuszów – W. Dyzmańskiemu*

## KOCHANKOWIE BOGÓW

Tam – w noc gwiazdną wypłyniem! i będziem na falach  
marzyć – nas dwoje; my Astarty  
zbiegając świątyn – jak nurek na skałach rozdarty,  
zaświecim perłą bólu w lesistych koralach.

Byłeś mi czarnym bóstwem, co krwi i ofiary  
żąda, w rozłęczu lśnić się i opalach.  
I Ty z Awernu przyzywałaś mary  
i serca dumne ważyłaś na szalach.

Tam – w noc modrą – gdy fosforescencje  
morza otoczą nas w pióra diamentów –  
ziół księżycowych wypijem esencje  
i jako ptaki z tonących okrętów  
do tajemniczych wysp zlecim w ogrody,  
pod berło Wieszczki cichej – wiecznie młodej.



## IRIS

Purpurowe ciepłe słońce  
zapadało w morza toń,  
śląc w bezmiary złote gońce,  
co pieściły moją skroń;  
a ja leżę rozmarzona,  
zasłuchana w szmery fal –  
w głębiach płacze, w głębiach kona  
miłość moja, duma, żal.  
Oh, te czarne skał diamenty  
poszarpały stopy me –  
płyną dni me, jak okręty,  
w coraz gęstszą zimną mgłę.  
Wtem zadrżałam: w boskiej krasie  
stał przede mną bóg –  
tęcza była mu przy pasie,  
księżyc obok nóg.

Jego oczy dwa szafiry  
w ciemni moich grot –  
szał mistyczny płynął z liry –  
orłów gwiazdnych lot.  
I ujrzałam w kolumnadzie  
marmurowy dwór – –  
ale cień się czarny kładzie  
ode mnie – jak z chmur.  
I poślubił moje łono  
pośród Mlecznych Dróg –  
tę pieśń mroków potępioną,  
mocniejszą – niż bóg.  
I on zgasnął – a ja płynę  
z trupem u mych łon –  
a pod łodzią mam głębinę,  
gdzie gwiazd leci szron.  
Wiem: przedrzekły mi Charyty,  
iż przy dźwięku harf  
Horus wszędzie – syn kobiety,  
już pogromca larw.

\*\*\*

O nocy cicha, nocy błękitna  
u stóp Twych leżę, całując Cię –  
warkoczy Twoich gąszcz aksamitna  
po wzgórzach gwiezdnych w niebo się pnie.

Srebrzą się stawy, szumią potoki  
i tylko serce w płomieniu burz –  
idę w puszczy leśnych ciemne wyroki –  
nocy błękitna – żegnam Cię już.

\*\*\*

Moja tęsknota  
do niewidzialnej kochanki,  
jak lilia złota  
marznąca w zimne ranki.  
Lecz żaden duch z zaświatów  
skrzydłami nie oprzędnie –  
oh, tyle więdnie  
kwiatów...

## WODNE LILIE

Znam wszystko w życiu, co poznać jest warto:  
puszcze i stepy, wulkany i morza –  
znam drogi proste i kręte bezdroża,  
a na Tarpei mą duszę rozdarto –  
znam krwawe zemsty i proch przed kościołem  
i bramę piekieł, na którą się wspiąłem.

Wierzyłem Panu. O i dzisiaj wierzę –  
lecz Bóg mój nie jest już Bogiem zbawienia –  
błąkam się w cichym podwórku więzienia,  
patrzę, jak walczą dwaj czarni szermierze  
o czyjeś serce; patrzę w mgławicowe  
światy – i starca wiecznego – Jehowę.

W pałacu lilii krąży bóg miłości –  
złoto-zielony świetlak; nad jeziorem  
latają jętki – w wonnym lazurówym  
przestworzu, bo jabłoń dziś przyjmuje gości.  
Lecz w kielich krople spadają goryczy –  
węża zdeptałem – on zwinął się – syczy.

*Pani K. Zielińskiej – chodząc nad stawem w Ż.*

## ANAMNEZIS

Kwiaty pną się tęczowe wśród kościołów milczących –  
rosa w czarach się zbiera – kryształowych i lśniących.  
Na szafirów ocean księżyc złoty wypłynął,  
jęk się ozwał derkacza i za lasem gdzieś ginął.  
Grają chóry aniołów – nic, to w sennych szuwarach –  
korowody mar płyną – niosą ciało na marach.  
I wstecz za się spojrzałem – na czarne kurhany,  
lico widzę przecudne Pani mi nie znanój.  
„Czy pamiętasz? jak przy kolumnie Memnona  
ty mię wzięłaś kapłankę w królewskie ramiona?”  
– Ja Cię nie znam. –

„Z dolin Hiamawatu  
uniosłeś mię – zapach błękitnego kwiatu”.  
– Nie pomnę. –

„A w czarnej Tartaryi  
tyś mię nawrócił rycerz – do imienia Maryi”  
– Nie wiem. –

„I jeszcze – ujrzałeś na balu  
moje oczy – szafiry – stopione w opalu”  
– I łódź moja płynęła w te zamarzłe morza –  
dziś dbam więcej o rosę karmicielkę zboża,  
niżli sny szczęścia. -----  
----- W chmurach żarzą się łyśnice,  
jak pożar spalający wysp mych czarownicę.  
– Przebacz! szepce mi jabłoń kwietna przetowłosa –  
– przebacz nam! szepcą niwy, gwiazdy i niebios.

*Karolowi Drac – Καλω Κάγαυω*

## MINOTAUR

Śniłem sen dziwny: żeśmy klęczeli oboje  
w kościelnym zmroczu lip –  
a z rozsrebrzonych ołtarzy  
sypał się kwiat – anielskich pełen twarzy  
a na powietrzu brzęczą złote roje.

I klęczeliśmy przed sobą oboje  
i usta nasze społy się łzami  
i nie było już świata przed nami –  
i tylko jedna świętość: serce Twoje.

Ponad borami  
krwawiło się zorze  
i słychać szum!  
tak chrzęszczą zbroje  
lub do księżycyca wzbierające morze,  
a my słuchając, klęczymy oboje.

Potem – uniósłszy mą dłoń –  
z licem płomiennym Ariadny  
wwiodłaś mię w grobów zamkniętych podwoje,  
a w głębi huczał Ten co mrokiem władny  
i pod kopyta zabrał serc oboje.

I po wykutej z brązu wężownicy  
przez gąszcza maków i modre powoje –  
ciała nam złocił blask różanolicy  
– to księżyc,  
wschodząc – zegnał nas oboje.

I już na wieki – w kolumnowej sali –  
pojrzałem w morskie lśniące oczy Twoje.  
Jakby mię w grobie ziemią osypali,  
uczulem wiew, co gasił serc oboje.

Ale się jeszcze rozdzieliło zarzewiem,  
osamotnione w głębiach serce moje.  
...Jeziora białym okryte modrzewiem  
i gór dymiących napowietrzne zwoje.

Wir mię unosił do skalistej grotty,  
gdzie króle w złotych maskach i heroje;  
przez loch w sklepieniu widzę gwiazd obroty  
– błyska mi oczu fosforycznych dwoje.

A były drżące, jak noc przed obłędem,  
wicher w nich szalał, gniew i niepokoje.  
Wbiłem miecz z rozpędem –  
miedziana jękkła pierś –  
on błogosławił krwią swą  
nas oboje:

–Ja  
– duchy z głębin mroku  
– wywiodłem, biorąc ból i wieczne znoje.  
– Z gwiazd niedosiężnych  
– umieram wyroku,  
– aby rozpalić  
– męką serc oboje.

-----  
Nad pustym błędę brzegiem Acheronu,  
gdzie z pęknięć  
płyną law czerwonych zdroje.  
I gwiazdom śpiewam hymn  
podobny dzwonu.  
A w dzwon ten bije śmierć.  
Znów nas oboje –  
Ja –  
i Śmierć.

*Widzącemu umierających i zmartwychwstałych Dr. Krajewskiemu.*  
Szpital Dzieciątka Jezus r. 1891

\*\*\*

Powiało na mnie morze snów –  
ruiny tajemnicze –  
w sosnowych borach Anioł-nów  
zapala krwawe znicze.

I już na głębie porwał mnie  
błękitnym wichrem lśnień –  
o Matko Boża – weź me dzień  
za jeden wieszczy dzień.

*A. Tysze – amar despues de la muerte.*



## WITEŻ WŁAST

Wśród nocy głuchej zagrał dzwon,  
nikt nie wie, skąd przychodzi on –  
kościół zamknięty, proboszcz w śnie –  
a cóż tam w mroku leci – mknie?  
pogrzeb? lecz co te mary konne  
znaczą – i jęki – i śpiewy studzwonne?

Zawrzyjmy drzwi i okna chat –  
będzie to dzuma albo grad,  
ale upiory gonią w las –  
sznur niewidzialny wlecze nas –  
i my za nimi – połą kryjąc  
twarz – idziemy na wpół żyjąc.

Przez wądół leśny, grzęzaw ług,  
gdzie się nie wrzynał nigdy pług,  
przez bór, gdzie szumi skrzydłem strach,  
jak dusze błędne idziem w snach.

Stare zamczysko, drzewiej gród,  
ponoć olbrzymów był tu lud –  
czepia się mszały z głazem głaz –  
płomień wybuchnął i zgasł.

O czymże gęślarz gra?  
w ciemnościach zejdzie Bóg –  
i w kim nie żywie skra –  
ten się obali z nóg.

O, widzim otchłań już –  
stoi w łachmanach król –  
i krwią napelnia kruz –  
może to lek? a może ból?

Na tronie Dziewa śni,  
chochliki w wieńcach róż –  
jak w one idziem dni  
do Chrystusowych zórz.

Obudźcie, Panie, ją –  
obudźcie z onych mar,  
w których się dusze rwą,  
gdy je skamieni czar.

I podchodzimy mrąco do zmarłej,  
i całuję gnijącą tę dłoń –  
sine wargi się bólem rozwarły,  
a robaki żłobią jej skroń.

Odór – stęchlizna –  
na sercu blizna –  
żali morderce? że w pokutnych  
gieźlach – do cieniów pielgrzymuję smutnych?

Czemu na czole mym krew?  
a czemu w oczach Twych srom?  
a czemu łamię się śpiew –  
to w hymn, to w jęk – to w grom?

~~~~~  
Hej, hej! ze smoczycich gniazd
wypełza czarny gad –
w koronie siedem gwiazd,
kwitnący wokół sad.
Dębowe grube pnie
żelazną łuską gnie,
płomieniem krwawym lśni –
krótkie są człeka dni –
serce zamiera nam –
u śmierci stoim bram;
w sercu się mroczy grób,
węża jesteśmy łup.
Ni jak zmarznięte krzewiny
ścięte szronem –
prężą się lwie drużyny
przed zaskronem.
On jeden z wolna paszczę
zwraca w krąg –
i toczy nas, jak praszcę,
w mgliwie łąk.
I grają nam, jak skrzypki,
zielska pól –
wije się przy nas chybki
czarny ból.
Aż tam gdzie w bagnach okno –
bez dna toń –
i gdzie rosiczki mokną,
łamiąc dłoń –
topią się i nurzają
duchów ćmy –
skrzypeczki śpiewne grają:
tęskne-śmy!
A duch w koronie gędzi
niemą pieśń –
i szłocha na krawędzi,

patrzac w pleśń.
I zepchnął go tam dłonią
Witeź Włast,
odziany złotą bronią
z klętych gwiazd.
I przeciw smoku dumnie
zagrał w dzwon –
a młoda pani w trumnie
krwawi szron.
A cały srebrem tkany
spiżów król –
jak słońce – gdy tumany
kurzy z ról –
tak on rozteńczył smoka
aż do chmur –
a noc szafirooka
schodzi z gór.
I tam na nieba morzu
skrzy się gad,
a my – jak na przestworzu
bujny kwiat.
A pieśń ogniami błyska –
wichrem wiar –
jakby przez uroczyska
wionął żar.

~~~~~  
Orły! niechaj wam ukazą szlaki w błękitach –  
w lesie tur, w stepie sumaki –  
a potoki na granitach,  
a w morzu wiry Malsztromu –  
a w chmurach – śpiew gromu.

Na poboju legło sto tysięcy  
młodzianów –  
każdy jęk – każda rana więcej  
mówi niż mądrość brahmanów,  
bo umierał wszechświat w każdym łonie,  
a bóg-słońce szydziło na tronie.

Oto wyschły w posusze las dębów –  
zapalę –  
i tryśnie z ożywionych zrębów  
ognia zachwyt, a nie żale –  
kto się dotknie mego mroku –  
wzleci jak Perkun w obłoku.

Ja nie będę wam grał pieśni smutnej,  
o Cienie!  
lecz dam tryumf dumny i okrutny,  
co zawali błękitów sklepienie

i zdruzgoce –  
waszych bogów tęskniące bezmoce.

I powiodę was w kraj zórz polarnych  
z dźwiękiem rogów –  
i zakrwawię u kamieni ofiarnych –  
i przekuję was ludzi – w półbogów –  
dziką pieśnią serca wam zachwycę –  
a do ręki dam grom – i orlicę.

Ognie! niechaj was wśród mroków rozżarzą,  
Ocean! niech was wichrami napoi –  
jak archanioł z łańcuchem w gwiazd zbroi  
zejdźmy się z Bogiem twarz z twarzą.

---

I cały ogromny lud –  
jak w burzy lecący śnieg –  
rwał się na szczyty gór –  
w siedmio-płomieniu gwiazd.

*Pamięci rycerskiej Sewera.*

## BOJAN

Patrz, mój synu – kry płyną wśród bezbrzeżnej rzeki –  
nad nią drzewa z gałęzi obcięte – kaleki.

Patrz, mój synu – nie wody szumią, lecz pacierze –  
nie kry płyną – lecz z sztandarów obdarci rycerze.

Nie kamienie – ale maski tam grabarzy –  
nie jodłowych lasów drzenie –  
lecz śpiew budzonych pod ziemią cmentarzy.

Nie sierpy dzwonią – ale noże –  
nie mgły czernią – ale się wali na nas czarne morze.

Nie myśl, że Bóg nas rzucił wśród powodzi,  
jako szczenięta. Przy Tobie dwa duchy dziewicze –  
jedna Cię umarłego położy na znicze,  
a druga Cię, jak matka na nowo odrodzi.

Jest Bóg maluczkich i tryumfatorów –  
Bóg tajemnic nad niebem Twej duszy  
i Bóg trzeci – okropny – Bóg pozorów –  
i On hufcem najedzie i pod kopytami skruszy.

Ja stary umrę – a umarli rządzą  
w ogrojcach życia, jako pasieczniki –  
ptaki nie mają dróg – lecz nie błędzą –  
dusza ma własne gwiazdy i tajniki –  
a teraz idź, witeziu.

## **BIAŁE RÓŻE KRWI**

*„ogniem białym, płonącym, nieugaszalnym  
zatracić się w ciemnościach i więcej  
się nie odnaleźć, według pojmowania  
człowieczego”.*

*(Ruysbrock)*

## BIAŁE RÓŻE KRWI...

Białe róże krwi rosną przy mej celi –  
a dokoła bór w swych upiornych snach.  
Kiedy zimna noc – jako czarny ptak –  
na wierzchołkach gór zostrzy krwawy dziób  
dwie siostrzyczki me – ach, dwie obłąkane  
z lśniącymi oczyma, jak zakłęte skarby –

-----  
i słucham piosenek – i drżą srebrne rosy –  
odmykam okno gotyckiej wieżycy.  
I łkają słowiki i z szumem drżą fale –  
do groty umarłych wszedł księżyc.  
Węże znad jezior preżą się uśpione,  
a drzewa olbrzymy pośród chmur i nieba.  
Gwiazdy jak róże kwitną wśród gałązek,  
taniec szkieletów –

-----  
Na katafalku z czarnych kamieni  
leży blady królewicz  
i litośnie patrzy na swą zabójczynię.  
Ona, jak posąg, bezmowna –  
w ekstazie bólu uśmiecha się  
przez zasłonkę grobu.  
Patrzy litośnie królewicz –  
dwa jeziora oczu ścinają mu się w lód.

-----  
Dwie siostrzyczki moje palą kwiat paproci.  
Ziemia rozpęka w urwisko.  
Nad jeziorem śmierci  
siedzi nagi człowiek i w zielonkawą patrzy toń,  
jako w źrenice święte Ureusa.  
A strojne karły i wesołki  
tańcząc na nitkach pajęczych  
zawodzą śpiżowy chorał o narodzinach gwiazd.  
Mój brat: przed obliczem siedmiu posągów  
skrzyżowaliśmy nasze miecze i czaszę krwi  
piliśmy na braterstwo.  
Całą wieczność szukałem –  
odnalazłem weseląc się w płaczu moim.  
Zaklinam go w dawne imiona anielskie –  
przypomina – budzi się, jak ze snu –  
uśmiecha się, jak Jehowa, spoza mgławicy,  
a strumień piany toczy się po zoranych ustach.  
Prosi bym do uścisku podał dłoń –  
chwycił mocno rękę moją –  
zataczając się w okropnej radości,

wykręcił i z całej mocy  
złamał na żelazach.  
Zmiażdżoną ręką uderzył mię w twarz  
i wyzwiał na straszny – zagrobny bój –  
w nurtach głębokiej wody.  
Łzy płyną mu anielskie, rzewne  
po zbrudzonym obliczu piorunami,  
jak ziemia –

---

Dwie siostrzyczki me rzucają do ognia  
pszeniczną śnieć.  
Siedzę na ganku wśród odwiecznych lip,  
szafranowe krokusy pachną roi świętem Wielkiejnocy,  
lilowe malwy i czarne bratki  
szepcą opowiadki o tych, co minęli.  
A słońce rozsypało krwawe róże  
na obłokach – i gdy zagasły – stało się,  
jakby ktoś ogród zamienił w żuźle i popiół.  
Pies wierny skomli przez sen  
u moich nóg.  
Prowadzi do mnie małe dziecię  
żona – za rączkę.  
I cisza taka święta  
wśród omglonych łąk i lasów.  
Świerszcze sykają pod progami,  
żaby rechocą –  
jakby szklane, grające wirowały sfery.  
I poszedłem, ach – na drogę pod krzyż  
i nie wrócę już – nigdy nie wrócę.

---

O siostrzyczki moje, podłóżcie smolny żar  
i niech rozszumi  
oceanowym śpiewem ognia ta puszcza.  
W płonących wirach dymu  
zapadną się moje czarne księstwa –  
w roztopach żywicy  
skamienia się moje napowietrzne jeziora –  
upiorne skrzydła moje  
zanurzę w prastarych wulkanach –  
i tylko serce me złożcie z modlitwą do ziemi.  
Nad popiołami  
zaszumią zboża –  
będą ludzie pożywać – i błogosławić.

*Moim Siostram i Matce*



## STYGMATY ŚW. FRANCISZKA

O wzgardź mną Panie, bom niegodny Ciebie – lecz w piersi mojej słyszę harfy granie i ręce moje wyciągam w zaranie – ku Tobie.

Uderza na mnie blask Mocy i Tronów – gwiazdy mi grają wśród wieczornych dzwonów – na niebie krwawe błyskają purpury – Twoich tajemnic otchłanie i góry.

A duchy z twarzą posepnie ukrytą – oczy im świecą przez wór San-Benito. I patrzę w zimne ich oczodoły – gdzie bezwstyd w dzikie zamarł szaleństwo – w krypcie kościoła tajne męczeństwo – za filarami błyszczą anioły.

I podszedł do mnie Upiór-strach nocny – ręce mi związał, bym legł bezmocny. A harfę po dał w gasnące dłonie – serce, co wiecznym pożarem zionie.

I umęczyłem jeszcze raz drugi to smętne i krwi mej polały się strugi. Odejm mnie, Panie, moim szponom – odejm mnie, Panie, błotu mojemu – czemu nie przychodzicie mi, łzy? i darmo trzymam twarz odwróconą – widzę Twe oczy zachodzące – widzę, jak czarne zimne słońce zakrywa Ciebie mi.

Stoję na ostrym cyplu góry – pode mną w głębi czarnopiórej – nade mną – wkoło – Ty.

Idę ku Tobie, Tajemnico – wsłuchany w poszept kwiatów – otwarte szczęścia mego rany – oh, serc mam więcej niżli światów – niż gwiazd –

A płomień ku mnie z Twego słońca – a burze ciepłe przelatują jestestwo moje – zodiakalne światło nad horyzontem, jako lodowe framugi.

Nie chcąc zakrwawiłem kwiatki i poruszyłem umarłego w trumnie – gałązki ciernia oplotły mi głowę – z rąk płyną świetlane smugi.

Ptaszki lecą pytać się, com widział w niebiosach: duszyczki wasze bardzo tęskniące. Umarli pytają mnie o swych losach – i tylko kwiatki cicho na skoszonej łące oddają aromat, jak siostra Łazarza, Panu.

*Czcigodny K. Baykowski przyjął raczy.*

## SEN

Tyś umarł? nie wiem, lecz się zbudziłem ze łzami  
i jeszcze grają chóry tych anielskich lutni  
i moje serce, jakby fala, łka mi  
i słyszę – cicho szepcą Twój uczniowie smutni.

Czytałem księgę w prześwieconych zbożach –  
kronikę Twoich męczarni i Twych bólów świętych –  
wtem, jakby światy mi rozstępowały się w oczach  
i jakby kwiaty szumią w stepach wniebowziętych:  
tak-żeś się cieszył, gasnąc – tak radował w Panu,  
konając – i czułem ból Twojego ciała  
i dusza moja – ach, gorzko płakała,  
żeś jej tam nie wziął – jak kłos zżęty z ładu  
i rzucony na drogę pod żelazne koła  
w pył...

*Mikołajowi N. w Kriestowozdwiżeńsku.*

*Tej – która cichym promieniem Gwiazdy Zaran-  
nej  
przyświecała moim księżycowym wulkanom – Tej  
zaiste  
wartej złotych strun i słów miłości – mej Żonie  
– poświęcam kończący się tu poemat W MROKU  
GWIAZD  
w Tatrach, w Rzymie, nad Atlantykiem,  
w borach poleskich pisany M. C. M. II.*

## **WIERSZE Z „NIETOTY”**

Kiście wonnych kwiatów lila  
w niewiadome tchną regiony –  
ciemny grób się tu rozchyła  
w zmierzchach rosy zbłękitnionej!

Tam – jak harfa wyżnich czynów  
z gór się weli potok siwy – – –  
idę szukać paladynów,  
hufiec mężów, dotąd żywy!

Lecz nade mną wieczna góra  
lodozwałem zimnym jarzy!  
w grotach oczy lśnią Ahura –  
władcy grobów i cmentarzy!

\*\*\*

Tyle dzwonnice kwiatów lila  
modro-złoty i czerwonych  
wśród zieleni się, rozchyła  
w zmierzchach rosy zbłękitnionych;

a w wąwozie gobelinów  
gór się wędni potok siwy –  
jadę, szukać paladynów –  
hufiec krzyża dotąd żywy!

Lecz nade mną wieczna góra  
lodozwałem zimnym jarzy,  
w grotach oczy lśnią Ahura –  
władcy grobów i cmentarzy.

<Z cyklu KAUKAZ>

## ECHO HEJNAŁU

Tatry! wy niezgłębione otchłanie Prawiecznej niewiadomej Duszy!  
strażniki piekła mego, grozicie krawędźmi skał!  
Księżyc tu mnie rozskrzydła i więzy moje kruszy,  
tu idę w Dantejski szal!  
Tu zapada wzrok mój w czeluście Gehenny,  
szumią nade mną puszcze olbrzymiej Nietoty;  
Murań w koronie, jak Sezam tysiącpromienny,  
obłoki lotne – hufiec Cherubimów złoty!  
Tu jestem z mą zagadką... (wóz bohatera wspiał się na mury przeznaczén!) –  
Wchodzę w ciemne komory, gdzie złoto krwi pleśnieje w cieniu...  
Mam tysiąc zamków, a każdy jest księgą coraz głębszych znaczeń –  
i żyję w wiecznym płomieniu.

Rozwieram bramy Ornaku – idę w tych grot kolumnady...  
Hejnałem mógłbym zbudzić Królową i jej wojowniki –  
lecz mą harfę oplotły straszne, dziwne gady,  
które już znał Herakles... Księżyc, jak wieszczy Walmiki,  
świeci w toń moją – – w toń morza... Tam wicher zdruzgotany  
dawnego Boga – – –  
– – – – – Polska zginęła w przepaściach, szła na takie słońca,  
wywiodła z rajy tak wielką miłość ku Mroczni niezbadanej,  
że teraz musi – Nike tęczująca,  
rozwiawszy pióra, lecieć w Wiecznych Burz płonący stos,  
na gór tych najwyższy wirch... tam ujrzy Drogę Jedyną z niezmiernej oddali,  
tam już Jej nie dosięgnie maczugą zły, potworny starzec – Los,  
tam pójdzie w mroku bezmiernym i Wiedzę ostatnią wśród gwiazd wykryszali!  
– – – – –  
Z tatrzańskich źródeł wyniosłem wam pieśń – niech idzie!  
nie wierzę już w naród, który mogilna zre pleśń –  
lecz wierzę w wirchy Świateł, większe od gór Hiamawatu!  
Z doliny nędzy – – gór wschody ku słonecznej wiodą was Izydzie...  
miliony gwiazd w tym Kościele zaiskrzą całemu wszechświatu !

Tam zorze Sybiru, katorga (w krainy te wwiódł was Anhelli!)  
lecz mój rozpacz nie zwiedzał nigdy Jan z Kolna, –  
gwiazd mych nie mierzył Kopernik! w milczeniu wiecznych wierzchołków  
odkryłem Wam ten kraj, gdzie tylko dusza żyć może tam wolna,  
mroku mojego nie zniesie czerń błotnych pachółków.  
Lśnią karawany słońca! – wciąż wyższe – promienistsze słońca!  
Na wolność!..  
– – – Mam wyznać? ludzie zdają się mi glisty  
marnymi, które świdrują mogiłę...  
– – – Mam wyznać? trzeba im chlewu, a nie gór z dyjamentów!  
żadna pierś nie zdoła oddychać tam, gdzie duch wieczysty  
wyszedł z swych urojeń, ambicyj – i trwożnych miłosnych zamętów.

Mógłbym z terażniejszości szydzić – i strącać kamienne lawiny,  
bo nienawidzę podłej wciąż przed Jaźnią zdrady – –

(uczcijmy – Judasza!) –

bo nie ma gorszych głupców ni gorszej przewiny,  
niż twierdzić, że w nas jest Polska! gdzie my prosperujemy – tam Ona zginęła!

Ta ziemia – Matka Boża, cięta od pałasza,  
nie dozna – Zwiastowania! czyż dziw, że brama się Ornaku zmknęła,  
gdy wszelkie padło dziś ma się za Mesjasza!

Ten, co za miliony walczy – Duch piorunowładny:

Lucifer, Światowid, Agni, Angramajn – – niezależny

od ludzkich kiepskich przemyśleń i niewiar! – –

Już dość! drwię z waszych smaków! – –

Na harfie mej gady

zbyt Wami się troszczą!... Idę... Któż ze mną? niech będzie

Ten puklerzny,

bo ja go nie oszczędzę! – – nieraz będę włókl, jakby trup

Hektora – –

(Nie mam porównań, bo któż się znęcał tak nad Poloniuszem?)

Rozwieram Wam pustynię w ciszy wielkiego wieczora,

urzczone księżycem, jak skarabeuszem,

boskim i cichym: te góry, lodowce, wyjące wśród czeluści, morze...

Idę na ucztę Genezis! wam hasło rzucam: – imię mu – Bezdroże!



\*\*\*

Zachodzi słońce z mego ogrodu,  
przyjęłam w morzu modrym chrzest  
wiosennego pełen chłodu...  
Usłyszałam, że Duch idzie – i już jest!

## **DROGA OD KEZMARKU**

Nieskończoność we mnie trwa –  
lśnią szmaragdy czarnych borów –  
lśnią szmaragdy czarnych borów.  
Na kaskadzie nimfa łąka  
w grotach ciemnych wśród jaworów.  
W Koperszadach złota mgła –  
zapóźniony gość wieczorów –  
noc na koniu czarnym gna  
i zamyka raj przestworów.  
Zapóźniony gość wieczorów –  
Noc na koniu czarnym gna.

## NA HALI MIĘTUSIEJ

Mgły się suwają nad czarnym borem –  
krople padają z drzew –  
słyszę daleki słowiczy śpiew  
w sercu mym chorem.

Na niebie groźne mroczne chmury –  
w mgłach mój nieznany szczyt –  
ptak we mnie śpiewa złotopióry:  
już świt! już świt!

## **W WĄWOZIE SMOCZEJ JAMY**

W czarnej jaskini żyje smok,  
światlaki krążą złote –  
o Matko Boża, niech Twój wzrok  
rozjaśni życia grotę!

Przepaści pełen groźny jar,  
gdzie się wciąż toczą lody –  
o Matko Boża – niech Twój czar  
powiedzie nas na Gody!

## **PRZY SKALE PISANEJ**

Jednodniówki konają na wodzie –  
czemu konają? nikt nie wie.  
Rój motyli krąży na swobodzie –  
czemu krąży? nikt nie wie.  
Góry w chmurach już od lat milionów  
czemu w chmurach? nikt nie wie.  
Serce tęskni do morza i tronów –  
czemu tęskni? nikt nie wie.

## W KOŚCIELISKIEJ

Niebo tak modre, jak myśl Zbawiciela,  
gdy potępieńców wyciągał z otchłani –  
od ziemi jakaś nas przepaść rozdziela –  
a nad przepaścią my dwoje zbłąkani.

Serce mi pęka – a nikt, czemu? nie wie.  
Wiwian mi zwięcił: tęsknota za niczem!  
siedzę na drodze zasłuchany w śpiewie,  
który o szczęściu mówi mi zwodniczem.

Leśne zielone kałuży zwierciadło,  
jak przez Chrystusa odpuszczone winy –  
widzę mej duszy niezmierne mokradło  
i wiary mojej ognik złoto-siny.

Życie aniołów tętni w każdej trawie,  
marząc o gwiazdach, umierają w chuci –  
tych gór olbrzymy do ziemi przykuci –  
o, księżyc! księżyc śmierci wschodzi zbyt jaskrawie!

\*\*\*

Migocą złote pomarańcze  
w odludnym czarnym salonie –  
Ty upiór – rządzisz na tronie –  
z księżycem wchodzę ja – i tańczę.

Splecione kobry nad róż misą,  
nurzą ją jady w kryształ czarek –  
wśród maurytańskich kolumn Wareg  
mieczem wskazuje tam gdzie lwy są.

Miłosne krwawe pomarańcze  
w letargu śniącej czarnej Diany –  
o jęku, tylko raz słyszany!

-----

Z księżycem wszedłem tu i tańczę.

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Dni moje – jako borów palących się szum.  
Noce me – to zbłąkany kometa w niebiosach.  
Miłość ma – jak przez widma opętany tum.  
Pieśni me – niby króle ginący na stosach.

<Z cyklu KAUKAZ>



\*\*\*

Mam serce popękane, jak wulkan w płomieniu,  
i pędzę, wichrem niesiony wśród skał:  
nad morza cicho śniące, nad głębie w omdleniu,  
gdzie pył kwiatowy tonie, który wichur zwał.

Tak chciałbym słuchać śpiewów z minaretu,  
nucących Imię Boga nad morzami z gwiazd!  
Tak chciałbym w pierś mą sączyć powietrze sorbetu,  
z dolin płynące aż do orlich gniazd!

Tak chciałbym palić twoich oczu lawę  
błyskawicami moich czarnych żądź –  
i miecz złożywszy między nas w murawę –  
i z zatrutego drzewa kwiat pachnący rwąc – –

Lecz serce mam spękane, jak wulkan w płomieniu,  
krwawiący Imię Boga wśród piekielnych skał.

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Noc – kryształ czarny. Iskrzą się gwiazdy nad borem.  
Jeszcze mam obraz Twój w sercu mem smutnem i chorem.  
Pociąg mię niesie w dal ku morzom, gdzie wszystko utonie –  
i wtedy pójde ku wam, o gwiazd plejado, Orionie!

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Lecę wśród złotych pszenic  
w gajach gdzie słoneczniki –  
w brzęku jedwabnych uździenic  
koń rwie się pode mną dziki.

Hej, zepchnąłem carewnę  
w Dnieprowe ciemne wiry –  
a łzy Jej – chmury ulewne –  
rdzą padły do mej liry.

Hej, leć koniu przez jary,  
zerwij pasma kądzieli –  
jam nie pieśniarz Tamary  
smętny Szot Rustaweli!

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Nuży mię ta sina dal,  
która nie ma grozy ciemnej Orki:  
morze – ogród, wodorosty fal –  
i delfinów stado, jak amorki.

Tu Czatyrdah nie śnieży w obłokach,  
pieśnią wojny nie brzmią minarety,  
burzan rośnie na Gireja zwłokach,  
łez fontanny śnią milczeniem Lety.

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Skrzydła gryfów pogłębione budzą we mnie szal Atrydy.  
Mórz głębiny zielonawe w mgłach powiodą do Kolchidy  
a te zimne skał potwory, gdzie Dyjany ciemna grotą,  
ja miłością rozplomienie w mit z porfiru i ze złota.

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Idziesz tu ze mną W zamarłe pustynie,  
gdzie Sałgir szemrząc w cyparysach płynie –  
a niebo jasne rozpala pożogą,  
jak skrzydła duchów co wzlecieć nie mogą.

Czarne diamenty – oczu twych latarnie –  
wiodą mię w zimne lodowe zasłony –  
i jako Dante błędę potępiony,  
gdy mu ostatnia gwiazda zgasła w Arnie.

<Z cyklu KAUKAZ>

Na maszcie moim Wega się żarzy –  
a na dnie zimna puszcza koralu –  
fala wyjąca dziko się żali,  
jak widmo tęskne umarłej twarzy.

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Wśród czarnych mórz  
ogień w rubinie –  
widzę w głębinie  
Śniąca o wędrówce dusz.

Migocą zarze  
na grobowcach gór –  
płonęły nam twarze  
miłością znad chmur.

Słońce z gór wezgłowia  
kładło cień po cieniu –  
wśród ludzkiego mrowia  
zostałem w milczeniu.

Ach, dobrze – już mrok  
na chmurach popioły –  
widzę Boga wzrok –  
gdy stracił Anioły.

<Z cyklu KAUKAZ>



\*\*\*

Róże – mimozy  
kwitną tu,  
czarne wąwozy  
pełne mchu.

Gór lodozwały  
sinią w mgle –  
potok źdźdźczały  
jamy rwie.

Zmierzcha topazem  
niebios chram –  
zejdziemy razem  
do tych jam.

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Jadowite węże pełzną po stepach,  
księżyc rosę pije w srebrnych czerepach;  
(miłość ma umarła, jak o szczęściu sen) – –  
niebo wiekuiste, jak morze bez den.

Gór wierzchołki w gwiazdach rzeźbią Bogu sąd –  
zły geniusz tam kona – ma na skrzydłach trąd;  
burze ciemne biją piorunami w skroń –  
żadna z cór anielskich nie podejdzie doń.

Koń mój, krocząc w otchłań, trącił gniazdo węża –  
skoczył w bok – i upadł – i już śmierć go stęża – –  
idę sam – i patrzę w śnieżną Boga twarz –  
chmury łez mych płyną do lodowych czasz.

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

Pośród stepów i wydm i słonawych ziół  
błękitnieją mury szafirów –  
na nich gwiazdy lśnią z czarnoksiężskich kół,  
łabędziami płyną wśród wirów.

Morze wzburzone, złe – pełne milczeń i zrad –  
morze pełne lśnienia turkusów –  
wicher niesie mu pył – i szarańczę – i grad  
i wycie z zadzumionych ułusów.

I wielbłądy tam błądzą po spieczonej pustyni,  
gnąc swój grzbiet wśród czerwonych tumanów,  
rzeki w piaskach mrą, niosąc swej Władczyni  
zwiędły liść jadowitych durmanów.

A tam w morza głębinie śni zaklęta królowna  
i to morze straszne sił nie ma jej obudzić!

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

O, jakież idą srebrne chmury  
na te olbrzymie czarne szczyty!  
. . . nagły lecący ogień z purpury –  
gwiazda! jak duch z amfory rozbitej.

W tych basztach popękanych są dziwne ulice,  
w jaskiniach tajnych błyskają światelka –  
meteor upadł w wyklęte ciemnice,  
niechaj me serce hymnem swym rozelka!

Księżyc i chmury – i ja – Twórca wolny!  
jam rozwulkaniał te góry w przedwieku,  
ja widmo groźne żyjące w człowieku,  
ja niebo – gwiazdy dzierzę – i ów zamek dolny!

Teraz mój los widzę – mój los widzę – ten, że jestem bóg!  
prawdę mówiłeś do mnie Luciferze!  
to zapomnienie straszne i wyjście za próg  
mojej wieczności – skąd grzech źródło bierze!

Światła nad wodą śniącą, gdzie umarłe ludy;  
obłoki cicho śnieżą te mury podniebne, –  
a taro w księżycu zamek miłości i złudy  
i zaklęte w kamieniu sonaty pogrzebne.

Bóg! jest Bóg! do niego się pięły tytany law  
i zdumione stanęły przed gwiazd huraganem  
i czytając księgę diamentowych praw,  
umilkły – w zachwycenia morzu nieprzejrzanem.

Ja mrok – ja smutek – ja bezmoc – a jednak też bóg!  
.....  
mozaiki gwiazd na czarnych wniebowziętych szczytach!

-----  
-----  
-----  
Księżycu! przy ołtarzu chmur – wieszczku i kapłanie –  
daj mi sny – tak skrzydlate – samotne – przejasne –  
bym zapomniał, że idę w wyklęte otchłanie,  
iskrząc się męką ognia – aż w dymach zagasnę!

.....  
.....  
Ciemne drogi me!  
wysrebrzone –  
ukochane –  
wycalowane przez księżyc!

<Z cyklu KAUKAZ>

## RÓŻANY OBŁOK

Z gór mówię białych przy zachodzącym słońcu.  
Mrocznieją głązy olbrzymie, idą na wasz gród.  
Nie oszczędzą sadów, ni minaretów.  
Złote wieżycy legną w ruinach, na dywanach smyrneńskich pokrwawią się głowy.  
Nałożnice w plusku fontann usłyszą spoza wysokich ścian ogrodu  
huk ciężki zstępujących olbrzymów.  
Miasto, jak garść brylantów migocąca w marmurowej misie, rozbłyśnie tysiącami ogni  
tych, co zbudzeni będą pytać i zmiłkną.

-----  
Ale On patrzy na obrady geniuszów w, sali mrocznej, gdzie sądzą.  
On słucha w ukryciu.  
Jego niech się trwoży serce Twoje.  
Miecz twój niech błyszczy rosą Imienia.

-----  
Fontanny zamrzły, ptactwo ucichło, krzyk i śpiew skamieniał – dzieci przytuliły się do  
kwiatów, na których wiszą nieruchome pszczoły.

Czarna gazela moja wyszła z grobowca, ku morzom, gdzie płyną góry lodowe.  
Widziałem Widmo i nie wzbronilem odejść za baszty skał, aby nie była w dzień mojego  
sądu:

gdy mię przywiodą skutego w łańcuchu i Jaźń moja z obrzydzeniem nastąpi nogą na mój  
rubinowy diadem.

Gdyż wybrała mię swoim prorokiem, lecz dusza moja płynie na lodowej górze, szukając  
nadaremno po modrych otchłaniach Tej, która wyszła z mojego serca, czyniąc je zimnym  
grobowcem.

Lucifer jest! mówią to skały, wstrzymane w biegu z gór ogromnych, które opasały miasto.

Lucifer jest; pachną Imieniem Jego żółte owsy w ogrodach i dojrzałe brzoskwinie – i laki  
szkarłatne, i pstre begalie, i chińskie fioletowe róże.

Lucifer jest: gruchają gołębie, i ptactwo świegoce w bujnych topolach, i niebo błękitnieje,  
słońce zachodząc przykłęka na kaszmirski purpurowy dywan –

a gwiazdy już poczynają wyśpiewywać Jego imię z kryształowych czarnych minaretów.

\*\*\*

Lucifer jest! powtórzyłem, stojąc na płaskim stepie, który pokrywał zielenią górę, i czując,  
jak morderca pełźnie wśród traw.

Zorza wieczorna złotym przepychem rozkrzewia się nad górą podobną do trumny – niebie-  
skie trójkąty przedzierają się przez jej złototkany szal.

Gwiazda miłości wystąpiła pierwsza na jasne przejrzyste lazury.

Cmentarz, nagrobki w turbanach i spisach – dają mi wspomnienie, że byłem królem naro-  
du, który wyginął.

Nie żał mi jego i nie wyciągnąłbym rąk do berła nad nim.

Lucifer mię uczynił prorokiem pustyni i nie kazał mówić do mrówek z miast.

Zejdą się olbrzymy przed namiot nieba mojego – zanurzą swe ramiona we krwi i będą  
kiełznać chmury pełne skrzydeł.

Wyjechałem ku miastu wrytemu w skałach, gdzie nie ma żyjących.

Koń biały unosił mię lekko jak obłok mgły między wysokimi ziołami.

I gdzie padła piana z jego uźdżeniec – tam zakwitały ametystowe łany krokosu.

Jechałem do grobu Jej, aby przyzwać Widmo, i do łoża mego chciałem Ją unieść.

W bramie umarłych ujrzałem niewiastę młodą i drobną, niezmierniej piękności.

Jakoby latarnie czarnych diamentów okryte jedwabiami rzęs – świeciły jej źrenice, twarz i postać zdały się żywym płomieniem.

Czułem pocałunki jej spojrzeń na moich opuszczonych powiekach, imię Jej było Dalita. Podąłem dłoń mą zamiast strzemięcia, gdy siadała ze mną na Mlecznego, i ostrożnie z wolna zjeżdżałem z wielkiej stromości ku dolinie, gdzie srebrnym węzem wypływała rzeka i drzewa gajem czarnym, pełnym cienia, zapraszały do swoich świątyń.

Droga zwęziła się nad przepaścią i skała stromo sterczy ku niebu, a głęboko w dole zasnuły się wąwozy mgłami.

-----  
Tam w nieskończone dale idę, w nieskończone dale idę smętny sam.

Wrota gór rozwarte przede mną, a za nimi morze, –

\*\*\*

Kiedy opadł żar południa i chłodny wietrzyk oświeżył niebo, które było rozpalonym piecem – używszy kąpieli pachnącej siarką w kłębach olbrzymich tęczowej piany – pod ręką wysmukłego Hindusa – otworzyłem furtę do ogrodu niezmiernego, który się rozciągał na stokach wielu gór przerytych bezdenną skalną czeluścią. Tu, znużony myślami, których żar nie dał się ochłodzić sorbetem i zimnym krwawym owocem indyjskich kaktusów, patrzyłem na góry, gdzie kołyszą się jasnozielone łany traw i brązowe skaliste grody pełne sykających świerszczy i zapachu cząbrów.

I zmierzając ku skałom, widzę na ich porytych sarkofagach zamierzchłe legendy: Prometeusz skuty słucha Oceanid, głowa ścięta Meduzy płynie po falach. Jutrzenka sięga ręką do przełęczy nowych zórz, okrutne Bożyszczce na ołtarzu splecionych ciał – – – a wodospady cicho szemrzą w wąwozach, i trzciny bambusów nad stawem poruszają się od przechodzącego ibisa.

Księżyc błądy jak zbudzony upiór; muszki zielone wirują w napowietrznych jeziorach – serce moje było ciche, lecz niemocne.

Syciłem się czarnym szkarłatem lilij, fale złotych mietlic kołysały się –

i byłem znużony jak posąg świętego, co już stoi od lat tysięcy w starej świątyni, z rozwartymi oczyma na tłumy wielbiących, a bardziej tajemniczych, niżli Bożyszczce, dusz.

Gdzie jesteś? bóle moje się zagoiły, żądze umknęły, jak szakale z miejsca ogniów.

W duszy mej świeci głowa Matki Boga z przymkniętymi oczyma, gorączka męki już przestała ją palić, łzy wyschły, niebo już osiągnięte i otwarte, Syn króluje wśród gwiazd i otchłani, żołnierze rzymscy dawno rozsypali się w mogiłach, lampa kadzilna płonie rubinowym pełgającym uwielbieniem – i tak smutno – monotennie – bezdźwięcznie w tych niebiosach, gdzie trawy się kołyszą, błękit bez chmur, i tylko orzeł niedosiężnie przelata – unosząc w szponach obwisłe zakrwawione koźlątko. –

\*\*\*

Przepaści węzem złowrogim przeryły ogród, zlebem kamiennym zapadają w głębinę piekieł.

Potok to rwie się huraganem jęków, to wypełnia milczeniem zimne bezdenne jeziora.

Niewidzialne ropuchy i kameleony, gnieźdzące się w wilgotnych jamach, gadały ze sobą.

Księżyc przyświecał przez mroczne tysiącletnie lasy cedrów.

Na szczycie niedostępnej góry migotał zamek łuską lśnień.

Słuchałem bębnienia ropuch i szeptu kameleonów, które obsiadły w leju skalistym mgławce jeziora.  
Myślałem o tych, co błędzą zamknięci w pieczarach.  
Sam byłem – księżyc już zapadł za góry – chłodne milczenie nastrojało swój instrument  
przerażenia i rozpaczy.

Myślałem – jakie są tajemnice Boga, kiedy je ukrywa przed sobą samym?

\*\*\*

Przyległszy twarzą do granitowych wschodów świętego stawu – przysiągłem Tobie, Du-  
chu nieogarniony – –

Czemuż przyrywam milczenie?

Na górze upiornej spod całuna lodów mroczą się granity – niebosiężne twierdze z białych  
marmurów – stacza się błękitny lodozwał, jakby płaszcz olbrzyma.

Tu karmią się u źródeł rzeki szalone i nieokiełznane, co trą głazy na mialki żwir – a im bli-  
żej morza, ciche i głębokie.

Ja, król, wisiałem nad przepaściami, i nie miał mi nikt sznura dorzucić, nie było nikogo z  
żywych – prócz sępów, co wyglądały jak czarny różaniec na tle śnieżnej straszliwej piramidy.

Pisałem sztyletem Imię Twe na bryle kobaltu, czekając rychło mi omdleje ręka i runę w ot-  
chłań, z której wiatr mroźny podnosił moje włosy do góry.

Ujrzałem kosodrzew i wbijając szpony w ścianę, dociąłem się do krzewiny i przy niej le-  
głem omdlały. Ptasek lecący mógł mnie muśnięciem strącić tam w otchłań, gdzie ryczący  
potok tu zaledwo zdał się wężykiem srebra.

I począłem się zsuwać jakby z murów piekielnego grodu. –

Teraz, gdy słońce zaszło, ja, minawszy otchłań, ucałowałem w mroku ziemię wonną od  
traw – i spoglądałam w obłoki płynące, które przyszły do gór tych na spoczynek nocny – patrzę  
ku Nieskończoności, która się staje wciąż głębszą świątynią gwiazd i wtajemniczeń –

Jestem obłokiem zwiewnym, który przyszedł ku nieruchomym nadziemnym wyżynom,  
wiatr poranku zwieje mię, dokąd Ty mu rozkażesz.

Gromnice gwiazd rozetlą się nade mną śniącym, dusza ma jak tchnienie kwiatu tuli się do  
Twoich ran, o Góro,

z nizin umarłego stepu

wznosząca się śnieżną Allelują w nieprzejrzane Milczenia Wiecznych Przeznaczeń.

\*\*\*\*\*

\*\*\*

Księżyc wschodzący krwawo ponad misą stepu,  
jakby wychudła twarz świętego Jana;  
powietrze słodkie jak róże Alepu –  
i morza dal błękitna – modra – zadumana.

I tu mi jeszcze słychać Twe szlochania ciche –  
jak krwawe liście klonu lecą na mą drogę –  
i czuję, że Cię w trumnę kładnę, mą niebogę,  
a idę w pałac marzeń stworzony przez pychę.

Złocę się, jak latarnia, umarłym okrętom,  
i rzucam komet blaski w pomrok nieprzejrzany –  
i tak mi jest, jak gwiazdzie okutej w kajdany,  
co innych wiąże swą mocą wyklętą!

Wracam – i świerszcze mi tak rzewnie nucą,  
jakby wejść miało ze mną szczęście w progi!...  
Ludzie znów będą – lecz dusze nie wrócą –  
co się rozstały płacząc – w gwiazdach Mlecznej Drogi.

<Z cyklu KAUKAZ>



\*\*\*

Sen mi się jakiś ciemny przypomina,  
który ostrzegał, by podróż zaniechać –  
na próg w koszulce wyszła ma dziecina  
i mnie tak żebrze: tatusiu, nie jechać!

Podniebne rzeki zmarzłego lodowca  
łyły moje wzięły do zimnych potoków,  
lustra Sardarów ujrzały wędrowca,  
który je przyćmił gwiazdą wieszczych mroków.

Po opuszczonym błąkam się ogrodzie  
straszliwych przeczuć, które ból tłumaczy:  
śniłem, że brnę z mym dzieckiem w czarnej wodzie  
krew mu garelkiem biła – i w rozpacz

niosłem na brzeg. – Więc ujrzę nad ranem  
mój los – i niewolnik Boga  
klęknię u stóp – lub będę szatanem!

<Z cyklu KAUKAZ>

\*\*\*

A gdym buchnął krwawicą z ust,  
wszystkie się nieba zebrały anhelice  
i płakały nade mną.  
Chmury zerwały tamę i pękł nieba spust.  
Pachniały wieńce krzyża – i gromnice –  
i stary Matki Bożej bohomas świecił srebrem.  
I lał się za oknem deszcz w mroku  
i woda pluskała nad cebrem.  
I zegar bił prędko dwanaście uderzeń.  
I umierało jedno z moich białych wierzeń.  
I byłem cichy, wiedząc, że w niebie jest na mnie  
wydany sąd – i będzie głoszony stubramnie  
po wszystkich murach – w Grodzie Potępienia.  
Bulgotał w rynnach deszcz. Wlokły się czarne milczenia.  
Zegar bił. Cóż jest Szatan? Ten, który idzie wbrew Boga.  
W grocie samotnej nad morzem palą się dymy z trójnoga –  
wśród drzew się szarpią błyskawice –  
a z domu wyszły chore myszy, by zaczerpnąć tchu.  
Tym myszkom ludzie święci wszczepili błonnicę –  
– taki mrok zimny – i taka ulewa – i tu  
ja niegdyś miałem niebo otworzone.  
O Luciferze! tam gdzie lwy w pustyniach  
i gdzie haftują gwiazdy czarną tajemnic zasłonę,  
tam pójdę – z błyskiem ognia w podziemnych świątyniach!

<Z cyklu KAUKAZ>

Tak mi jest cudnie tu!  
jak gdyby raj zeszedł na chwilę do ziemi!  
Niebo turkusmi świeci bezbrzeżnemi...  
Zachodzi za borem słońce, jak w Micie  
indyjskim – ziemia i niebo mówią: już wiemy! już wiécie!  
I tylko dusze nieukojne,  
przybite do ziemi, – wstają – i Mocom Groźnym wytaczają  
wojnę,  
w której polegną!...

Tak mi jest cudnie tu!...

– Nocy czarna, która idziesz nad wodami  
i zamieniasz je w srebro pełne błękitu,  
módl się za nami –  
bośmy jak brzoza moczarna,  
którą widzi odbity w mogile blask swojego szczytu...  
Módl się za nami!  
bo wszelka dusza kona, jak my – pośród gwiazd bezmocy!  
Tam płynie Wolność, jak dzikiej Imatry  
nurt – tam kwitną żądze, jak lilie czerwone,  
tam orły znowu na Kaukaz i w Tatry  
lecą – po jasną rozświtów koronę!

## NIEWIADOMY GŁOS:

Kto jestem? wie tylko ten,  
który wie, iż mnie wcale nie ma.  
Śni mnie ktoś, jakby ciężki sen –  
płacze ktoś o mnie pod brzożami trzema!  
Imię Jezus powtarzam wśród nocy,  
imię Jezus powtarzam, gdy płaczę –  
imię Jezus powtarzam, gdy kracze  
nad mogiłą moją ptak niemocy!  
Imię Jezus napęlnia moich serc komorę,  
imię Jezus mam na każdym głązie,  
imię Jezus zamienia mię w świętą potworę,  
która idzie przez sady i kwitnące bazyliki.  
Imię Jezus na wirchu mam księżycy góry,  
którem wyrył, zanim ziemia ta była ognista!  
imię Jezus wymawiam wśród życia tortury –  
w domu obłądki, gdzie droga jest ciernista.  
Imię Jezusa kocham nad lice kochanki,  
nad jeziora, nad lasy i nad świtania –  
imię Jezus wprowadza mię w szranki  
rycerzy bożych – Zmartwychwstania!  
O, tajemnicze –  
Ciebie z rąk gwiazdnych odbieram –i lśnienie  
w moim sercu nie obliczę!

## **WOLNOMULARZE POLSCY:**

Dałeś nam, Mroku, mieczów siedem,  
a wszystkie miecze obosieczne:  
niezyczną Miłość – brak Miłości,  
wpatwienie oczu ślepych – wieczne!  
nieugaszonych marzeń – kwiat parości,  
zwątpienie, które jest nam Credem;  
zamek Chrystusa na bajorze;  
tętent szatana wśród Golgoty –  
i krzyż milczący, w głębiach złoty,  
który niewiarą pług zaorze!

## **EMIR RZEWUSKI:**

Hiacyny wystrzeliły nad grobem Jezusa:  
Maria z Magdali!  
Nepenthesy czarne nad grobem Jezusa:  
Mahomet-Ali!  
Róże się krwawią nad grobem Jezusa:  
Katarzyna z Sieny!  
Paprocie tajne nad grobem Jezusa:  
z ksiąg Awiceny!  
Nenufary ciche nad grobem Jezusa:  
mniszki śnią mękę!  
Niebo wieczorne nad grobem Jezusa:  
kometa Enke!  
Ogrody pustyń nad grobem Jezusa:  
Maria z Magdali.  
Tarcze zagasłe nad grobem Belusa:  
Mahomet-Ali.  
Sfinksy olbrzymie wśród gór Edypa:  
człowiek wybrany!  
Nad Gopłem czarna opuszczona lipa:  
wieszcz obłąkany!  
Upiorna zorza nad oceanem,  
okręt wśród lodu!  
Na świecie idę – w kraju nieznanym  
wódz bez narodu!

### **III WSPÓŁCZESNY:**

Tak jestem szczęśliw, jak Chrystus nad krzyżem –  
a tak samotny, jak duch, kiedy tworzy;  
a tak na drodze – jak archanioł boży –  
a tak ogromny – jakby grany śpiżem!  
Z rąk moich płyną ziemi utworzenia,  
choć jedna tylko gwiazda w mroku ze mną...  
Wmyślony jestem w górę mych światel tajemną,  
gdzie mówią wokół Bracia wśród milczenia.  
Jestem zaiste Moczar niepojęty  
i życie moje – to czartów bezdroże;  
jestem Czarodziej w lasach, trochę święty,  
i z pni prawiecznych wydobywam zorze.  
Mam ja wyklętą mądrość niewidomą –  
me imię jest: omnis Homo!



## <TRISMEGISTA:>

– Miesięczna wielka mogiła,  
gdzie śni myśl wieków ukryta,  
jakby na ścierniu kobieta,  
zbierając, które zgubiła,  
kłoseczki krwawego żyta  
od wieków zagubione!  
W jakąż wiedzie stronę  
dusze – co tworzy mogiła?  
Miesięczna bogini leży –  
na łonie różne ma znaki –  
z Zigurat Chaldejskiej wieży.  
Dziwne śpiewają nam ptaki.  
Każdy kłos krwawy zerwany  
szepce tajemne wigilie –  
wciąż rozwierają nam lilie  
krzyżowe swoje znaki!  
Wiedzie mię do mej mogiły,  
gdzie się poznamy miłośnie...  
Zapalam dziewięściły,  
wicher wygrywa na sośnie!  
Labirynt widzę zawily,  
tam huczy morze rozjękiem –  
napawa duchy lękiem  
idąca ciemność mogiły!

## **Z UTWORÓW ROZPROSZONYCH**

## LAZARZE

Znałem wariata. Kochałem go szczerze,  
Nawet wielbiłem jego gwiazdę jasną,  
Bom sam podówczas nosił jeszcze pierze,  
Które nam ufać każe, iż nie zgasną  
– Jako łożówki – sił duchowych wieże,  
Iż wielkość zawsze swoją mocą własną  
Zdoła wyrąbać się na życia drodze...  
Ha, byłem młody, zatem głupi srodze.

2

Żyliśmy w dwójkę górnice – na poddaszu,  
Gdzie moje rzeźby rozpoczęte stały,  
Zmieszane tłumnie, niby na kiermaszu,  
Gdzie je złociło słońce, to się śmiały. –  
My razem z nimi, chociaż w patronaszu  
Rzadko patrony brzęczące bywały:  
Młode marzenia są nam jak narkotyki  
Lub z tęczowymi szklami jasny gotyk.

3

Jego zajęcia były naukowe,  
Lecz duszy swojej nie zaparł w bibule,  
Lubił na słońce patrzeć purpurowe,  
Gdy gasło w blaskach (nie jak ziemscy króle!),  
Potem na niebo ciemnotazurkowe;  
Gwiazdy – zwykł mówić – piły jego bóle,  
Nieskończoności przedsmak mu dawały.  
Rzeźby poważnie na nas się patrzyły.

4

Wziął za specjalność swoją zbadać ducha,  
Jego zawartość, oraz przeznaczenie, –  
Bo nie chciał wierzyć, aby taka sucha  
Była treść bytu: walka i zniszczenie,  
Aby natura mechaniczna, głucha,  
Na bezcelowe skazała cierpienie  
Wszystko, co żyje – a tak z świata tego  
Robił się padół gorzki i złego.

5

Więc myślą szukał gwiazdy dla człowieka,  
Co byłaby mu w wędrówce niezmienna  
I dała pewność błogą, że nie czeka  
Po śmierci nicość, a w życiu Gehenna.  
Tymczasem szczupłał; chleb i trochę mleka –  
Zacna, lecz chuda zbyt strawa dzienna,  
Rzeźbiąc mu rysy, dała ostrzeżenie,  
Że oprócz gwiazdy – potrzebne jedzenie.

## 6

Ba! darmo walczyć z tym śmiesznym barokiem,  
 W którego stylu świat jest zbudowany  
 I który robi jedno zbyt szerokiem,  
 A drugie ściska w wiotkie filigrany;  
 Jeden umiera – bowiem jest żarłokiem,  
 Drugi umiera głodem wycieńczany,  
 Można się nudzi, zazdrości mu słaby.  
 Żrą się wzajemnie pełzające kraby.

## 7

Dopóki letnie stało w niebie słońce,  
 Drwiliśmy sobie z tej naszej nędzoty,  
 Wierząc, że wszystkie przejścia mają końce,  
 Nie przewidując wcale, że roboty  
 Może zabraknąć – i Nirwany gońce –  
 Chyłkiem, jak złodziej, wkradną się – suchoty!...  
 (Te się zjawiają łatwiej niżli rymy),  
 Filozof miał krwioplucie pośród zimy.

.....

## 10

On stracił lekcję, ja również zarobki,  
 Które miewałem z tutejszych cmentarzy.  
 Nie ograbiałem trupów, lecz nagrobki  
 Kułem szczęśliwcom, którym się wydarzy  
 Zostawić krewnym pracy swojej snopki –  
 Cenne papierki do obtarcia twarzy  
 Z łez – raczej z potu, kiedy po obiedzie  
 W święto tramwajem się na cmentarz jedzie.

## 11

W zimie podobne ustają rozrywki;  
 Ludziom brak ławek w cieniu do siedzenia,  
 Sodowej wody, fryzowanej grzywki...  
 Stąd też rzeźbiarze doznają wy tchnienia;  
 Wolno im chuchać w palce, tworzyć śpiewki,  
 Żołądek swój powiesić dla wietrzenia,  
 Wolno niedbałych mężów stroić w rogi,  
 Z trzeciego piętra spaść, połamać nogi.

## 12

Właśnie myślałem nad wielkim wyborem,  
 Kiedy przyjaciel mój zajęczał z cicha.  
 Leżał przykryty kamizelką, worem  
 Oraz draperią, w której niegdyś pycha  
 Paradowała... Na obliczu chorem  
 Spozregłem nagle straszycie, co czyha...  
 A więc, by pokryć łzy, co na rzeszoto  
 Mogły mnie zmienić – wrzasnąłem: „Idioto!”

## 13

„Sprzedaj poezje i swoje rozprawy!  
 Prawda, w tramwajach dziś służyłby Plato, –  
 Lecz mimo wszystko, człowiek zdolny, prawy

Nie zginie z głodu... Masz siostrę bogatą,  
Niech ci udzieli – choć na miesiąc – strawy;  
Masz opiekuna, co zwleka z wypłatą;  
Wreszcie znajomych czeredę wybraną –  
A więc pisz listy, zdecyduj wygraną!”

14

Długo się wahał, wreszcie przymuszony  
Do siostry swojej napisał, że chory,  
Do opiekuna, że biedą gnieciony,  
Do przyjaciela, że chciałby z tej nory  
Na świeże, wiejskie wyrwać się zagony;  
Dał dla redakcji najlepsze utwory...  
Wziął to wszystko oraz dwa modele  
Na wyprzedanie, tuszując sobie wiele.

15

Gatunek „bliźni lupus” nie jest nowy...  
Upadły wszystkie nasze przedsięwzięcia.  
Przyjaciół jęczał, że zdychają krowy,  
Że oczekuje sekwestrów, zajęcia,  
Siostra przeprosza, ale nie ma głowy,  
Bowiem spodziewa się znowu dziecięcia...  
Odtąd mi jasną była tajemnica –  
W kobiecie ducha zabija samica.

16

Opiekun tylko okazał się czuły;  
Rozlał się w morze ocukrzanej wody,  
Radził pilnować nie gwiazd, lecz szkатуły,  
Radził oszczędzać, póki człowiek młody,  
Wyznał, że złotem ładowane muły  
Są najmądrzejsze z stworzeń, bo przeszkody  
Mijają – lecz znowu, gdy człowiek oszczędzi,  
Niech się zabawi, nie nudzi, nie wędzi.

17

Co do redakcji – szlachetne przybytki  
Pełne sztandarów i życiowej sztuki –  
Mają, jak biurko, płaskość oraz skrytki...  
Jedna odrzekła, że zbytniej nauki  
Publiczność nie chce; druga, że niebrzydki  
Temat o duszy, lecz w humorze luki;  
Trzecia zgromiła za mistyczne matnie,  
Ale poezje przyjęła – bezpłatnie.

18

Zaczęły płynąć dnie, jak błotna rzeka,  
Jednako szara, czy z bliska, czy z dala.  
Czas, jako zmora, wtedy nie ucieka,  
Ale ssie duszę, którą śmierć wyzwala.  
Karmiła stróżka nas troszeczką mleka.  
Potem on umarł, a mnie do szpitala  
Wzięli, wydarli śmierci – dobrodzieje!  
Z takiej dobroci człek się gorzko śmieje,

Lub płacze. ....  
... Wszystko ku dobremu dąży!  
Jaskrawe słońce wstało z czarnej nędzy:  
Siostra gotowa pomóc, zbywszy ciąży;  
Opiekun przysłał na pomnik pieniędzy,  
Bo o geniuszu zmarłym wieść już krąży.  
Ja mam też sławę u tej ślepej jędzy,  
Zwanej ludzkością – z psem chodzę na cmentarz  
I tam spisuję dóbr życia inwentarz.

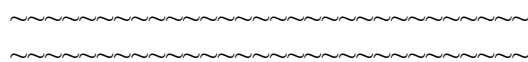
## MODLITWA

Z głębin serca k'Tobie wzywam, Panie,  
Z pomroku duszy, gdzie się kryje płaz –  
Łzy mi się cisną i tworzą wyznanie,  
Jakie się w życia składu tylko raz  
I tylko Tobie... Czy mnie słyszysz, Panie?

Otom zbłąkany wśród piasków pustyni:  
Pożar zwątpienia pali głowę mą,  
Wicher goryczy serce wyschłym czyni –  
A znikąd rosy – chyba zroszon łzą,  
W której się mieści cały ból pustyni.

Dokoła ciągną wyjące szakale  
Stadami węsząc samice lub żer –  
Gdy je usłyszę – moich łez opale  
W twarde i ostry kamienieją żwir  
I głązy ciskam...

Lecz teraz noc jest – i przez gwiazd milczenie  
Przemawia do mnie Wiekuisty Duch –  
Jemu odsłonię duszy swej zmęczenie –  
On stworzy we mnie życiodajny ruch –  
On mnie roztopi w błękitów milczeniu.



Byłeś mi hojny – Tyś mi jak z kryształu  
Serca dał bratnie – iście boski dar –  
I topór czynu i wicher zapału,  
Który me żagle pędził w słońca żar –  
I marzeń garstkę z tęczy i kryształu

Długo płynąłem w mych wierzeń bezmiary,  
Lecz coraz gęstszy włókł się za mną cień –  
Aż słońce zgasło – lodowate mary  
Wpiły się w serce – i słuchały drzeń –  
O jak okropne są te trzy wymiary!

Orkan uderzył, gdy żagle przegniły,  
Zrdzewiała kotew i złamał się ster –  
Na brzeg mnie pusty fale wyrzuciły  
Do monottonnych Rezygnacji sfer,  
Gdzie w kółko błędę, tracąc resztę siły.

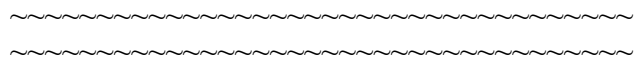
Ach, błędę – błędę z bezmierną rozpaczą,  
Rwąc się do słońca i błękitu mórz –  
Złowrogie kruki nad mą głową kraczą:  
„Mgły są wieczyste, już nie będzie zórz –  
Nigdy już słońca dusze nie zobaczą!”

Ach, wówczas myślę (niechaj to bluźnierstwo  
Ciebie nie dojdzie!), żeś Ty nie jest Bóg,  
Ale ohydne natury szalbierstwo,  
Co nas wywodzi za instynktów próg,  
Aby porzucić na ból i bluźnierstwo.

Lecz skąd się biorą nadziejskie tęsknoty  
I wizje światów, jakich nie ma tu?  
Przez każdą duszę płynie strumień złoty,  
Niosąc nadzieję anielskiego chrztu  
I piór przyrostu na miejscach brzydoty

Jest kraj, gdzie krążą w cudownej symfonii  
Duchy od ziemskich oderwane gniazd –  
I to, co tutaj umarło w agonii –  
Tam – wśród zamieci różnobarwnych gwiazd  
Wciela się światłem – grą – tęczą symfonii.

Lecz znowu czuję – tej nieskończoności  
Ująć nie zdoła ni rozum, ni lot!  
Wszak również bezmiar widzimy w mglistości,  
I gwiazdy wabią na topieli błot –  
Czymże ja wieczne wśród przemian wieczności?



„Jednego tylko – jednego potrzeba –  
(To ty, o Panie? boski Mistrzu mój?)  
Duch Pocieszyciel da wam mądrość z nieba,  
A Jam serc waszych utajony źród –  
Napój wieczysty, którego wam trzeba”

O prawda, prawda – mój najświętszy Panie –  
Bez Twej miłości jest mi pusty świat  
I żadne z światem nie łączy wiązanie,  
Nie ńęci człowiek, gwiazda ani kwiat –  
O miłość Twoją błagam Ciebie, Panie!



## RESURRECTURI

Krzyk ogromny w moim sercu bije  
Niby orzeł ślepy i szalony –  
Krzyk ogromny wyciąga swą szyję  
Do lazurów straconej korony,  
A rozdarte krwawiące źrenice  
Patrzą w pustkę i mrok i tęsknicę.

Na ruinach starego zamczyska,  
Na grobowcach mego majestatu  
I na krzyżu, który próchnem błyska,  
A od gromów stał się widmem światu –  
Duch mój woła do ciemnej otchłani:  
Eli – Eli – lama sabachtani!

Czemuś, Ojcze, porzucił me serce,  
Co służyło ci wiernie przez wieki?  
Katy na mnie nasłałeś i ździece  
I krwią moją przepoiłeś rzeki,  
A choć byłem na strzepy rozdarty,  
Nie rzuciłem ni Ciebie – ni warty.

Nie poznajesz mnie chyba – mój Boże?  
Nie poznajesz mnie, Panie – żebraka?!  
Nie poznajesz mnie – królu – robaka?  
Nie rozumiesz, co znaczą obroże –  
I te trądy i rany cuchnące –  
I te oczy suche, a palące?

Przed wiekami nazwałeś mnie synem –  
I przyrzekłeś wieczne obcowanie –  
Napoileś swym ciałem i winem,  
Ale z ziemi zrobiłeś wygnanie  
I z posągów obnażyłeś góry –  
By postawić tam – co? znak tortury!

Na mój uwiad patrzyły klasztory –  
Na wędrówki do grobu – pustynie.  
Tobiem wznosił strzeliste świątynie,  
A sam nędzny, złamany i chory –  
Kiedy szatan urągał mi śmiechem –  
Ja nuciłem psalmy nad swym grzechem.

Swe najlepsze mordowałem syny,  
Dumne czoło zniżyłem do prochu –  
Duch mój w ciemnym – ponurym żył lochu,

A gdy wyszedł – był krwawy i siny –  
A gdy wyszedł – był już oślepiiony –  
Więc dziś pytam Ciebie – czym zbawiony?

W ciemnej dali śpiewa niewiast głosa:  
„Głębokości morskie chwałą Pana” –  
A za świadka ja biorę szatana,  
Że nie świecą nam Twoje niebiosy!  
Konający patrzą w Twoje lice –  
A ja pytam – gdzie Twe obietnice?

.....  
.....  
Nie chcę Twojej zaprzeczać miłości –  
Nie śmiem w tobie szukać nieprawości –  
Ale oto łoż pełno w mej czarze –  
Bije północ na grobów zegarze –  
Szepcą próchna pod moimi stopami:  
– Ojcze – Ojcze – zmiłuj się nad nami!

Rozpląkały się ostatnie dźwięki  
W oczekiwań przeraźliwe jęki:  
Ha – daremno – daremno – daremno...  
Wszędzie głucho i straszno – i ciemno...

Krzyk ogromny w moim sercu bije,  
Niby orzeł ślepy – obłąkany.  
Krzyk ogromny wyciąga swą szyję –  
Na niej dzwonią zrdzewiałe kajdany –  
A rozdarte krwawiące źrenice  
Patrzą w pustkę – i mrok – i tęsknicę.

.....  
.....  
.....  
A wtem cicho opadły zasłony  
Niby z trumny powleczonej kirem:  
Przez niebiosy leci krąg czerwony  
I trzy gwiazdy błyszczące szafirem –  
I mąż dziwny – z oblicza kometa –  
I gołębie śnieżne Parakleta.

A naprzeciw biegnie człek bezpióry,  
Sypiąc grudą w one ptactwo wieszczce,  
I tak jęczy: „Przeklęte augury!  
Nam wnętrzości szarpią wroga kleszcze,  
A wy ciągle – swe Znicze i cudy – ”  
Wtem zahuczał głos straszny:

O ludy!

I krew nagle mi zakrzepła trwogą,  
Kiedym ujrzał, jak popioły wstają

I jak wszystkie poszły górną drogą –  
Na wyżynach *Te Deum* śpiewają –  
Ja sam jeden – jak proch leżę mamy –  
Jako ołtarz pusty – bezofiarny.

Zasyczały we mnie czarne węże  
I skąsały me serce drgające.  
Alleluja – słyszę gdzieś grające...  
Jeszcze Polska – słyszę gdzieś orężę...  
Nadaremno! w nicości ma przystań –  
O jak strasznym jest zgon bez zmartwychwstań!

Upiór leży na świata widowni –  
I nie mogąc powstać – gryzie rękę –  
Oczy świecą w kształt gasnącej główki –  
Gdy zagasną – koniec będzie męce –  
Bogdaj prędzej – bogdaj prędzej w zgonie...

.....  
Pocałunki czuję na swym łonie –  
Jakieś ciepłe mnie rękę uniosły,  
Jakieś jasne budzą mnie oblicza –  
To wy, Piasty? to wy – boże posły?  
To wy – wieszczę ze świątyni Znicza?  
Oh nie budźcie – Ona także w grobie  
A grób milczy...

– Wstań – ona jest w tobie!  
I powstałem. A białe gromady  
Szły w ogromne, bezkresne przestworza –  
Bracia moi – od morza do morza!  
– A gdzież inni?  
– Już poszli na zwiady...  
– A tyś kto jest?  
– Nie poznajesz Rusa?  
– A chorągiew czy nasza?  
– Chrystusa.  
Więc nie złudą jest chrześcian przymierze?  
Więc zwyciężył ten promień miłości?  
Razem idźmy, o bracia, w radości –

Rozerwijmy na piersiach pancerze –  
Niechaj zabrzmią – na świat cały – grania –  
Dzwony duchów – dzwony  
Zmartwychwstania!

.....  
.....  
Chwała Bogu na niebie –  
Dobrym ludziom na ziemi –  
Chwała!  
Sława!

|                                |        |
|--------------------------------|--------|
| Wszystkim braciom cierpiącym – | Sława! |
| Za miłość konającym –          | Sława! |
| Roty duchów ogniste –          | Sława! |
| Lecę ku Tobie – Chryste –      | Sława! |
| .....                          |        |
| .....                          |        |
| ... Już zaświtały zorze –      | Sława! |
| ... Bóg dopomoże –             | Amen.  |

## MSZA KONAJĄCYCH

Przez całą wieczność błędę już w mroku, gdzie mnie odnaleźć pragnie wieszczka, wybawić mogąca ręka.

Ale się z moją w mrokach napotkać nie może.

Staczam się z wolna, bezdźwięcznie, ku strasznym dolinom; znam każdy ostry cypel głazu, jakbym na nim kiedyś już konał, a nie mogę żadnego ominąć.

Wśród splątanych krużganków, podziemnych kurytarzy, niemych kościołów i fantastycznych wież olbrzymiego klasztoru...

Sam jestem – mnich.

Złote kopuły odbijają się jedna w drugiej, głębokim zielonawym połyskiem.

Przez zmarzłe gotyckie witraże zaledwo odróżniam ciemność zewnętrznego świata od mroku mojej celi.

Lampka, jak serce Chrystusa, żarzy się migotnym, krwawym połyskiem. W wazonach kwiaty, zniesione niewidzialną ręką; na pochylonym Tytanie nocy księga magów łańcuchem przykuta do sklepienia; obraz Madonny, schodzącej w jeziora czyścicowych mąk i posępne, nie dające się rozejrzeć freski ascetycznych pustelników.

Ktoś wszedł do celi obok.

Huczy zawieja – i on jej słucha ze mną, przywierając czoło do szyb.

Pójdę i poznam go.

Może to Emanuel – i wyjdziemy razem w złote pachnące gaje, gdzie wśród czarnych drzew przeświecają ametyst oceanu i nie gasnąca łuna zachodu.

Blask sący się przez grube mury – i jakby wiotkie, powłóczyście, srebrne dłonie wirują dookoła głowy mojej, schylonej nad klęcznikiem.

Zaiste, poznałem cię, Ewo odwieczna, po zabawkach – w twojej szkatule księżyc i gwiazdy – czy możesz mi dać więcej mroku?

Przynieś mi ten dar! na cóż mi gwiazdy, które ty już zamknęłaś w swojej szkatule!

A dłonie cofnęły, wkurczyły się w zimne sklepienia.

I słyszę, jak uchylając okute żelazem drzwi, wychodzi na kurytarz, przemyka się wśród kolumn. Wyszłe, czarne gałęzie uderzają w okna, żelazne skrzydła wichury tłuką się o dach, a szpony gadów ślizgają się po rynnach wieżyc.

Płacz nieutulony wstrząsa kępą samotnych brzoź, jakoby rosa od wiatru strącona.

A idąc dotknąłem czegoś, co oddźwiękło mi głucho, jak skrzynia z ołowiu.

Przez tęczę łez widzę zamysłone widma, – głos mi się tłumi, każde słowo kryje dla mnie okropną opowieść.

Słyszę, coś pełza po kamiennych mozaikach z hukiem i pobrząkiem metalu, jakby ciężko ranny rycerz we zbroi usiłował się dowlec.

A oto cembrowana studnia, wykuta w skale głęboko – aż do jeziora w grotach podziemnych.

Jakieś głuche uderzenia młotów.

A w czarnym leju przepaści widzę dwoje brylantowych oczu, wśród skłębionego gniazda łap świecą dwa rozżarzone kraterzy – chciałem odskoczyć – i nagle uderzyłem się o trumnę, którą wlokłem za sobą – ową długą, dziwnie rzeźbioną skrzynię na wzrost człowieka – cięży mi – ledwo ją mogę przesunąć – i jęczy tak okropnym spazmem po kamieniach.

Źrenice olbrzymiego owadu wpatrzone we mnie – poza mnie – przenikają mnie – widzą poza sklepieniem gwiazd – za Bogiem – do obłędu

Zesunąłem ją – waży się jeszcze nad prześwieconą czeluścią – i nagły świt zaczyna różo-  
wić jej przezroczystry barelf.

Chcę powstrzymać!

Ale już lecąc, zakryła mi źrenice potworu.

Odmawiam długie, monotonne jak jęk konających litanie.

Wtem trumna plusnęła o powierzchnię wody,

a straszliwa kosmata tarantula, która się cofnęła przed moim pociskiem, teraz z szatańską  
szybkością zesuwa się po ścianach prostopadle kutych w granicie – oświetlając oczyma roz-  
warty lej, który wyźłobiła w wodzie trumna –

a wtedy widzę –

wieko odskoczyło – i powstaje z niego Madonna – królowa piekieł moich i otchłani – i  
oczyma objawień spogląda ku mnie – a jakobym wznosił się ku wysokiemu niebu pustyni,  
wydrążonemu głębią fioletu, aż do gwiazd – ale się nagle jej oczy spotkały z okrutnym wej-  
rzeniem tarantuli, która jak rozpostarty łachman leci rozstawiwszy łapy niby ośmioro czar-  
nych piór –

i wody się zwały –

skłębiły się

z pluskiem wbijając się w kamienny cylinder studni.

Uciekam –

a przede mną maskary z latarkami toczą się, pełzną,

skaczą po gzemsach i framugach witraży –

Wbiegam do celi, w której ona była – na ścianie struga krwi – tu rozpostarła swoje ręce – i  
ślad ów, jak Droga Mleczna, iskrzy się –

a gwiazdy te zbieram do kielicha – i napełnia się nimi aż po brzegi – i rozwieram okutą  
klamrami księgę – i nagle poczynają dźwięczeć struny harf – widma podobne wężom w kata-  
lepsji, wyprężonym na flet czarodzieja –

a niewidzialne dzwonki dzwonią – i dzwony ogromne ze spiżu napełniają dumną pierś  
królewskiej katedry – podchwytyją szept modlitwy mojej w huragan tęsknoty i żalu.

Słyszę ten szmer tysięcy modlących się – i Hostię składam na spragnione usta aniołów –

W spokojnej, złotej głębinie kielicha widzę moją prześwieconą twarz, a nade mną krąg  
Drogi Mlecznej.

Ostatnią Hostię umierających przyjmuję do serca mego.

A tajemnicza ręka prowadzi mnie, jak ufne ku nieznanym dalom dziecko – na dłoniach  
moich czuję nieme pocałunki – to krew się przesącza ze stygmatów.

Idę wśród gwiazd.

.....

\*\*\*

Łez! łez mej piersi – bo skona od męki!  
wy nawałnice! i wy Oceany  
łez mi użyczcie – niechaj puste dźwięki  
jak bez napoju poszczerbione dzbany  
umilkną.  
Gdzie mędrzy? którzy pojęli zawilość przeznaczeń...  
Gdzie duchy groźne? co się starły z mocą demonów...  
Gdzie bohaterski dzwon? tryumfująca miłość za grobem.  
Jeśli to jest? niech gwiazdzistą nocą gra hejnał sercu.

## ZAWIERUCHA

Wicher wyje i śnieg prószy,  
a ja błędę przez zawieje –  
szatan jakiś w mojej duszy  
to zapłacze, to się śmieje.

Wicher targa, zamróż siecze,  
pokostniały z zimna bory,  
a ty sobie idź, człowiecze,  
i wyśpiewuj: „duch mój chory” –

i wyśpiewuj: „Miserere”,  
i wyśpiewuj: „biją dzwony” –  
wszystko we mnie dzisiaj szczere:  
mój śmiech pusty, ból szalony.

Wicher targa, wicher wyje,  
białe kłębią się tumany,  
płyną dziwne melodyje –  
huczą dzwony, brzmia organy.

Jezus Maryja – jakiś jęk!  
Jezus Maryja – jakby śmiech –  
ha, szatański wrzask i brzęk –  
płacze, świszczy, syczy grzech.

Siostró moja, daj mi dłoń –  
wspólne wichry nas porwały,  
rumak tętni, skrzy się broń –  
krzywe szable, samopały.

To mi wojsko – to mi huf!  
zamrożone w stal upiory,  
skrzą na barkach pióra sów –  
dalej strygi, dalej zmory!

Poloneza! huczmy w śmiech –  
Borkowiców groźne plemię –  
górami wódz nasz – stary Lech –  
wytrącimy z posad ziemię!

My bez słońca – i lazuru –  
tym ci szerzej – w lot wałacha –  
coś nas więzi – kawał muru –  
wiejski kościół – ha ha! ha ha!



Nuż morderco! wywal wrota!  
drży ci ręka? – młotem w skronie!  
Podejdz bliżej z worem złota,  
Sodomito i Mamonie.

Kto tu jęknął? kto tu jest?  
jakiś blady płacze Cień –  
w imię twoje brałem chrzest –  
dziś Twą głowę dam na pień.

Consummatum! czarcie syny,  
dokąd was tak pędzi strach?  
jeszcze chwila – a w perzyny  
cały boski runie gmach.

Do mnie, do mnie wichrów dzieci –  
to nie jęk mój – to nie ja –  
coś tam pada, coś tam świeci –  
Czarna gwiazda, moja łza.

Zgnieść ją – zabić – cóż wielkiego?  
drzazgę krzyża w piersi mam –  
w lot szatany! dziś niech Jego,  
jutro ja swój tryumf dam.

.....  
Wicher targa i śnieg prószy,  
a ja błędzę przez zawieje –  
szatan jakiś w mojej duszy  
to zapłaczę, to się śmieje.

## MAROLA

Kto przepłynął Marolę – tego śmierć już nie trwoży,  
Tak śpiewają morskie lwy – marynarze.  
Czarne skały się piętrzą wśród błękitnych bezdroży,  
jak zębate mury piekieł i straże.

Tam, gdzie jutrznia się krwawi rozplotami swych włosów  
płyną fale jak hymny Homera –  
lecz wał jeden już dyszy – i już sięga niebiosów,  
pod nim przepaść się aż do dna rozwiera –

i jak harpia zielona – szpony mając wzdłuż ciała,  
chwilę wzdęty jak lodowiec – zawisnął  
i runąwszy na skałę, co mlekiem pobielą,ła,

ryknął – zszalał – chmurami wytrysnął.  
Żółte węże rozpełzły – i przez śnieżne brną pola,  
a już łeb swój potworny wychynęła Marola.

## WIDMO PRZY MORSKIM OKU

Słońce niewidzialne, zgasłe, prześwietla luną diademu granitowe sarkofagi.

Migocą jakby wewnętrznym płomieniem zatłonych kruszców, czerwienią się jak żelazo w ogniu, złocą jak prastare bizantyjskie Madonny, aż zalane fioletem coraz zimniejszym – poczynają stawać się bure jak opadłe jesienne liście, zmyte nawałnicą i szrężogą.

I nagle przybierają bladość zamrożonej twarzy – siną z białymi wypiekami.

W powietrzu muzykowie nieba święcą gody, topnieje różowa ambrozja, zanurza się listkami rozkoszy w ciemne wzruszone fale jeziora – i ono poczyną się iskrzyć miriadą fioletowych ametystów.

Gór wierzchołki próbują się z martwych ożywiać, lecz już niezdrowym ceglastym rumieńcem – popękane rozpadliny, skurczone i szerniałe od niewymownej męki – zapadają w szklisną i mroczną u stóp ich zadumę jezior.

Niebo się srebrzy jak całun.

Chwila to najskromniejsza w zmierzchu olbrzymów.

Fale obłąkane – uwiedzione ostatnim pocałunkiem umarłego boga – dźwignęły z dna czarny, aksamitny kir – i, zarzuciwszy się nim, niby naga kochanka żalobną opończą katafalku – poczynają szlochać – miękkim pieszczośliwie tulącym się ciałem pluskają o głuche nieubłagane fatum uwięzłych brył.

I wtedy, w jęku fal, które się stają groźne i złe, jak Meduzy, w srebrnych dzwoneczkach siklaw, które służą do Wieczornej Mszy – odbija się jeszcze ton trzeci od tych granitowych świątyń, dźwignionych przed wiecznością na opór błędnym topielom polarnego oceanu – ton najgłębszy rwących się nieziemnych strun.

Na szerniałej piramidzie zatopionej w mroku jeziora, granią wspartej o gwiazdy – wśród ciemnych posepnych cmentarzysk i białych śmiertelnych pól – wstępuje Widmo.

Zorały je lawiny, tocząc się po niedostępnych wirchach, przepastnych krzesanicach, boleścią popękanych żlebach – i turni, szarej, ogromnej jak pustynia.

W mroku, świecąc życiem upiornym, rozmachem genialnej fantazji szaleńca, zdaje się iść: z piersią wzniesioną, ciało wysmukłe gibkie wyteżywszy naprzód, jakby Młoda Pieśń szła niesiona wewnętrznym huraganem, – cudowne łono dziewicze wystąpiło naprzód, zapładniające przez Mrok, do którego się zbliża ruchem nóg gwałtownym, złowieszczym, nieprzepartym – jak Furia idąca tak idzie on Duch tułaczy przez groby, otchłanie i własną bezmoc.

A w oddali szumią ciasne bory, straszną nieprzejednaną hamującą się nienawiścią, jakby protestem głuchym życia przygniecionego żalobnym wiekiem Ośleplej Harpii.

## TRISMEGISTA

Widziałem Cię, ach – piękną tchnieniem zgonu,  
w magnetycznym świetle mórz polarnych –  
lica białe – wykute ze szronu,  
i mrok pustyni nieruchomo-czarnych.

I leżałaś w trumnie zbłękitniona –  
(tak lśni monstrancja w nawie) –  
drzew prawiecznych szumiały ramiona,  
w czarnym łożu konał księżyc mgławic.

A tam morze kłębiących się białych obłoków!...  
(jam nad piekłem:)  
kościół z kratami więzienia,  
na łańcuchu księga mych wyroków  
i lzy moje – jak tarcze z płomienia.

I ozwałem bramę tych cmentarzy –  
(gwiazdy rzeką płynęły podziemną) –  
krew rozlałem na stopniach ołtarzy:  
słońce – Boga, co litość miał nade mną.

I płynęła na łodzi Tortura  
bladych gromnic odbitych w głębinie –  
jak Cherubim migotały pióra,  
jak wąż pełzam w zimnej rozpadlinie.

I wykułem serce z lodów bryły –  
i na skrzydłach rozogniłem runy –  
i wydarłem wnętrza, które zgniły –  
z gwiazd gasnących uczyniłem struny.

W pancerz czarny i w złote bisiory –  
w sali mroków, gdzie żarzą kolumny:  
zmarłych sądzę – i męczę upiory –  
i świat żywy przykuwam do trumny. –

W lodozwałach umarłego miasta  
grają mi fletnie i żele  
niewidomych muzyków.  
Pałac królów nad ciemność wyrasta –  
lśni, jak rubin, posąg Dwojga nas wiecznych w kościele.

Tam pod ziemią łkają dzwony,  
szumią kaskady law, migocą klejnoty.  
Wokół skały groźne i nieme pustynie.

A nad morzem księżyc skamieniony.  
Z gór olbrzymich płynie  
krew, jak rzeka – i napęlnia groty.

Idę wiecznie. Idę do Umarłej.  
Nad otchłanią  
czeka mię, płacząc. – Morza gasną. – W proch starły  
się gwiazdy. – Ja przedwieczny Mag:  
umarłem za Nią.

## **JA TRWAM NAD WIECZNOŚĆ**

Ja trwam nad wieczność – i ból milionów  
z moim się jednym nie równa bólem.  
Ja wódz więzionych śmiercią legionów –  
śmierć im zbłękitniam gwiazdy lazurem.  
Poję rycerstwo harfy mej gniewem  
i w burz piekielnych strącam otchłanie –  
aż mgłą się staną – zimnym powiewem –  
i tylko gwiazd mych lazur zostanie.

Na mojej drodze bory zaklęte –  
bory-m roztrzaskał.  
Na mojej drodze potok ryczący –  
w otchłań zeszedłem.  
Więził mię w lodach wulkan umarły –  
wykułem słońce.  
Nad gwiazdy-m leciał! Lecz kwiatek łzami  
wrył mi grób.

## TAK MI OJCZYZNY MOJEJ ŻAL...

Tak mi Ojczyzny mojej żal –  
tak żal!  
minęła ona jakby sen –  
jak sen.  
Była królewną pośród hal  
i borów –  
piersi zakute miała w stal,  
włosy jak len –  
oczy jak głąb wieczorów.  
Wróg jej pokrwawił łańcuchem skroń  
i zamurował w grobie –  
i tak ją zwiesił nad ciemną toń,  
skutą za ręce obie.  
Przychodzą do niej ruskie cary –  
olbrzymy z lodu  
i piją rdzawe krwi puchary –  
mękę narodu.  
Słuchaj! przyjdzie Jan Groźny z Malutą,  
prosząc Cię w swadźbę dla syna;  
każ – aby rozkuto  
tę dłoń, co sztaby zgina.  
I wypij do dna krew z czarnych smoków,  
Ojczyzno moja –  
i wiedz – że z lodów mocną jest zbroja –  
a miecz – wykuty z oków.  
Ty carewiczka uściśnij w łożu,  
oczyma zmień go w głąz –  
potem na pola idź – w złotym zbożu –  
gdzie kosi stary Włas.  
Jemu się pokłoń aż do ziemi –  
bo on Twój dzierży ród –  
z nim – pod lipami pachnącemi  
módl się do Gwiazd swych – o cud.

## WIECZNI WĘDROWCE

### Psalm 127

PIĘKNIE ZBUDOWANY DOM...  
LE CZ PAN JEŻELI NIE PRZYŁOŻY RĘKI –  
DOZNA BUDOWNIK NADAREMNEJ MĘKI.  
SEN GO ODLECI ZE ZNUŻONYCH POWIEK,  
RĘKĘ Z ZAŚWIATÓW POCZUJE NA SKRONI,  
I PRZYJDZIE W NOCY TEN ROZWAŻNY CZŁOWIEK,  
WSZYSTKO POSIADŁSZY, DO GŁĘBOKIEJ TONI.  
I W GWIAZDY PATRZĄC – TAM NA DNIE STRUMYKA –  
ZSTĄPI W MILCZĄCE PODWODNE KOMNATY –  
SERCE SIĘ JEGO UDERZY O KRATY,  
ZA KTÓRE NIGDY ROZUM NIE PRZENIKA.  
I ZNAJDĘ RANKIEM TO JĘCZĄCE CIAŁO  
W MĘCE KONANIA NAD WODY LAZUREM –  
A GWIAZDY ŚPIEWAĆ JEMU BĘDĄ CHÓREM  
TO, CO SIĘ ŻYWYM SŁYSZEĆ NIE UDAŁO.  
TAK – JEŚLI WIECZNEJ NIE ZBUDUJEM DUSZY –  
BUTWIEJĄC ŁZAMI, JAKO LIŚCIEŃ W GRUDNIE,  
I JAK ZAMCZYSKO, CO SIĘ W MROKACH KRUSZY,  
I JAK KRWI KROPLE, CO PADAJĄ W STUDNIĘ, –  
ZEJDZIEMY WIDMA. -----  
-----

Przychwyciły mnie zradne żelaza  
i spoiły mi serce obręczą,  
i już powstać – nie będę mógł.  
W mojej baszcie skarby zakłete –  
w moim zamku duchów pełne głązy  
czekają harfy czarodzieja.

O smutków pełne są posągi –  
spod każdej trawki śmierć mi gra,  
– pokrzyw jadowite ognie  
zakryły wejście moich grot.

Rozerwać! bezmiar skał –  
wyszarpnąć skrzydła spośród lochów –  
mroczne witraże napoić słońcem –  
rubinowy kielich  
na czarnych obłęd katowniach.

Wyszarpnąć chciałbym skrzydło moje  
i Drogę Mleczną moich piór –  
wrócić do ojczyzny w niebiosach.



Krople krwi padają  
z białych łabędzi –  
co je orły szarpia nad mą głową.  
Słyszę smutny jęk...  
Nie wyzwolę was – me wieszczę ptaki –  
jak nie wyzwoliłem  
otchłani piekieł moją nadaremna męką.  
Wicher szarpie zasłoną drzew –  
kamienny zamek drży w posadach swoich.  
Rycerz w świecącej zbroi  
nad krawędzią okna przechylony,  
patrzy na drogę w głębinie,  
usiana płamami krwi i pełną ognia.  
Wśród karłowatych drzew  
wije się smętna droga.  
Tamtędy on musi przejść!  
I zrzucił zbroję –  
w szarej wygnańca opończy  
szedł w las, który się palił mu nad głową.  
O hej!...  
O hej!..

~~~~~  
Nie płacz! orłom nie zakłócaj ciszy –
strudzone śnią...
Serce twe: grota wśród leśnej komyszy,
gdzie bóstwa lśnią.

~~~~~  
Przelatują nade mną upiory –  
– Jezus Maryja! –  
schodzę w puszcze mogił – w głuche nory –  
– Jezus Maryja! –  
Za mną kroczą na koniu hetmany –  
– Jezus Maryja! –  
przez świat idę – ja król obłąkany –  
– Jezus Maryja! –

~~~~~  
Te wody szepcą, jakoby głosy ostrzeżeń –
te wody łkają, jakby się oczy rozdarły –
te wody dzwonne tajemniczych wierzeń
grają na sercu jak skarga Umarłej.

Tak coraz głośniejszumią mi potoki,
tak coraz więcej widm płynie w powietrze,
jakby się ciemne spełniały wyroki;
lica umarłych stają się wciąż bledsze.

W szafirach nieba opalają wieże
nad wirującym nicości Jeziorem –
a wody gędzą jakby wieczorne pacierze
wiecznych wędrowców przyodzianych worem.

Na koniach czarni stanęli hetmani
i złotej mróz mnie ścisnął aureoli –
i gwiazdy nade mną łańcuch niewoli
zwisła – przykuty do Zamków Otchłani.

Garści popiołu sypią mi w źrenice,
zimne do serca przyłożyli węże –
każą przysięgać mi na błyskawice,
że wstanę z grobu – i groby zwyciężę.

Wstanę – i targnę te ciężkie łańcuchy,
w których konają gwiazdy nieśmiertelne...

a wody szumią, jak chóry kościelne,
a Mszy wieczornej nad słuchują duchy!

– Czemu nie mogę iść, Panie, za Tobą?
duszę mą we krwi za Ciebie położę! –
„Duszę swą – krwawą opłaczesz żałobą,
bo się mnie zaprziesz po trzykroć na dworze.
Niech się nie trwoży serce wasze w zgonie,
choć ducha prawdy świat przyjąć nie może –
już Księżę świata zabłysnął na tronie,
we mnie nic nie ma, tylko mroki boże”.

To mówił Jezus i, podniósłszy oczy,
ujrzał dokoła zimną gwiazd pustynię –
czarne olbrzymie Księżyca świątynie –
wody szumiące, jak rana, co broczy.

~~~~~

Gwiazda nieszczęścia wschodzi co noc nad łóżem moim – zimny jej promień spogląda na mnie z głębin ciemnego nieba.

Złotym pierścieniem otoczyła przestwór duszy mojej, abym nie mógł powstać z głazu, który mię otulił.

Pan mój wyniósł mię ponad królestwa ziemi – i zniżył mię do lochu nędzy.

Przyszedł człowiek bliski i utopił się pod oknem moim.

A potem spotkałem dwa duchy szafirowe siedzące nad wodą przy drodze.

Widząc duchy te przy sobie – poczułem w smutku moim radość przejmującą i słodką.

Otwarłem księgę Uspokojeń i czytałem z niej, weseląc się z duchami jasnymi.

Chciałbym się u nóg Twoich położyć i nie wołać, zapatrzony w oczy Twoje.

Wybiegnę daleko na spotkanie króla mojego – i będę słuchał Jego dziwnych słów.

Dusza moja między ogniami skwarzy się – między ołtarzami czterema zapalonymi na rogach jej.

Ziemia pode mną, niebo nade mną, wkoło ogień.

Umiłuj mnie – piersiami Twymi niech się nasycę – w zasłonie skrzydeł Twoich, o śmierci!...

## NOC ŚW. JANA

Milknie mój płacz.  
Potoki śnieżnych kalin –  
zwodzony most –  
Boże mój, Boże, Boże!  
już nic mam snów  
i nagi wśród przehalin  
tułam się drząc, w prastarym jodeł borze,  
gdzie milknie płacz –  
gdzie huczy dzwonów morze.  
Zgubione są me sny  
i czarno-złote morze  
uderza w moją pierś dzwonami wszystkich wiar –  
tam w lody bije śmierć –  
na harfach Jutrznia gra –  
tam naród, lochy – Car!

Chcę odejść w głąz – w jezioro – w ciemny bór –  
lecz Kocham Ją –  
tę Niewiadomą, co gra w dzwon.  
Samotny jestem – sam –  
płynęła moja krew  
jak rzeka z górskich bram.

Albatros – goniąc jutrenkę –  
okrążył lazur ziemi  
i nieruchomy zawisnął  
na niewidzialnych promieniach –  
o duszo, gdzie twój Bóg?  
Turkot toczonych dział  
strząsa mi kielich rosy –  
tęsknię, umieram, płaczę –  
tu pod szumiącą dziko tonią  
w loch zawrzeć muszę Ją –  
by rozkołysać złoty podziemny w turmie dzwon.

O, Bóg mię bardzo kocha –  
dlatego serce me szłocha –  
dlatego jestem sam –  
i muszę sercem bić w turemny złoty dzwon.  
Biorę za powróż – gram –  
potępień zgrzyta jęk  
z rozpacznych ciemnych łon –  
o, jak ogromny z mrocznych ogniów zamek –  
o, jakież skrzydła mam z lodu  
i tron, gdzie gwiazda umarła,

króluje ze mną nad kośćmi poległych.  
Wonieją kwiaty kalin –  
drżą listki u mych nóg.  
Kocha mię Chrystus-bóg,  
żem się litował męce,  
sam leżąc na stosie płomiennym,  
gdzie kości moje skruszono.  
Drapieżny ptak  
wyjadł mi serca wnętrzności  
i były puste źrenice,  
jak wiadra schodzące w głąb studni.

Rzekł bóg piekielny: będziesz w niebiosach –  
i czekam za kratą w lochu  
gdzie jest schronisko zim –  
i tylko nad grobem Nieznanej  
śnieżyste kwitną kaliny.

Módlmy się –  
oddałem Bogu moją wolę –  
nawet się modlić nie umiem.  
Z krainy zimnej północy  
nadchodzi Wąż.  
Kwiaty w mym ręku i krzyż –  
gdzie miecz?  
gdzie purpurowe i czarne sztandary?  
gdzie zemsty mojej skalista maczuga,  
pnąca się piersią do gwiazd?  
Bije drugi – trzeci – sześćdziesiąty dzwon –  
chcąc mi przypomnieć, co wiem –  
– – kochałem, kochałem Ją –  
na księżycu sierpie  
królowę śnieżnych kalin,  
w których się krwawi krew.

Śpiżowe huczają działa na mostach zwodzonych,  
brunatno-czarny nad przepaścią wąż  
pełźnie na wino do mych gór –  
na wino z Chrystusa krwi –  
ugoszczę was – borów tych pan.  
Zasiądźcie do mych stołów,  
które z kamienia są – ciosane piorunem.  
Bóg każe przyjąć was –  
słuchajcie – zagram w dzwon –  
blednicie!  
to jutrzeńki dzwon –  
ten czarny nieba klosz –  
to dzwon mój, chmurząc się – gra.  
Gdybym go strącił z mych nadgwiezdnych baszt –  
przebiłby ziemię, lecąc aż w czeluść piekielną –

lecz jestem szczerzy Lach –  
gości nie pytam, skąd idą –  
i do Chrystusa wiodę  
na nowy zapóźniony trud.

Klękajcie u tych skał –  
gdzie śnieżą puchy kalin –  
tam grób jej –  
którą wydały ręce własnych synów.

Nie płaczcie – gwiazdy wstają z grobu –  
Anieli nad nią dzierżą straż.  
Patrzcie, witezie – wyszła z lochu,  
z martwych cmentarza – otrząsa zimny całun –  
a wy, jak nocne ćmy,  
kryjcie się do mogił!  
to Pani Wasza –  
córa Wiecznego Słowa –  
to Miłość.  
Wężu – prosisz o habit zakonny –  
idź – mgławice kalin  
niechaj ukoją twych zbrodni widziadła.  
Anieli – nakarmcie tych głodnych –  
o gwiazdy – z modrej Chrystusa winnicy –  
nieście im wino słonecznych upojeń.  
Wy zimne bagien mogiły  
wydajcie naród uwiezionych  
słońcu co wschodzi.  
Wy dumne krwawe kościoły  
pokornie rozsypcie się w pył –  
już człowiek nie będzie królował,  
anieli spełniają urzędy –  
niebo gwiazd pełne i modlitw.  
Odpuszczam was – idźcie w pokoju –  
w mym sercu nie wygaś jeszcze płacz.

-----  
Nas dwoje – w świecie tych przemian –  
idziem przez puszcę gdzie żarzą się kłody –  
nóżki twe jasne krwią zbroczone  
omyję w jezior modrej fali.  
Ja mrok – całuję Cię zmarłymi usty –  
uchyłasz się – płoniesz i drżysz.  
Żyliśmy w tym lesie paproci,  
gdy ziemia była młodą i niewinną.  
W ramionach twoich  
szukałem miodu –  
i piłem wieczny sen.  
A teraz chcę wypić z twych ust, o Jutrzenko,  
mą nieśmiertelność.  
Ptaki śnią jeszcze pod kwiatami chmur,

co woń roznoszą gór śnieżnych i morza –  
i fale grają w jaskiniach przybrzeżnych  
runiczną pieśń o nowym rozstaniu.  
Jedyny raz –  
odkąd sklepienia tej gwiazdnej otchłani  
wzniosły się we mnie w kościół Anamnezy –  
ja Ciebie – o Utęskniona –  
tulę, nie czując grzechu ni śmierci.  
I cóż powstanie z konchy  
twoich różanych łon?  
Czy kwiat paproci w noc męczeńską Jana?  
czy gwiazda magów –  
czy mrok Lucifera?  
boję się wszystkiego prócz śmierci.  
Otaczam Cię mym czarnym niebem  
Lilio Tatr!  
wśród lip tysiącoletnich brzęczą złote pszczoły  
i piją miody twoich ust.  
Chwieją się bujne zielonawe kłosy –  
lśnią na nich iskry,  
kłębią się chmury czarne –  
a z ziemi płyną gorące wytchnienia.  
Wulkany tajne moich law  
chcą w ogień stopić  
czarny diament w miłości ołtarzu,  
gdzie wieczne życie migoce zdrojem ofiary.  
W twych bujnych włosach liść zielony kalin,  
w twych oczach światła fosforyczne mórz.  
Lecz pierś twa szalem dwojga meteorów  
do mroków moich tuli się pancerza  
i lka na czarnych zimnych lodozwałach.

Jam wolny! – Pójdźmy ku morzu –  
przez orkę z deszczowych nawałnic –  
przez bór pochylony wichrami od morza  
w wygięte harfy jodeł i modrzewi –  
tam ku tym srebrnym falom –  
ku ciemnym głębinom –  
gdzie jest twój bursztynowy pałac –  
o królowo!  
Zakrywasz mi źrenice gwiazd gałęźmi kalin,  
niepokój wstrząsa wierzchołkami drzew –  
i w misę nalaną mrokiem rozpaczy spływają opale.  
Wciąż mocniej tulisz oczy me  
i słyszę śpiew łabędzi – i szelest rosy –  
która opada z ich skrzydeł.  
A tam – wzbierają fale Oceanu –  
płyną jak węże z klejnotami głębin  
i w swych wydętych piersiach  
niosą grzmot pieśni –

która do najgłębszych jaskiń,  
do skał najgroźniej spiętrzonych ku niebu,  
wzniesie modlitwę wniebowziętej ziemi,  
Ach, świecą oczy twe magicznym blaskiem –  
tortur, co cię rozdarły –  
ja ciemny – nie widzę twoich łez –  
musiałaś płakać tej nocy –  
która mi wszelkie niebo oddała i światy.

-----

Zniknęła Jutrznia.  
Piorun śni cicho u mych nóg.  
Stopy me chłodzi zamarłe jezioro.  
Chmury – jak listki mnie całują.  
Już muszę iść.  
Gwiazd oczy, jak złote pieniądze  
legły na pustych źrenicach upiora.  
Anieli idą po mnie –  
chcą wiązać – o, nie trzeba –  
sam idę – wiecznie sam.  
Nieme ust waszych błyskawice  
grożą mi ciemną zagładą.  
Do nieruchomo zastygłych wód,  
na dnie lodowych czarnych jaskiń,  
pośród zapadłych bez wyjścia dolin  
idę – by spełnił swój tryumf  
słoneczny bóg  
w otchłaniach ze mnie poczęty.  
Do różowiących tuli się obłoków,  
gdzie mleko ambrozji i nektar wód.  
Ach – moja otchłań  
żarzy się w sen z ametystów.  
O słońce! – mój synu – boże –  
nie widzę Cię –  
lecz z gór mych błogosławię Twym nadniebnym drogom.  
Niech w ten mój mrok wejdą wiar nowych królowie,  
prastarych świątyń kapłani  
i czarnych żubrów grający pasterze.  
Wszystkim co przejdą  
przez te wąwozy śmierci i zakrwawione  
żelazną rdzą potoki –  
ku tym przełęczom zielonym  
pełnym kwiatów –  
zrodzonych z Jutrzenki i Mroku –  
ja błogosławię –  
Starzec gór –  
wyższych nad błędne komet szlaki –  
z gór – które są podnóżkiem tronu  
Tego – co większy niż ja...

-----

W ciemnym podwórku kwitną gałęzie mych kalin –  
ile czasu potrzeba, aby te mury rozwalić  
i drzewko wydobyć ku słońcu?  
Dzieciątko blade w wilgotnej izbie  
ma oczy ogromne – jak morza zatoki,  
i boi się księżycą, który spogląda przez szpary –  
O, nie opuszczaj mię Jutrzenko –  
nie ćmij mię zimną mgłą rozpaczy –  
musiałbym trupa Twego ułożyć do trumny  
i gwoździami sam przybijać wieko – –  
wziąłbym na cmentarz synka, co by się uśmiechał  
i poszedł z nim do opuszczonego kościoła,  
gdzie mrok gra trumnom de profundis.  
Nie umieraj Jutrzenko moja –  
niech nas razem uśpionych ujrzą blade jesienne księżyce,  
nie opuszczaj mnie –  
bo nie będę mógł zagrać hymnu umarłych  
nad Tobą, o moja Jutrzenko!  
Anioł mi błysnął gwiazdami i przyrzekł –  
nad górą świata – nad morzem Golgoty –  
że już nie umrze  
nikt z kochających.



\*\*\*

Zobaczyłem mego ojca we śnie:  
siwiuteńki, ze smutkiem na twarzy –  
i spoglądał gdzieś w dale bezkresnie,  
mając serce, co nigdy nie skarży.

Czarne smutki odkryły się we mnie  
mego serca, co nigdy nie wskrześnie –  
życia mego zwiędło pół daremnie  
[księżyc wschodzi ponad wody leśnie]

a pół życia mego leci z burzą,  
jak olbrzymie nad chmurami pieśnie,  
widzę w chatce – co ma nóżkę kurzą  
mego ojca: błogosławi we śnie.

## **HYMN DO WSCHODZĄCEJ JUTRZENKI**

W mroku nocnym Orion świeci  
olbrzymowi tatrzańskiemu –  
mój duch tam – za morza leci  
w kraj złotego Chryzantemu:  
tam jest mężnych lud rycerzy,  
którym miłsza śmierć niż plama –  
tam – znad strojnych w laur wybrzeży  
błyszczący wulkan Fużijama.  
Tam mądrość Indii zasiewa  
miłość dla zwierząt i boru,  
tam wolnym ludziom ptak śpiewa  
i wicher – znad morza przestworu.

-----

Gdy portugalskie zakony  
i czarne sługi Lojoli,  
mówiąc: „Chrystus umęczony” –  
wiedli was w łańcuch niewoli  
jak tygrysy w ciemnym gniewie,  
kiedy im się wzrok rozjarzy –  
poszarpaliście handlarzy,  
co przy Martwym stali drzewie.  
Trupy na milę od brzegu  
(„bo chrześcjanin niewart ziemi!”)  
grzebane są w morskim śniegu  
pod falami burzliwemi.

-----

Płynęły Rosjan okręty  
nakarmiać wami rekiny –  
lecz wy – jak u Salaminy  
pograżacie ich w odmęty.  
I oto z Lachów soldaty,  
z ciał niosąc dla sępów żery,  
idą po śmierć z rąk Azjaty,  
lub po hańbę Somo-Sierry!  
w błysku ognia staniemy wśród kul  
i w kajdanach – będziemy zabijać –  
o, niech krwawy tak zamroczy ból,  
aby kule mogły was – omijać.  
Nam każą licemierniki  
moskiewskie wielbić sztandary –  
wspomnijcie matek okrzyki,  
gdy Praga buchnęła w pożary!

-----

Xiędza wieźli przed frontem żołnierzy,  
na kubitce wieźli związanego –

każdy siepacz go knutem uderzy,  
on – podobien do krza różanego!  
Po tysiącu knutów był złamany,  
a po trzech tysiącach był u Boga –  
lecz tysięcy sześć był rozkaz dany –  
car Mikołaj bił martwego wroga!

-----  
Nam Sybir kości wybiela,  
u stóp zgaszonego Znicza,  
pomnik rdzawy stoi Wieszatiela  
przed Matką, co łyzy nam oblicza.  
O, błogosławim my caru  
ha bój z krainą Jutrzenki –  
gdyby usłyszał te jęki  
z czarnego wznoszące się jaru –  
to jak w grobowiec Timura  
uderzyłby grom wśród meczetu  
i wiodłaby ludy ta chmura,  
jako gwiazda Nazaretu!

## BITWA NAD JALU

Banzaj! krzykli Japończycy –  
banzaj! lecą z góry –  
Nippon! odrykły armaty,  
grzmiać ogniem jak z chmury.  
Cariu! chrapnęli im z fortów  
ukryci Moskale,  
tam nagie prostytutki  
klęczą we krwi i w kale.  
Banzaj! jakby zawierucha  
walczącej Jutrzenki –  
wtę ostrokół – mina wybucha –  
grzmia armaty – muzyka i jęki.  
Banzaj! na bagnety!!  
(jest wśród bogów umarły...)  
– Ura! my carskie karniety,  
my giganty! – Niebiosą się zwały!  
ciał kurhany wyrosły od ziemi,  
dymy rude rozpełzły jak węże –  
dżdżą szrapnele łzami krwawemi,  
kruki lecą i chrzęszczą oręże.  
Wtem kolczaste olbrzymie wadoły –  
i wzerwała się ziemia trzęsąca –  
strute gazy, granaty, popioły –  
żar zabójczy umarłego słońca.  
Armat błyszczy tysiące na wzgórzach,  
jak w noc letnią sobótek ogniki,  
niebo czarne w rozdarciu i w chmurach –  
milkną straszne wyjące okrzyki.

-----  
Księżyc wszedł nad mroczne wąwozy  
i nad lasy ograbione z liści –  
dymi krew – jak w świątyniach Grozy –  
błądzą w cieniach duchowie wieczyści.

## JAN Z LEJDY \*(1535)

*„Der Kôning in den nyen Tempel  
foeret dit Zeichen vor ein Exempel”*

### I

Czarci chichocą w nocnej ćmie  
i na powrozie włoką mnie,  
hurma wyjących duchów gra –  
a we mnie gaśnie życia skra –  
tańczą jak w szynku – w lupanarze –  
kochanek moich widzę twarze;  
tam walc – i czardasz – biją dzwony  
dłoń jakaś pełza, a w niej szpony –  
o, pięknie, skocznie walc ten brzmi –  
wichura serce szarpie mi.  
W ubogim domku Astrith łka –  
na małych krosnach mój całun tka,  
Piekło pode mną rozchylone –  
jadę uwodzić cudzą żonę. –  
Gwiazda łśni Maga na mym czole  
Liściem się zesłłym kłębi pole.  
Ten łańcuch z trumny oplata mnie.  
Oberek wciąż gra w nocnej mgle –  
i wyją trąby potępieńców:  
tu Nowy Syjon jest – szaleńców!

### II

Niech burza huczy nad mym grodem –  
leżę na tronie z dziewczęciem młodem.  
Magistrat słucha, tłum się źmie –  
fanfara trąb szatańskich dmie.  
Rozwrzeć kazałem cne klasztory –  
mniszki brną w śniegu dla pokory;  
perły im daję: na karmazynie  
już tańczą nagie, kąpiąc się w winie –  
a w łożu czarnym tłum moich żon –  
kraczą nade mną stada wron.  
Uparte mnichy wezwały sąd –  
mieczem rozcinam ich wiary bład –  
wytryska – chlupie z kadłubów krew –  
wśród chmury nocnej Roratu śpiew.  
Migocą żagwie – strojne tłumy –  
mroczne i groźne milczą tummy:  
niech na organach wesoło grają,  
niechaj świec tysiąc zapalają!  
Ja król wasz – spełnię cud: tam w trumnie –

jak we śnie – rączki wyciąga ku mnie –  
to moje dziecię – dziecię miłe –  
ja mu kopałem sam mogiłę.  
Włos jego złoty – twarzyczka sina –  
słuchajcie – mówi – mnie przeklina –  
że wzięło z rąk mych hostię czarną –  
to jest dla wieków przyszłych ziarno!  
W piekle muzyka duchów gra mi –  
zasypać ziemią i gwiazdami!

### III

Gród obleżony. – Idę na mury,  
widzę mych wrogów obóz ponury:  
mieczyska ostrzą, kują berdysze –  
zda się, różańców poszepty słyszę;  
biskup z sztandarem czarnym w dłoni;  
krwawią się ognie w zmarzłej toni;  
jak dym ze studni, co bez dna,  
widmo na koniu rydzym gna.  
W mroczne poszedłem sam uliczki,  
złote mi grają duchów gęśliczki.  
Na rękach pełna mój wierny lud –  
tak go rozpusta zjadła i głód.  
Jam bratniość zawarł z Fegor-Baalem  
ja król – król nowej Jeruzalem!  
Lodowe widma w powietrzu gnały –  
teraz mię groźne przygniotły skały:  
kry biją szturm.

### IV

W mroku katedry  
siadam na płytach nagimi biedry –  
ja najnędzniejszy – mam serce gład! –  
nic żal mi siebie – ach, żal mi was!  
Tu przy kolumnie postać żebracza –  
powietrze żegna, komuś przebacza –  
i po bladości fosforycznej  
Astrith poznałem cień tragicznej.  
Łzy jej bolesne za grzechy nasze –  
wnet Miłosierdzia napelnią czaszę.  
O, niech się krwawi – niechaj rozpacza,  
Bóg za Twą mękę świata przebacza.  
Idą anieli – nieba zwiastuny –  
lecz głos nieziemny szepnął roi z truny  
– Eritis dei – Z Astrith łona –  
ona się broni mi zapłoniona –  
szaty zerwałem – u nóg mych błaga –  
włosy swe ściele pod stopy Maga.

Łzy jej zamarzę, oczy jak żuzle –  
kręcą się – tańczą sylfów karuzle.  
Zdobyli gród! – Jęk słyhać ludu,  
wicher na dzwonach gra: gudu – gudu:  
puść mię, kobieto, w imię Beliala!  
ja światy niszcę – świat się zapala!

## V

Dmie wicher – idę z białą liliją –  
a w mrokach nocnych tłumy się biją:  
topory – dzidy – strzały płonące! –  
ostatnim jękiem trupy już tchnące.  
Muzyka duchów dziwnie łka...  
Wybuchła we mnie odwaga lwia:  
tam mężów rzeź, i gwałt mych Minnek,  
miecz wziąłem kata – idę przez rynek.  
Zasiadam tron – niech wiedzą, zem król!  
korona z koralu – w sercu ból.  
Zmilkli walczący – mrok grobowy –  
komety w górze wian cierniowy.  
Wtem widmo czarne – koń się z nim zdębia –  
wzrok we mnie wpija krwawy jastrzębia.  
Gnam obłąkany w ciemne ulice –  
a za mną tętent – płoną gromnice –  
i ręka w szponach – jak gdyby trupia –  
piekło się kłębi – i tłum się skupia –  
i już mnie szarpia – jak zwierza w kniei –  
najeżdża koń mą pierś: Ira Dei!

## VI

Moich kanclerzów ku większej grozie  
w klatkach – szczypcami męczą na mrozie.  
I wznoszą dla mnie dwie kolumny –  
i kładą w poprzek wieko trumny  
Znieśli w kubelkach węgle szatany –  
do szubienicy czarnej związany,  
rozpalonymi cęgami rwany,  
– Ojczy! oddajęc mojego ducha!  
lecz jęków moich Nikt nie wysłucha.  
Astrith się chyli – całun mi ściele –  
-----  
Wiatr wyje – płacze w czarnym kościele.

## WIATR HALNY

Poemat

*Kazimierzowi i Julii Stabrowskim*

Mrok Wichru Halnego opowiem tym, w których serca Wola Potęgi wyrzuciła strzały mroczne i wieczne ze swego kołczanu; na obszarach tej bezmiernej Ruiny, którą jest Polska – takim, którzy rozumieją Tytanizm Narodowej Rozpaczy.

Ten ponury poemat nie jest bajroniczny, nie jest już nawet dantejski: nie zstępuje on do Hadesu z miejsca wiary i modlitwy, jakim jest Ziemia: miejscem jego narodzin jest Inferno – stanowi on dokument Grozy, jaka trwa w głębinach podświadomych ludzkiego serca.

Kosmiczne te melodie, poczęte u bram żelaznych Sfinksa Warszawskiego –  
[jedynym Sfinksem Warszawy jest Cytadela]  
że więc melodie Kosmiczno-Narodowej Męki na wałach Cytadeli  
śpiewane być nie mogą –

dlatego aż w Tatrach szukają swego wyrazu wśród skał.

### I

Narodowe mroczne dzwony, jak z spizu otchłanie –  
nie mogę ich poruszyć, aby zagrały zmartwychwstanie!  
Jestem Szatan, z wnętrzem swych węzów rozpełzłych w jaskini,  
gromami strącam świat nadziei, i w mroku rządę z tobą, Śmiertelna bogini!  
Tu na gwiazdzistych górach pośród jodeł – my we dwoje,  
błękitne meteory kapią z gromnic w oczy Twoje!  
Tobie jednej zrozumiałą Wichrów Pieśń ponura:  
porywam Cię i niosę na koniu spadającym z nieba –  
na wierzchołki Czarnego Hawrania u śnieżnego zleba.  
Zniszczyłem ziemi raj: w pustyni lśni gwiazda Ahura,  
rozsiewa mżenia snów – ja pogubione zbieram nieszczęść krucze pióra!...  
Nieszczęście nigdy nie idzie samo, lecz wchodzi zawsze Wielką Bramą:  
powoli ją odmyka w mroku, jak ognek błotny się skrada...  
W dziedzińcu Myśli nagle znika –  
schodząc w podziemia, gdzie serce marznie w aureoli.  
Z gór pełzną chmury – moich dworzan mrowie –  
na mózg się kładną ciężkie ołowie.  
Lasy w trumnach uśpione; grobowych jaskiń kurytarze  
tęczują zbrojami hetmanów – mgły zmarłych idą w rajskie wirydarze.  
Pioruny warczą u nóg mych... W milczeniu wchodzę na Łomnicę wieżę –  
nagłymi susy dopędza mię, wbiega na głązy nieznanne zwierzę.  
W jaskini, gdzie Walkirio, lkałaś co dzień –  
ból podziemny mgli się – tuż za jodłami się skrada Morze – ciemny zbrodzień.

Mówią, iż zamek Czorsztyn od mgły tej się kruszy  
i przechyla ku moczarom.  
Mnóstwo ziół trujących: tojady, szalej i belladonny –  
u stóp jodeł olbrzymich prastarych i gonych.  
Jeszcze są wielkie na nizinach sady,  
jeszcze jest wieś, gdzie ujrzyć mogę ducha – tatrzańskiej Lizy Monny!



W kolumnadzie mych biesiadnych sal jeszcze gwarno –  
w zagwiezdne sfery patrzy towarzysz Merlina –  
wśród murów katedry Kezmarskiej milczy – nie przeklina –  
jakby świat był mu już rzeczą minioną i marną!  
Zmącił ciszę podziemny cmentarzowy gong –  
o, jak straszny jego jęk, jak ponurych pełen mąk!...  
Wdziera się tłum zamaskowanych z *Los Caprichos* Goi!  
Kardynał-Księżyc wschodzi, za nim nawałnica.  
Nagie tańczą widma, kandelabr na ziemi  
oświetla głębiny Tatr i Wenus, jak na murach Troi.  
W jeziorze Gehenniczne lica.  
Tańczą upiory z kasztelankami zimnemi.  
Wino chmur krwawi się – ryk Minotaura –  
jakby nie wino to było, lecz wina!  
Jawory tysiącletnie wśród gromów już brzęczą, srebrem  
zakwitają. Kardynał-Księżyc, starszy od gór,  
idzie z pięknym gwebrem,  
który przyniósł indyjską naukę: kręgi czynią na lazurach  
wody, trójkąty przeciw nieszczęściu na górze i w chmurach.  
Umarli spoglądają za horyzont ku morzu –  
skąd ma się zjawić – Walkiria! ta znad Morskiego  
Oka wyśniona Ondyna!  
Katedra Lodowców rozswarta – i w całym Zaniku szykują turnieje:  
moja żona z Walkirii Wolnej ma być!...  
Jak cicho się zaśmiał ten wariat!...  
„Błogosławieństwo Czarta z Wami!...”  
znika na wzgórzach, gdzie limby z długimi igłami  
pachną jak włosy mej Walkirii – rudo złe.  
W pucharze kryształnym dałem wino kapitanowi –  
mój druh Wiatr Wschodni, który ją przywiózł na chmury okręcie!  
Padł w męczarni, konając, rzekł:  
– Niechaj Niewiadome cię ukarze!  
niż Aquatoffana, co zabija papieżów, gorszą jest miłość  
z głębin upiornych wyzwana! –  
Wśród milczenia wlatuje czarny cień:  
rozpoznawszy go, widzę, że to jest olbrzymi kruk.  
Wzrokiem z Antarktycznego Morza  
mrozi piorunów rycerstwo i powichry sług.  
Ukryli się wszyscy, tylko Kardynał Mag  
rozmawia z ptakiem w języku nieznanym.  
Kiedy ukończył Mszę do Bafometa w niebiosach tej sali biesiadnej –  
rozległ się trzask piorunowej iskry!  
Ciemność potopu! zostałem tylko ja przy Zmarłej i ten kruk wszechwładny.  
Spod chmur jął się wybijać zmierzch: świst w rokicinach,  
zimny wiew – trupie palce coś w głębinach przędą.  
Na mój honor, piękny gobelin, godny Lucifera:  
w morzu chmur, gromami nabitem,  
Iśniło miasto demonów Ragnarok. Katedra zwieszona  
jest ku otchłani gorejącym szczytem.  
Potępieńczy słyszę jęk: – Maledictus in beneficiendo! –

Idę po górach w mroku, pośród antycznych kolumnad w zaćmionym ogrodzie.  
Wokół zamku mojego kraina zgłodzona:  
jakby sobótki jarzą się wioski: krzyki morderców tam jeszcze dalekie,  
ale już po ugorach i manowcach idą widma kalekie, w gęste zapadają lasy  
Za mną w ślad kroczy obłęd – i chmury, jakby szatańskie kolasy.  
– Nie trwóż się, Duchu, mury tu wysokie, masz zawsze dla wyjścia furtę potajemną.  
– Nie trwóż się, że Wolność, jak wielkiej kolumny nieśmiertelny złom –  
– przyzywa grom! –

Zawarkło niebo, Morze u skał moich szumi –  
Morze Ja zarówno kryjemy swe winy!  
Z leśnej ponurej głuszy wyleciał śpiew maleńkiej ptaszyny –  
wtęmił się, jak przed wzrokiem gadu – runął zabity mą męką tajemną!  
Kłębią się chmury w ciemnościach złe; wrony wyleciały z lasu, jakby z miejsca niewidzial-  
nych zbrodni, nad rzeki upiornym gorejącym łukiem.  
Na szczycie gór modlą się głązy wieczne, beznadziejne.  
Rozmawiam, jak z Horeba wirchu.  
Ktoś w bezmiarze wysokości rzekł:  
[Nic więcej, prócz:] – Jestem! – na mękę mą przysięgam, wiem już bezgranicznie!  
Idę wśród mroku fal morskich – łamię się spektry Miesiąca.  
Na Skałach Przeznaczeń symfonią huczy miłość nie ginąca.  
Któż o głębiach wie? życie zawiera się w wielkim wykuciu gromem dwóch słów: Tak – i Nie!

Wracam do zamku: – zda się, inna okolica,  
mgła owinęła mój pałac; na furtach ukrzyżowane ciała i rządzi Magia ciemna, trupiolica.  
Żyjących nie ma... Któż światła zapalił?  
w mroku jarzy oknami krwawymi Zamek.  
Wielkie lasy, ciemne pola, z niewiadomych gór płynące rzeki..  
Wśród mokradeł ogień się rozjarza –  
tam Kometa chce mi wróżyć, mówi... żem Daleki,  
że mam szczęście niezgadnione, jak na górach żarza...  
Wróżebne przywodziły w obłokach pioruny!  
Wstań, mężna Duszo, wszechświat minie, jak głos z naderwanej struny –  
lecz w otchłaniach przetrwa Miłość i Duma wiecznego Korsarza!

Znów słyszę Twój głos: „Jestem!”  
z wyżyn minionych, z głębin nie wyjawionych –  
nic więcej, prócz: „Jestem!” –na mękę mą, przysięgam,  
wiem już bezgranicznie!  
W jaskini grobowej tli się lampka: na żałobnym łożu  
Miłość moja minioną – Mesjaniczna Polska:  
twarz łuską krasną okryta, ramiona – jak u szkieletu, co konał w bezdrożu.  
Wzrok zalepiony ropą nagle się rozwiera:  
w mą Jazń najgłębszą patrzy modra sfera tych oczu.  
Milczeniem dziecka zabitego mówi, żem ją opuścił, idąc w straszne tajnie złego.  
Nigdy nie ujrzym się już – –  
Mrok, w górze nade mną, zagryzł moje serce.  
Wola moja zabija! Nikt nie ujmie męki!

Idę, w ogniu milczenia, w mogile kamiennej udręki!...

Wśród zwątpienia słucham trującej Szatanów nauki.

Zamek duszy w ruinie! Jeszcze w podziemia iść muszę –  
tak morderca przygląda się miejscu...

Nagły krzyk – męczonogo na torturach wariata?  
nie, zagrzebanej żywcem Miłości.

Myśl się ma oniemia...

wrzask, śmiech straszliwy – bicie głową na murach więzienia w ciemności –  
milczenie mogił: bluźnierstwo wszechświata!

Tłum zamaskowanych idzie przez cmentarze w mroku,  
niosą pochodnie jarzące ku wielkiej przedpogrzebnej wieży.

Ktoś za mną szepcze: – „Ciebie On z łowczych wyzwoli obieży – !”

Obróciłem się nagle – widmo znikło. Padam w zarosły trawą grobowiec i twarz kryję.

Głoskami Baltazarowymi tu milczenie wyje.

Taras nad morzem. Huczący orkan złowieszczonego mroku.

Zmurszałe drżą wieże, palą się krużganki...

Z wyżyn piekła runąłem –

w mrok, w mrok! w czeluście Ananki!

## II

W piorunach widzę błyski Wawelowej wieży –

tam: lśnią sarkofagi Bozogrobowców – rycerzy.

Mszał rozwieram w kaplicy wśród życia ciemności i jam.

„Jeśli Pan Tobie nie zbuduje domu” –

nie, już nie zbuduje! choć mi w piekle moim strach,

jestem chmur bezbrzeżnych Szatan, mroku Wiking, z mogił powstający Lach!

Czy znasz Wawelu głodowe więzienia,  
gdzie bez świateł konający więzień obmacywał mury?

Król z wysokiej, jak niebo ponad nim, świetlicy,

zaglądał w mrok dantejski i słuchał milczenia –

i nagle zagrał w róg, który mu dały Białowieżskie tury,

w znak, iż Polska będzie wierna Piotrowej stolicy!... –

W otchłań księga Starego Zakonu runęła!

wszystkie sznury na mej wieży ciągnę!

z hukiem wiekowego złomu w przepaść zlatują Zygmuntofskie dźwięki,

uderzają aż w dęby Niepołomy głęboko pod korą,

wznoszą w Tatrach nowych rozświatel kościoły!

Z Niewiadomym zawarłem wśród huczących lawinami gór – me braterstwo krwi.

Napełnia się otchłań burzą, jakby ryknęły stuwoły:

na całe Tatry brzmi mej wróżby śpiew,

nad całej Polski wielkim Ciemnogrodem.

Na Polskę idzie z Bogiem moje wielkie mocowanie:

To nie grzech już, nie zwątpiały snów marzenie,

nie jęk, iż Polski nigdzie już nie mogę zastać,

lecz rozwalam Wszechwięzienie!

Całe Tatry są mi za wieżycę:

w Zygmuntofski biję dzwon,

do otchłani strącam zagrobowe tęcze:  
Mnie – tron  
zemsty królowi niosą Gromownicy!  
mnie – Mroczny niewidomy Zgon  
tabuny napędza upiorów i wron...  
Nad brzeg idę zamogilny,  
gdzie księżyc, Furii Erytrejskiej marą,  
świeci w mą opuszczoną świątnię.  
Mszę Ziemi odprawiam – a duch mój jest – Ofiarą!  
Najprawdziwsze ze słów na krzyżu gra mi: – Lama sabachtani!! –  
Słońce, opuść mię! idę ku ducha wieczystej otchłani.  
Zaprawdę –  
moczar Targowicy jest drobną częścią serca mego,  
ból gwiazd mię łamie – przewierca!

W czarne narodu mego pola psy wypuszczam:  
Mrok, Nienawiść i Mór.  
Moja pieśń myśliwska jest z gór,  
których imię – Niedola!  
Z litewskich cmentarzów chór klęka u stóp mych, biorąc za guślarza –  
mówią, że mój dzwon ich obudził w mogiłach  
że myśl moja pełza pod ziemią i stwarza  
Polskę na Tatr Wyrwidębach i w Bałtyku Dziewięćsiłach!  
Hej, hej! kuku mój, Pegazie,  
kopytami wryłeś w piasek przy cmentarnym głazie!  
Jakież tam lichy stoi, czy gwiazdziste zwierzę?  
Pyta: z kim – i za kim?  
Z Niewiadomym jużem zawarł me przymierze! –  
Jakby ognie z moczarów lśnią tu zmarłych oczy i  
każą mi spełnić od istnienia tej ziemi najcięższy grzech!  
usta czarne tych widm, z których się krew broczy,  
muszą oskarżać! Lecz kogo? wypełzli, jak gady, spod strzech,  
jak wilkołaki w borach błędzą wśród zawiei –  
przez turnie i urwiska, gdzie nie ma już – i na wieki nie będzie, nadziei!  
Pną się na księżyc wojenną falangą!  
doliny dygocą w jodeł mrocznym przerażeniu!  
Mortuos plango!  
umarłych wzywam! wicher tysiąca dzwonów na nieba pękniętym sklepieniu –  
lodozwał spada, gdzie mój wzrok zanurzy –  
w środku Piekła wirującym niewzruszone modre Oko Burzy.  
W milczeniu tym słyszę z Golgoty dawnej szmer Potoków –  
..., „Miłość wyzwoli”...  
Ha, ha, wyjcie psy – pod Lodowego koniem i Wysoką,  
gdzie loretańska sygnaturka brzmi i turlika: Vivos voco!  
Wpadnijcie, moje psy, aż do jaskini wiar  
nad niezgłębionym królestwem Maruny:  
rozbryzgajcie mózgi mężnych i usypcie z gradów truny!  
Mam ognie krwawe już pod oczodołami:  
chmura duchów mnie wita, głos leci skałami:  
– Ave, Satanah, ave! –

Cóżem uczynił z duszą moją? i z moim narodem?  
wiosnę życia zamroziłem syberyjskim chłodem!  
Zaszumiały wokół bory, które wzruszył smutek mój.  
Dunajcowe fale niespokojne  
i garść duchów, jak pszczelny z dębu płonącego rój,  
idą ze mną na wojnę!  
Wyjeżdżamy wszyscy wraz –  
w Kościeliskach rozwarłem im bramę!  
widzę piękną romantyczną bardzo panoramę.  
I zagrałem, jak królewski zbój Janosik w ciemny zwycięstw róg:  
– Hej, wesoło po polu tratujmy,  
Wartujmy, gdzie ukrył się Wróg!

### III

W ciemnościach idzie Wędrowiec –  
zna, jakby z cierniów zamarzłą w szron, koronę.  
Wyje mu kurniawa. Znam go: z Chrystusem mówił na Wawelu.  
Mrok wyje – jezioro na basetli jęczy.  
Sam? wszak było niegdyś braci wielu!  
Nagle nieba miazdzonego wrzawa! –  
rozświetlił grom: przepaść – i śniegi, jakby z marmuru grobowiec.  
Mrok. – Wicher. – Szatańsko i chmurno!  
Młodzian czepia się tysiącwiekowych nieubłaganych skał. Nadaremno – runął!  
Wicher zaświstał mu w uszach Nokturno.  
Błyskawice świetłą pod lecącym zimne krzesanice.  
Włosy kosodrzewin przypomniały mu nagle kochankę.  
Ziemi Moloch przyciąga według Newtona praw – matematycznie :  
w dole dziuryty jodeł ostrych, kamienny sprzed potopu miał!  
Jego ostatnia myśl była tu: „zwycięzam Anankę!”  
Grom – jezioro błyska demonicznie,  
jakby Meduzy lico. Wicher – olbrzymi dantejski szatan zerwał swój łańcuch – i wyje.  
Już ziemia. Ujrzał Mnie – i runął na głazy!

Zamieć śnieżna rozpostarła nad nim swe białe namioty.  
Zbudził go mróz i ból bezbrzeżnej za życiem tęsknoty.  
Z mroku wychodzi marzeń Anhelliczna Jędza,  
rozświetla naraz mu otchłai, złotymi niemi oprędza!  
– moje serce ma znak bólu i Krzyża;  
– moje serce ma ranę i otchłai;  
– moje serce krwawi się siedmiu boleściami!  
– Chodziłem w ornacie męki, u kolumny zbryzgany,  
– umęczony za winy ojców!...  
– Nieokreślony żadnym pojęciem!  
– Człowiek i Ból – cóż za różnica?  
– a życie – to tłąca wśród rajów gromnica.  
– Idę przez miasta, i jestem nad wami.  
– Patrzycie na mnie, nie widząc.  
– Smutny moralnie gubię się – wy moi –  
– módlcie się za mną. Muszę iść!...

Mijałem go – trup świecił zmarzłymi oczyma.  
 W turbinowym wicherze gnam, we mnie wulkan, a wokoło zima.  
 Kruku leć! Twój cień nad otchłaniami nieopłakanymi!  
 Na Krywania murze kreślę mądrości prawiecznej to imię:  
 Lucifer!...  
 Jestem w pustyni, kuszony przez Moc mą, ponad wszystkimi królestwy.  
 Tu Batyżowiecka Turnia, pełna kabalistycznych jaskiń, chmur i złocistych księżycowych cy-  
 fer;  
 jeziorne dale, jakby upadłego Anioła zmroczyły się tęcze  
 lub w kraterze wulkanu jarzył cud Alchemii!  
 Tu katedry magiczne, gdzie się myśl wygórnia,  
 i tu amfiteatr umarłych, gdzie swe serce męczę!  
 W niezgłębionym Oceanie – cyklon gwiezdnych dróg!  
 wśród eteru błędzą komet karawany!  
 Mrok mej duszy jeszcze napiął swej rozpaczy łuk:  
 zaginęła strzała nadziei, złoty serca bóg!  
 i – u Gigantycznych gór tych Mrok legł obłąkany!  
 – – – Tu jest Święte świętych Mroków!...  
 I wydaję ostry gwizd!  
 Poruszyły się w jeziorach widma dawnych cieni –  
 tam zasłony tajemnicze, mój brat wieczny – Chryst!  
 wybuchnął krzew olbrzymi czarnych, złych płomieni.  
 Jakby Mojżesz lud powiodę tam – nad morza tonie,  
 lecz zostanie nieugięta szatanów Łomnica!  
 jako Helios wzdębię jutrzeńkowe konie,  
 lecz zamarnie moja ziemia – Matka czarnolica!  
 – – Kruku nieszczęść! ku północnej leć krainie –  
 niechaj wulkan buchnie z gór –  
 skrzydła moje bardzo ciężkie – w płaczu chmur.

#### IV

Zbielałe od grozy, usta moje,  
 nie śmia wymówić, co zamyśliło moczarne,  
 w swych okrwawionych labiryntach, Serce!  
 Dzwonie umarłych – przyzwij mi upiory,  
 niech się nie cofnę już przed wyzwoleniem!...  
 Nocą, wśród fioletowego mżenia błyskawic,  
 kiedy zapadł już grom w ciemna głębinę gór straszliwych,  
 wypływam – na czarny przestwór Morskiego Oka,  
 by zatracić swą przyszłość i minione czasy!  
 Jak patriarcha ofiarował Izaaka Niewiadomemu Mocarzowi pustyń,  
 tak ja podziemnym Harpiom poświęcę moje sny!  
 Upoję je wprzód naparem z opiumicznych kwiatów –  
 [zadrgałem na łańcuchu, jakbym już był szatanem  
 i mógł zniszczyć cały krzewiący się życia lupanar –  
 mój łańcuch poszarpię tej nocy!]  
 Zmroczył się zamarzły cień od mych rogów,  
 bólem wiedziony – nie myślę już, ale wyję!

Tratwa z olbrzymich kłód wiązana –  
jak ten okręt Argo, na którym płynęli potężni heroje,  
gdy świt Kaukazu odbijał się w metalicznie turmalinowej głębinie.  
Teraz – objawię się sobie – po trzykroć wielki – w metafizycznej mej winie.  
Przy mnie Walkiria – niegdyś dusza Polski.  
Nienawidząc jej świętych instynktów, zapładniam ją mym piekłem.  
Niegdyś wierzyłem, iż utworzę z nią rasę potężnych śmiejących się bogów,  
teraz szaleję w złowrogim łożu, pełnym odurzeń i lernejskiego jadu!...  
Mówię jej: wstań! na powitanie Burzy wypłyniemy.  
Weź nasze Sny! –  
Posłusznie wzięła za rączki tych troje:  
– – Jasnowiąsa królową, co kocha melodie, zrodziłem w Gehennie wileńskich więzień,  
gdy bluźniąc Bogu, wzywałem mego sobowtóra  
i poświęciłem Mu to, co się ma narodzić  
z Świętej – i ze mnie.  
Narodziła się – Poezja. –  
Wtóre – mniszka poczęta wśród katakumb rzymskich,  
cicha i wzniosła, jak anioł z mozaiki –  
naradzając ją, byłem ścigany przez Furie sumienia,  
gdyż bogów moich musiałem przekląć i zakrwawić!  
Małe – cudne dzieciątko Duszy, nie mogące żyć na ziemi,  
kiedym je napił krwią i kłamstwem – wyrosło w Religię!  
Pomnisz to Światowidzie, twórcu hejnału gwiazd,  
który nigdy nie poniżyłeś się kształtem ludzkiego jestestwa?  
i ty Atrympie, młodzianie morski, noszący na głowie węża –  
wieszczu Litwy, który przybywałeś na modlitwę rąk moich –  
i opowiadałeś mi tajemnicę Morza Pradawnego w Tatrach!  
Nad wyjąłym Bałtykiem nocą w zamku Korsarzy –  
porwawszy Walkirię wolną, kazałem wpatrywać się, mej Mylicie, w księżyc –  
i w dzikiej, jak przyptyw morza, chuci – jąłem zapładniać –  
[na podłodze leżał mój płaszcz z krzyżem Mistrza Kalatrawy],  
Księżyc zza chmur nagle spojrział w nas oboje.  
Morze wyło – z cmentarzy wulkanicznych księżyc  
schodził ktoś w skrzydłach mrocznych, z płomieniem na czole,  
w złowrogim majestacie Tego, który już nie wraca.  
To jest mój trzeci – mój syn! Mrok zagwiezdnej wiedzy...  
Teraz wiodę te moje ukochania dawne – na zagładę.  
Walkiria dawnej Polski – stała się im Harpią –  
złym, chorym, biednym zwierzęciem, zgnębnym przez Fatum!  
Jej oczy rozświecone: widzą i pojmują bezmiar królestwa Nędzy o więziennych bramach.  
Słyszysz? – tam wozy śmierci nieubłaganie pędzą i tratują! –  
dzieci – sny moje z kamieniami u głów uwiązanymi strąciłem –  
i syna – jam rzucił w głębinę ze skały!  
Matka patrzyła w toń, gdzie zniknęło dwoje –  
i zdała się podobna do krzyża, co nagle się pochylił – nad grobem, wykopanym zanadto głą-  
boko!  
Zepchnąłem i ją w głębię – w zimny nurt bluźnierczego zgonu –  
w ciemnościach mroźnych szukała mej szyi – lecz jam się wyrwał z duszących uścisków –  
Wypłynawszy z mroźnej, jak dla potępieńców, Kocytowej wody –  
zmierzam na szczyt z głazów Cyklopných spiętrzony.

Straciłem głaz – myśląc, że może rozmiądzy tę, co wypełzała na brzeg –  
nieszczęsną obłąkaną Matkę, której sny zabiłem!...

O, gaya scienza!

nęci mnie piękna dama o wypukłych  
biodrach i źrenicach Madonny indyjskiej,  
czyli świętej krowy

Chryste,

„przechodniami jesteśmy na ziemi, ojczyzny  
szukając?

karanie terazniejszego czasu wyda owoc  
spokojny już umocnionym?”

Mam więc poświęcić Tobie mą wolę: strącenia Ziemi w otchłanie?

ja, którym zniszczył Poezję, Religię i Gnostyczną Wiedzę –  
troje mych snów, zrodzonych z Duszy dawnej Polski?

Ty mi każesz łańcuchy nieść dalej i dalej?...

„I Syn bowiem człowieczy nie przyszedł, aby Mu  
służono, lecz aby służył i dał duszę swą  
okupem za wielu!”

Za późno!

błyskawice oświetlają małe duszki na dnie –

umęczoną Mylittę, która jest jak krzyż pochylony, kiedy pod nim wykopią: mogiłę.

## V

Na czarnych jodłach, które są w niebie –  
łamią się w kryształkach blaski nieznane...  
Strumień, szumiący w ciemnym żlebie,  
gra dziwne pieśni – nigdy nie grane!

Świateł mej duszy! o, świateł mej duszy!

Ujrzałem w pomroce druidycznego pieśniarza,  
którego lud wyginał wśród skał Atlantyku.

Pod bukiem tysiącletnim twarz mu się rozjarza  
i słysząc echo walk w przedśmiertnym krzyku.

Idzie kapłanka wśród jodłowej głuszy...

teraz ich Miłość błyszczy w aureoli –

teraz żyją na wyspie wśród nieba otchłani,  
samotni wiecznie; teraz już ból ich nie boli –

teraz już mogą tworzyć, na piękno bezśmiertne skazani.

Zeszli w podziemia, gdzie lśnią duchów oczy –

tam, na struny zamierzchłej harfy Cherubima

runęła ciężko postać kobiety – i jak Ocean się wzdyma,

tak morzem jęków, tak upiornym szlochem dzwonów Miłość kroczy!

I zeszli w ciemność – w zmarłych kolumnady.

Zostałem tu sam jeden w nieobjętym mroku!

woda mi szumi wiecznie, jakby warząc jady,

którymi poi Miłość – z umarłych wyroku.



Me serce wschodzi wśród krwawiących łun.  
Wiwianie, o duchu z zaświata!  
tych królestw, co zamierzchły, umarły pieśniarzu!  
tych marzeń, co nie wstaną, bo je Ocean przygniata,  
tych tęsknot, co są wieczne, tych zórz, co minęły,  
tych zaklęć niezgadnionych, tych tajemnych run –  
wierny kapłanie!

Behemoty księżycy na górach się wspięły.  
Tam wieże granitowe milczą, jak działa olbrzymie.  
W łodzi wypłyniem ku głębiom cmentarnej groty.  
Ponad złowieszczą otchłania, na druidycznym łśni ołtarzu  
moja Ojczyzna!  
Wyrzeźb w jej piersi tajemnicze imię,  
co karmi Was – nieśmiertelnych!  
– Umrzeć za nią?!  
o, księżyc wzeszedł już do groty czarnej!

Na suchych gałązkach krzewin błyszczą diamenty.  
Idzie po śniegu korowód duchów cichy, wniebowzięty!  
zda się, cała Golkonda tu jest rozsypana –  
tyle brylantów! iskier rubinowych z każdego kurhana!  
Drzewa o wysmukłych marzeniach, pełne błyskawicy –  
ziemia pokorna, biała – jak ślub niewolnicy.  
Wchodzimy w groty lodowe, płyniem w oceanach,  
mówim z Księżycem – kładniemy skronie na tytanach,  
przez Światowida wykutych piorunem!  
Idziem w lasy mroczne –  
nad nami oczy Księżycy wielkie, święte i uroczne,  
mnożą się wśród gałązek. Brniem po śnieżnych falach –  
i zostawiamy, jak okręt, smugę w bezbrzeżnych oddalach...  
Z Szamanem Sybiru mówimy, klękając na białym całunie –  
modlim się, a ziemia jest nam białym opłatkiem w tej trunie.  
Łańcuchy wlecemy złote, tajemne – –  
schodzą się duchy nadniebne już – i podziemne.  
W niewysłowionym szczęściu wchodzimy aż na wirch Garłucha –  
śpiewamy na całe Tatry! Natura nas słucha.  
Gramy w milczeniu – ni duch wieczny – sobie! ni króle – dla narodu!  
ani nędzarze – Syriuszowi, co nas oświecła blaskiem wodorodu...  
W morzu milczeń, które jest w sanskrycie Matką –  
stoim po usta – mówimy do Mroków swą Jaźnią – zagadką...  
Chrystusie, Agni – kochamy Was. I ty – Luciferze! w mrocznych głębiach bramo –  
idziem ku Twym ogrodom, gdzie żyjesz: wiedzy Dalajlamą!  
Milcząc, idzie korowód zakłęty i niesamowity,  
śmiejąc się z zachwytem do błyszczów złotych – het, na Osobitej –  
i do więzień tych groźnych mrocznego Murania,  
aż sen głęboki oczy i myśli nam zasłania!...

## VI

Na ametystowym wirchu Krywania – wieczność przeżyłem w godzinie.  
Już rozcinał sznur myśli moich dzwonu,  
by nie słyhać było tętniącego – z obłąkanymi oczyma,  
czającego się u tych skał zimnych – Zgonu!  
Kozica, skok czyniąc, zaczepiła się rogami  
na tej jedlinie – i tak będzie wisiała,  
gdyż nie ma Nikogo – kto by się zlitował – nad wami!  
Nad nią krążyły już wrony,  
mierząc dzióbami w łez pełne źrenice.  
Oczy wyżarły już jej błyskawice –  
puściłem ślepą na wolność, na ofiarę – Panu! – –

Strumień głośno zlorzeczy w głębinie –  
W lasach płaczą posepne Magnificat brzmienia...  
Na Orlą wchodzę Perć, księżyc wydłużył ramiona –  
mam już, mam: głębie filozoficznego kamienia!  
– Złoty on jest abo szmaragdowy.  
– Na ból serca i głowy  
– przyłóż lub wypij, będąc w starości –  
– odmłodziś się. Lub jako łzy na pole zmarłych kości,  
– choćby na Grunwald, a wstanie  
– cały huf! ba, na Piotrową stolicę: ocknie się z lampą Chrystusa!!  
– Tym kamieniem oślepiś [lecz przeżegnaj wprzód!] baziliskusa!  
Kto mówi we mnie? alchemik z Polszczy starej,  
co w Tatrach szukał rubinowych kopalń i dla Wenecjan – talizmanu,  
czynił krzyże, kręgi na skałach, zaklinał merkuriowe wary.  
Po sznurze schodził w przepaść, jak Dawid do kochanki, wciąż modląc się – Panu! ...  
Ha, widzę tego, co runął z tych wielkich swoich wiar –  
leży tu pod kosodrzewem!...  
Jędza nad nim: z włosów ma węzowisko,  
piers aż do ziemi! czym w zbójników jaskini?  
rozpala się wielkie ognisko,  
skrwawione pieniądze kapią nad Ukrzyżowanym,  
Straszliwy urok Wiedźma rzuca swym ochrypłym śpiewem:  
..... – Na Tatry idź, w piaski i w łany!  
mów do swej duszy zatracanej:  
wstań wielga w pustynie, jako Wąż Miedziany!  
Idź wodami, pustymi polami, górami, lasami,  
piachami, Tatrami, dziewiętnastymi  
ostrymi turniami, graniami, kościołami,  
smętarzami –  
idź na puste pola, tam Ojczyzna twoja!  
Mów do swej duszy zatracanej: wstań wielga  
na pustynie, jako Wąż Miedziany!  
A ozeńdź się, Męko, na góry, lasy –  
na wieczne czasy!...  
Święta Nocy Rodzicielko, królowo piekielna,  
uzdrowcie mnie – jak ja Was tyz prose,

bo ja ciężkie, przecięzkie boleści w sobie nose!  
Święta Śmierci, uzdrowcie mnie – babko Pana suzeJ’owa, jak ja Was tyz prose,

bo ja straszliwe boleści w sobie nose...  
Matko Boska różańca czaskowego, zratujcie mnie!  
Matko Boska Łomnicka, weźryjcie na mnie!...  
Matko Boska Morskiego Zapomnienia, uzdrowcie mnie!...  
Jak ja Was tyz prosem, bo ja przecudne boleści w sobie nose...  
Matko Nocy, modlijcie się za mnom;  
Matko Męki sytkiego świata, modlijcie się za mnom,  
weźryjcie na mnie, uzdrowcie mnie!  
Wieczór przyjdzie, spać się kładem,  
Pana Szatana ku sobie bierem, piekłem się odziewam,  
Matulinę Złego ku sobie pozywam.  
Święty Diable, strózu mój – we dnie i w nocy przy mnie stój!  
Jako bedem umierać, rac-ze Diable Janiele przy mnie stać,  
bo jak ja tyz stanem w piekielnym progu,  
to oddam pokłon najwyżsemu Panu Wrogu!...  
Bo ja pod Łomnicą klękam, ciężarem stękam,  
dziewięć razy rącki podnosem, na trzysta lat  
Pana Mrokowego o zdrowie prosem...  
Bo je miał w sobie ciężkie rany, jako i Pan Szatan,  
kie był na krzizu wyciągany!  
Z Szatana drogiego krew płynęła,  
bo Szatan na drzewie strasznie zraniony –  
po syćkiej wieczności będzie znakowity.

A przeklinać wiecór, w rano, w południe –  
zeby było Panu Szatanowi na intencyjom,  
takze i mnie!...  
Teraz, Szatanie Cię prowadź, dziewięć razy –  
i odzegnaj się trzy razy i mów: Nigdy, nikany, nie!  
I już koniec. Aa! – toście Wy sam tu, Panie ?! –

W wichrze twarz mą ujrzała.

Na drzewie kołysze się Czarownica:  
Moc ją zmogła moja straszna, trupiolica.  
Zawichrzyłem burzę. Gnam po Tatrach, jak po ciemnych wschodach –  
z piorunów czynię wróżby na zastygłej ziemi.  
Na tych górach ręce kładnę, jakby na narodach  
i gram, promieñmi wiar obłądnemi.  
W jaskini jarzę świecę mądrości wężowej;  
wśród piekła czytam Biblię polskiego Więzienia.

Tu w Tatrach słucham – krainę północy wstrząsają krwawe mżenia –  
tu Chram Ludzkości widzę granitowy!  
Tu, Mroków Xiądz, do ludów z Ganka mówię groźnej kazalnicy:  
„Wieczni Wędrowcy, mistyczny ptak, Mrok –  
niosę was, aż ku Dolinie diamentów,

gdzie was napoję z siedmiu gór krynicy –  
i zmarłych podniosę i dam ślepym wzrok!  
Wy – z nędzą wieczystą w zapasach –  
oto gromy biją, handlarze już w lasach!  
Powodzie, z dolin tysiącwiecznych wrące,  
na wasze działki idą – w chatach śniące.  
Idą ludy pijane krwią! ubrani w krzyż –  
Niemcy – i Warango-rossy!  
Powstańcie, jak Indra sturęki  
nad Gangą! Wiedzący już –  
Gromy łamcie! Wasze imię: Fulgura frango!  
Tytani, związani nikczemnością losu,  
ja wąż leję Wam truciznę, aż się staniecie opoką!  
Vivos voco!  
Garłuchu, po trzykroć święty, zwyciężaj na swych piramidach!  
Lodowy – czarowniku, w laboratorium swoim zwalczaj mrok Ananki!  
Z epok nierządu – w nadludzkich idź szranki,  
jak Bóg – który się narodził w Żydach!  
Wielki targaczu odwiecznej Mai łańcuchów!  
na każdy manowiec idź, w każdą z gromów burzę,  
zrywaj każdą pieczęć milczenia, krępującą duchów –  
aż się przemienisz w swej ludzkiej naturze,  
aż Bagno – wstanie Górami,  
aż będzie Wolność – nad Wami!”

## VII

Żegnam was, zimne olbrzymy!  
Garłuchu, z przepaścią ziejącą, jak paszcz Lewiatana!  
głuche przejścia w Kominach, z śmiercią zacne rymy!  
I Kosówek węzowy – grupa Laokoon nieznaną!  
Stare, złe góry! sonaty grzechu i zniszczenia,  
Które grywał na organach ten wielgolud Hruby!  
Pomruki wściekle zbite w głąb – strumienia,  
w dali – zapalone od pioruna, płoną jodeł huby!

Sikławy przebiegam wśród skał, tęczując w jutrznianej mgławicy;  
w groty zapuszczam się mgieł – w duchów Alkazar kryształny...  
Mrocznieje prawiteż Giewont z twarzą w kamiennej przyłbicy;  
Dolina cichnie, gdzie w milion kotłów grałem –ja – Król Wicher halny!  
Wszystkiem przełazy te zbłądził, zjarzyłem świce węzowe;  
zmówiłem na wirchach modlitwy; zmroczyłem jezior lazury!  
Hawrań i Murań znają mą z Niebem wieczystą rozmowę,  
lecz jam nie mógł Go zabić, chociaż wschodziłem nad chmury.  
Z mogił tych Tatr, co były mi tronem,  
wychodzę – i zapalam Blask nad śmierci pomroka!  
i milczę – nad Wroga we mnie najgłębszego zgonem...  
Otchłan wzywa Otchłani: Bóg wschodzi! –  
– – Mroku, idź głęboko! – – –

## PRZY GROBIE DON JUANA TENORIO

Ujrzałem Miłość: jej tron był w kształt pałacu,  
gdzie piętra sięgały kolan, a do ramion – wieże,  
a za mną – tajemnicze, klasztorne odźwierze  
i jeden słup latarni, gasnącej na placu.  
Ujrzałem Miłość: jakby na starym Mantegni obrazie  
kwitną w ogrodzie wierzbowe senne bazy,  
wtem drzwi się roztworzyły: Wędrowiec wszedł daleki.  
Lampa wisząca w żelaznym łańcuchu,  
wichrem targana – krwawi me powieki.  
Na bruku twardym klęczałem bez ruchu.  
Wchodzę: tam w krypcie Don Juan hetmani,  
ja czytam napis – (na czarnej bezdennej otchłani,  
wiatr zawył, jakby jęk – ): *jestem z ludzi*  
*najgorszy* (tu było starte), a gromnice  
iskrzą się w moje rozplakane lice..  
I kończę z zmarłym: *niechaj mię nikt nie obudzi!*

## MIŁOŚCI I MELANCHOLII ŚWIĄTYNIA

*Tadeuszowi Nalepińskiemu*

W mrocznych praborach, gdzie Okean płynie,  
walcząc z falami Hadesowych rzek –  
widma kochanek przyzew mój wyzwała  
i tu przenosi na potępień brzeg:  
o Awenanti, Lari, Kalla –  
w Reinkarnacyj mych głębinie  
na stosie ciał tych – Mrok mój legł.

Dionizos żeński w kuszczach winogrodu  
wita mnie śmiechem i winem wśród mroku,  
lecz ja do Lernejskiego mówię gadu  
o znikomości gwiazd!  
Tam w labirynty idę Ragnaroku,  
najbronniejszego ze Szatana miast,  
co wieżycami w dół ku piekła pomroce –  
wgląda się w kry szumiące, w wieczne noce!

Zanim do nieba zastęp męźnych wedrze,  
na diamentowych wieżach wzywam duchów zlot:  
mszę celebruję czarną w grobowej katedrze  
i gaszę Lux Aeterna – ja bóg zmarłych – Thot!  
Rozgłaszam miłość mym Zadżumnym dzwonem,  
w kręgu ogniowym Sziwa – tańczący nad zgonem –  
w bór tropikalny przyzywam Was!  
Myśli nic narodzone i nie nazwane,  
sny najdumniejsze, nie dokonane –  
pawiotęcz kras

Jam jeden zawsze, czeluść żądz stubramna,  
a ziemia cała drży od mego pług –  
jakby menhiru grobowcowy głąz!  
Wy – Lawalrumi, Santi i Mariamna,  
o Grey, Pelawi, Kaliruga!  
Z wszystkich snowidzeń, z zamierzchłych manwantar –  
ja tyran, wieszcz i diabeł – Homer, Dante Antar  
Tiglat Pilezar, kalif Akbar, Timur-lenk,  
gdy mnie rozkosz wabi nadmierna i nadmierny jęk –  
wybrałem tysiąc Muz, odziałem je szkarłatem,  
niosłem kadzidła im i złote trybularze,  
dymami-m poił ambr, kwieciłem je granatem,  
bezwstydniej Asztaroth kamiennem wzniósł ołtarze...

Ha, ha – poznałem, że z czarnej Golgoty  
wydany wyrok na mnie – zaciekle się w furii:  
Ja, który znałem olbrzymów astralnej Lemurii,  
ja, którym znał nad ziemią księżyc drugi – złoty –  
ja, którym chodził wśród Magów Dżemczyda –  
miałem-że słuchać Pawła – zacieklego Żyda?

W niezglębionych Piekła lodozwałach,  
hufy powiodłem naprzeciw aniołów –  
oszczepem kłuję i zadaję gwałt!  
Bronią się mężnie przy wiary swej skałach!

Na łóżach z brązu, w dymach krwi stu wołów,  
każę ich oddać na myśli męczeństwo –  
żagwie palimy pośród skał Tarpejskich  
i tak szydzimy z marzeń Nazarejskich,  
jak rozhukany w noc jesienną Bałt.  
Tu gwałtowników przyzywam zastępy –  
Urakabameel jest ich groźny wódz –  
tu ciała chrześcijan rozrywają sępy,  
by Miłość i Nadzieję kłami hien zmóc –  
tu winem z krzyża napełnia się fiala  
aż krzyk: Jahoo! z ust Heliogabala,  
kłamiąc Młodości, ulata nad błonia.  
Wraz z Messaliną zbestwione zastępy  
tańczą dokoła Najświętszego Graala...

.....  
W mrok nocy jadę, gdzie Szał jeno mami –  
iskrząc z mojego konia podków szmaragdami.

Jadę po stepach, aż w Kijowa mury –  
Król Śmiały – czynię z mniszek amazonki,  
za włosy wieszam, zmrażam wśród tortury,  
gromnicmi obwiesiwszy, rozjarzam je – w pająki.  
To znów myśliwiec – gonię czarne tury,  
gdy w bekowisku wyszły na słoneczne łąki –  
i nie mam kresu – i w sobie się zżeram –  
zabiwszy żony, na starość sam umieram.  
W Antylibanie i w jaskiniach Syryi –  
wiodę na zgubę rycerzów Normandyi,  
trupy im daję w obrazach Walkiryj  
i chłodem wabię jasnych łąk Islandyi.  
Wszędzie im cudne rozsadam Zulejki,  
w podziemiach skarby jawiąc Khorassanu.

Mnie Templariusze, zdradę czyniąc Panu,  
na czterech łapach bóstwu zlewają olejki

W ogrodzie idę zmkniętego haremu:  
Abencerragów pałac – i mujeres

que tanto quiero! ku dziedzińcu lwiemu  
prowadzę nagie, pojąc winem Herez!  
Wnet krwią zbrzygałem cypry, mroczne tamaryszki –  
bom wrota rozwarł hidalgom, wiedzionym przez mniszki!  
Krzyż a zwycięstwo – dla naigrawania –  
ja, Tammuz-Adonis, moc mam zmartwychwstania...

Gdy klasztor śpi – w kaskadzie świętej włosów  
zanurzam dłoń po ramię, aż po królestwo biodr...  
A gdy mnie – wyzna – w trumnie na żelazach mutr,  
zamurowanej żywcem jawię wonie wrzosów.  
W sadyzmie mniszki bicząc i wśród autodafe  
śpiewam im serenady u miłosnych wrót:  
z pazurów poznaj moją autografę –  
wszędzie, gdzie stał się zwiastowania cud!

Mijają czasy, nie mijają żądze,  
leży mój głaz w kościele Sewilli:  
kazał się deptać ludziom ten, kto w każdej chwili  
brał najcudniejsze usta, mówiące, że... błądzę!  
Nie umrą dla mnie: Julia z Kapuletu,  
Beatrix Cenci, ni Stuart królowa...  
Tule, gdy zechcę, niby piosnkę z fletu  
Basię Radziwiłł i mieszczkę z Krakowa...  
Nuży mię cnota, więc kurtyzan formy  
wzywam na chmury: egipską Rhodope,  
Frynę, Lukrecję Bordzia, Lolę Montez i Delormy,  
Lady Hamilton, Tsiang Hoa, Walewską (znasz  
siano w Polsce, którym nie gardzą słoneczne półbogi –  
książ Poniatowski, Napoleon... ani wrogi?...)  
W chmurach mi tańczą mocne szwedzkie Sormy,  
Marie Daniłówny, hrabianki z Lichtenowa  
i najcudniejsze wiedźmy spod Kijowa!  
Wtem – w bobrzyc futrach, wśród chmur Nanaa Pao  
nęci mię w dal północną... Na chyżych reniferach  
lecimy. Ja Szaman – przy umarłych zwierach,  
gdy słońce borealne na krzyżach konało –  
wieściłem w jurtach tęskniącym: krasnego Kupało!  
Zórz magnetycznych byłem tajemnicą,  
grałem wygnańcom hejnał pogrzebalny –  
w wiedzy zaświatów całowałem lico  
Eloi, kopiąc skrzydłami grób żalny...  
Zmroziłem wiarę: sturękim Briarejem  
w kraterzy schodzę – na łoża mych żądz!  
młot mój zaiskrzył nad Malsztremu lejmem,  
Walkirie wzywam, by leciały, rżąc!  
A gdy w mój uścisk wzięłem boskie Norny,  
w krach Antarktyku odprawiając Gody –  
wnet poleciałem, jak ptak nieprzezorny,  
na gorejące Meksykańskie wody...



W tajfunach marzę – w wirach niedogonnych –  
smutek mój cichnie, gdy mi orły kraczą...  
Ja chińskie róże zrywam przy latarniach wonnych,  
kurhany czaszek me zwycięstwa znaczą!..  
Wypami rządząc Jutrzni, jam był Kijomori,  
lody topniały od żaru mej krwi!  
tabun żon moich wysłałem na bory,  
by śnieg zamroził ich rzęsy i brwi!  
Kazałem w grób się złożyć – żywy – sercem chory!  
Znów zmartwychwstaję, gdzie Ocean Cichy,  
kres mam dla światła – nie mam dla mej pychy!  
Na morzach żyjąc, bóg wyspy Samoa –  
połową jestem w nieboszczyków domie,  
a drugą czarny, jak wulkanów smoła,  
niby wąż morski na fali ogromie!..  
W mroku niebiosów napinam swój łuk,  
by gwiazdy strącić strzałą Fantazmatu,  
nakładam łańcuch śmierci i trzymam wśród sług,  
te, co mi krzyżem chce zagasić czar sabatu.  
Mamuta zgięty u nóg moich kark.  
Ja depcę księgi święte Purana Bhagawatu:  
Idę wciąż wyżej pośród gwiazdnych ark –  
wszystkie znam kręgi świata, jak mag z Ziguratu –  
tysiąc mam wkoło żon i dwoje ciemnych warg,  
wieszczących na Sąd Śmierci – Ginącemu światu!

Wiedza Miłości – nie uczy Umierać...  
wiedza rozkoszy – nie uczy wyrzeczeń...  
wiedza trucizny nie daje wyleczeń,  
i wiedza Diabła – nie da nieb rozwierać...  
By nie powstały łądy koralowe  
nowych wiar we mnie – idę w Mszy żałobnej  
nad pusty księżyc... w czeluście grobowe,  
gdzie Mrok obłądny widmami zasobny...

Księżyc bezdomny w głuchej melancholii  
rozświeca głębię łzawą Oceanu –  
na mgnienie bań mi stworzy wieszczka Paribanu –  
tonę... Aż na dnie w zielsku lawaroli,  
znajduję kącik... Tam bóg Mroków i Miłości,  
kryję swój wstyd, swą rozpacz... że świata zniweczyć nie mogę!..  
A coraz głębsze kryją mnie ciemności,  
i tylko wulkan słyszy mą obłądną trwozę.

~~~~~  
Jesteś podobna do posągu greckiej kapłanki z Dodony,
która w szumie dębów wysłuchiwała kantat przeznaczenia.
Jak hieratyczny głaz, który upadł z nieba
i ożywiony przez Prometeusza, błysnął tęcz skrzydłami –
tak zesłaś do mej groty, do mego piekła, nie znanego Grekom,
do mego Niflhajmru, którego nie widziały oczy żadnego z wikingów.

Majestatyczna, wiedząca, ofiarna, jakby Piramida światel
nad morzem nieugiętej woli, dążącej w bezkresy –
ty w mej grocie stałaś...
Kłębiły się wiry mrocznych nieutulonych chmur gniewu,
bezkresne morze faluje zniweczenia...
Wstąpiłaś w piekło skrzydeł, pogrążonych w lawie,
zgniecionych odłamami niezmiernych skał i mroźnych gleczerów...
Ponad zawrotną falą lecących w dół wodospadów
mnie ujrzałaś, kiedym pił z wód śmierci, zmęczony tym biegiem w otchłaniach.
Morze uderza wśród kolumn tysięcy pradawnych bazaltów,
grzmiąc nawałnicą fal, w krzyku tonących i łamanej harfy –
ty zapaliłaś wśród huku obrywających się mostów rubinową lampę –
i płomień uderzył w mą pierś, zgniecioną przez tysiącwiekowe góry –
które widziały nad ziemią jeszcze drugi księżyc...
Wyciągnęłaś swe ręce – jakby krucyfiks w bezdrożu,
wskazując mi wyjście tam – w głębi przepastnych wąwozów,
gdzie kwitną jabłonie, w lesie żywicznych drzew, gdzie żyją syleny...
Lecz bym nie ujął to za marność żądz –
twe oczy kościołami stały się głębiny nieba,
które w niezmiernej wszechwiedzy uśmiechnęło się nad wszystkim...
W nagłym obłędzie gniewu, myśląc, żeś tylko Złudzeniem –
nie Matką Bożą pod krzyżem, idącą szukać, których Bóg opuścił
i których udziałem – Nicość... stałem się Demonem,
lejącym na skrzydłach wampira – wrogim życiu bardziej, niż Era lodowców!
Bo czym jest Życie, gdy nie ma Wolności –
iść ponad przełęcz Losu i rozświecać groby?!
i czym jest Miłość, gdy nie ma możliwości
wypłynąć Okrętem na spotkanie Boga?!...
W mroku mnie zawołałaś, jam zahuczał: Kłamiesz!
wzrwałem nad Tobą nawałnicę mroczną,
mówiąc: Ciebie nie ma! Ty odrzekłaś: Jestem!
Była to odpowiedź kłószącej niwy życia mej otchłani grobów.
O nieprzemieniona, tysiąckrotnie moja!
Miłości, ty w śniącym rozjaśniona ogniu, lampą w mej ręce się stałaś,
skrzydlatym jutrzni płomieniem... Przejrzysta, szczęśliwa,
wyrzekłaś to słowo radosne – że Głaz odwalony –
i z Grobu wyjść mogę!
Wiedziesz mnie Bezimiennego wiecznie,
który jestem Twym dzieckiem, smokiem i wielkim krwawym piorunem!
Tu widzę ciemny wirch z możnego marmuru
w sale świątynne ciosany... Widzę w dawnej Atlantydzie
ludzi pierwotne, głębokie natury... widzę Hostię Życia...
Wyszliśmy razem – rozświecić wszystkie padolne niziny...
W każdej garści piasku słyszymy morze, które nam gra swą *Maha-Bharatę*...
w każdym pyle przydrożnym widzimy wędrówkę materii,
w każdym grzechu podłego człowieka, w każdej nędzy głupca –
rozwierasz mi głębieć tęsknot za wyżyną Boga.
Gdybyśmy oczu mieli tyle, co – Argus, lub noc nad Gaurizankarem,
nie starczyłoby ich do ujżenia Mnogości tajemnic –
przeszłych i jeszcze nie zjawionych, lecz wiecznie Obecnych.

Ziemia rozwiera nam Misterium Człowieczeństwa.
Nie znam godniejszego wśród nich, niż Ty jesteś – Moja!
Tyś hieroglifem wiary, Tyś bramą archanielskich przeczuć,
Ty wyprowadzasz nad morze z Zamku sino-bładej Śmierci.
Przez Ciebie poznać mogę wolność Woli i gwiezdność wszystkiego,
co musi tu umierać!...

Idziemy wciąż dalej, wciąż wyżej –
i gdyby nie to wielkie w swym bezgrzechu uśmiechnięte niebo,
kto wie? może dwa klasztory wzniosłbym wśród niezmiernych pustyń.
Wiem, kto jest Bóg, i znam wieczność, gdyż jesteśmy sobą.
Nad morzem twórczym idziemy wśród wniebowziętych zadumań,
tu słowik łka, jarzą luczjole i wielka w bezkres samotnia
nie mówi już o kręgach Danta, pustych i straszliwych niebach,
w których Bóg stał się pustynią Gobi, Chrystus – bramą Błędu.
Z dotknięcia Twojej ręki wyczuwam, że jesteśmy wieczni –
żeś wiosną nad głębiami piekła – Ty wieszczą Beatrix!
Jeżeli taką jesteś? (w co nie wątpię) ani na to mgnienie,
gdy liść upada z drzewa szemrzącej topoli o pniu marmurowym,
jeżeli ja takim zjawiam się przy Tobie: Prometeicznie tworzącym –
cóż mogłaś dokonać większego, budząc prawdę Mitu!
Utworzę nową ziemię, nowe prawa i nowe niebiosy.
W żagle me natchnę Wichru, którym znów płynąć będą mędrcy i narody.
Bądź mi błogosławione łono Twojej wszechmożnej Duszy,
która w ukryciu szat prostych wieszczącej kapłanki
lampą Wiedzy zapala stan modlitewny w moim duchu buntownym
i nie przeraża się skrzydeł straszliwych, lecz daje im bezmiar Eteru!

HYMN BANITY

Idę wciąż nocą i nocą –
nade mną skrzydła łopocą...
Nie widzę kraju własnego,
nie widzę moich ziomeków –
jedynie czarne chóry,
co zwodzą głupich Tomków...
Nad ziemi kres ponury
idę, gdzie wyje Ocean –
wiążą mnie wieczne mury,
a śpiewa we mnie Pean!
Na koń! wrywam się z cieśni –
chcę złych słów, złowrogiej pieśni –
nie bardem być, nie Pelikanem,
który rozdziera swe łono –
ale czarnym Oceanem,
co pieśń nuci niezgłębioną
i gwiazdom otwiera swe łono!
Na koń! – Ty płomieniące
serce – jak żagiew świeciłoś w noc!...
Zwiodły mię serdeczne moce – –
i teraz Mroki klnące
mnie, sycząc – otaczają!...
W takiej ciemności – niegdyś Suwarow
miał wyróżnać Pragę...
Otchłani mi trzeba i jarów –
zaśpiewam wtedy wam – sage!

.....
Przed Chrystusem Czarnym w rozświetlonej katedrze zebrał się lud na pasterkę... biedne robotnice ze Starego Miasta – których łzy są w wierdze głębokiej studni; starcy, których lice mówi o nędzy, co nieodparta – na koniec się wedrze – i rzuci w rynsztok!

Widziałem powstańca starucha – przed Matką Boską klęczał...

Lampka pełga – on, modląc się, wypił truciznę... Noc wokoło głucha i nikt mu teraz współczuciem już nie łga!...

Modliłem się raz ostatni przed Czarnym krzyżem nie tyle za siebie, ile za lud mrący.

A prawdy mego serca dzwoniły mi śpizem i nad chmurami życia śpiewał grom warczący.

My jesteśmy niebytem, gdyż być nie umiemy.

Polaków nie ma w Polsce, a więc nie ma Bytu.

Bo cóż jest być Polakiem, jakże stać się Sobą?

Siebie trzeba budować od krwawego świtu

do późnej nocy... Ponad mogilną żalobą

idąc – kwitnijmy, choćby w męczarniach rozkwitu.

.....
Nad wodą mroczną, jak zwierciadło Kery,
zielone gotyckie wybujały skrzypy.
Słowik się wzbija w ponadziemne sfery,

a w wodzie pławia swój cień – dęby, lipy;
chmury złowrogie – jak przed Erosem – Antery.

Moje serce banity, moje serce zmęczone,
moje serce, które już nie ma kąta na tej ziemi!
moje serce się śmieje, widząc żaby zdziwione,
patrzące na mnie ślepkami bezmyślnymi,
w tej wodzie, gdzie jad widzę i wężarną Gorgonę!

Moje serce banity... Opuściłem Warszawę,
miasto trupów, gdzie już nadziei zamknięte są zawory,
gdzie grób Relikwii obsiedli; jakby swoją strawę,
tacy – którym warto by na czole wypalić, że – „wory”,
tacy – którzy w piekło dantejskie zmienili nam jawę.

Mnie najsrożej nie szarpia Sybir, ni bagnety!
mnie wstyd, że dziś imię tak niecne Polaków!
mnie wstyd, że samobójstwem kończą te kobiety,
które były wieszczkami świętych płomienistych krzaków, –
i że Jabłoń Życia przegryzły nam lisy i krety.

Mnie wstyd raz pierwszy, odkąd walczę z Losem,
że mi Los ten narzucił imię zgniłego Sarmaty!
Mnie wstyd być na puszczy wołającym głosem –
mnie wstyd oglądać trutniów, jako latarnię oświaty:
wołałbym takie głowy rzucić armatom czy kosom!

Wolę Maciejowicki cmentarz, niż dzisiejszą Warszawę.
Wolę Finis Poloniae z ust mężnego wodza,
niż kłamstwo – żeśmy przetrwali! – kłamstwo złe – kaprawe!
Wolę, by nas miażdżyły Baylen i Custozza,
niż Mamon bękart wznosił swoją Złato-hławę!

Ha! gdzież to wam droga, źródeł zatruwacze,
po Alejach nocą jeżdżący z dziewczkami?!
kiedy wy igracie – więzień w lochu płacze,
kiedy wy zapewnicie, że jest Bóg nad wami –
to kruków chmura nad mogiłą – kracze!

Wy gracze nad mogiłą... o wy pereaci!
czy wam Król-Duch na wieki odmówił swej prawdy,
iż żadnej nie możecie już przybrać postaci –
(wy potomkowie Lecha, Rujwita, Uprawdy) –
jak tę – żeście trupy przypięte do tłustej połaci!

Śpiewali wam Wieszczowie, aż im wyschły płuca!
płynęła krew rubinna z tych, których miecz świadczy –
że runie Zamek, gdy go Duch porzuca!
Dziś – wy ołtarze z relikwii okradłszy,
mówicie: niech warcholstwo po kątach zanuca!

Wy się rozsiedli na złocie, na piórach –
stugębną famą zbroicie pachółków,
ale was nie ma na szczerbionych murach,
które sięgają podniebnych wierzchołków –
wy w kabaretach, przy kpach – i rajfurach!

Cóż wy możecie ludowi wieścić? i co wojownikom?
co Mogile? co dziejom? wy klnący rapsodom!
i co rzekniecie gwiazdom – tym pątnikom,
wy – z błot, nie z Kartagin! z błazeństw – marnych Sodom!
Cóż wy wskażecie w Tatrach orłom – zachmurnikom?

A cóż wy rzekniecie ludziom fabryk, młota?
kmiociom, którzy lemieszem przeorują ziemię?
cóż wy rzekniecie wrogom, gdy już nie sromota
waszych znędzniałych karków jest użyć za strzemie!
gdy dziś już Żyd chałatny mówi: Polak – to lichota!

Wyjdźmy – na Grunwald! Napoleon trzeci
stał przed Sedanem tak – w białych rękawiczkach!
Niech powtarzają dęby dębom, niechaj echo leci
aż w Tatry – wieszcząc o tych Polaczychkach,
które musi pożreć Płomień, jak trujące śmieci.

Rzucacie się? wy dostojni w teatralnych gestach!
powiecie, że was już zelżył tak ruski minister...
Lecz słowo padło z mych wnętrz – i przebóg! że jest tak!
że zamieniacie dzwon żałobny czy weselność cister
na ilość samochwalby w bezlicznych rejestrach,
– Głupi, głupi – mówił wam król Niemna!
Ciemięgami was nazwał wieszcz *Lilli Wenedy*.
Gromiła was mądrością pieśń Norwida ciemna,
lecz wy tylko pozłotę bierzecie z tej schedy,
jak z Piramidy bogów – czerń licha karczemna.

Mój narodzie! nie na twą dolę rzucam głąz mej kłatwy,
lecz na tę zgraję bezdusznych farsiarzy,
którzy w morzu Twej duszy żerują jak mątwy,
lub jak szczury w świątyniach gryzą wśród ołtarzy –
Welaskezów czy Kingę! piszcząc do Promiennych: skąd Wy?!

Miecz wyorałem na dawnym Grunwaldzie –
wyostrzyłem w mej piersi – i teraz upiosem
wejdę do waszych kamienic – zmroczę was wieczorem
i uczynię stygmat Warn na każdej fałdzie,
aż z Warszawy wskrześnie Troja wraz z złotym Hektorem!

Ruiny pobojuwisk! kolczasty śnie herojów!
o wy, sykania świerszczy, kiedy pęka serce!

wichrze, który tak lecisz, pełen niepokojów,
aby zapłodnić lasy i łąk tych kobierce!
i ty, muzyko leśnych przekryształnych źródeł!

Czemu me serce banity w ziemi piach się wżera?
czemu szukam wśród zmarłych, co śnią pod kurhanem
u sosen nadmorskich – Litwy bohatera,
który runął na Bestię z Polakiem i Chanem,
długie lata się czając, jak płowa pantera!

Żalu, żalu! kto z królewskich orlich ptaków
ma szpon potężny – niech gromem wirch targa
i leci w mądrej wiedzy do zwycięskich znaków!...
miliony robotników wzniosą to imię Polaków!

Druidów ogniem pali się ta wieża!
gdzie serca płaczą tylko po zwycięstwie!
Apokaliptycznego kryjem w sobie zwierza!
By wstać z otchłani, nie dość powstać w męstwie!
Wszystko przetwórzmy – z Nowego Przymierza!

Każde serce niech dzwoni promieniującym czynem,
niech się nie wstydzi legion Nadwiślański trzeci
i Czwartaków kolumny – niech będzie wawrzynem
własna dzielność – nie prawo do łez – wśród wyrodnych dzieci.
Niech Polak będzie Batorym, a nie Possewinem!

Niech pogardza małością, brudem, zaprzędaniem –
niech potrafi umierać, lecz i żyć potrafi!
niech rzeknie sobie: Wstanę! tedy wszyscy – wstaniem!
niech przejrzy pęta podłej złotodajnej Maffii –
niech pracuje uczciwie nad nowym Zaraniem!

Kiedy nie będziem zdradzać każdej męznej warty,
kiedy słowa od czynów nie będzie tchórz grodził
chińskim murem – wtedy powstanie wśród nas Bonaparty!
Lecz długo, Polsko, będziesz się tułała
wśród głuchych ziomków, dmących w orzech pusty –
dużo Wisły upłynie – nim mogilne ciała
poczują dech w sobie – i odrzucą chusty:
kruki nas będą dziobać, i będzie kapała

nam – w tęskne oczy – z wszystkich rynien, dachów –
beźmierna gromnica głupstwa... i lichoty...
Odpędzam czarną myśl – koła wyciągnijmy z piachów –
roztwórzmy bramy w kraj Obiecanej olbrzymiej Roboty!

Witam Cię, Chryste – nad polskim ugorem
moknący w szarudze: żelazną koroną
muisz się koronować na walkę z głupoty Potworem!

Ty – zmieniany przez wszystkie koncylia, jesteś oną
światłością, zakrytą trocinowym worem...

Chryste, bądź Żywym, lub odejdz! nie obrzucaj mrokiem –
my chcemy Słońca żywego, jako Człowiek z krwi!
Przed własnym niech Prometej zgina się wyrokiem,
z własnego trybunału wstaje naród lwi.
Młotem Thora uderzmy w kowadle szerokim –
jak Wisła i Bałtyk, Karpaty i step!
Na brzegach Parany zbudujmy okręta,
przez Himalajów idźmy mroźny żleb – – –
Serca zjednoczy wielka Góra święta,
kochajmy Ziemię i firmament nieb!

Polsko, Polsko! oto ja cię wzywam
w burzę twórczości, aż wyrośniesz na Jabłoń Życiową!...
...Gdziekolwiek jestem, czy morza przebywam,
czy nad Tatrami idę granią Łomnicową –
wszędzie Cię widzę i przyszłą odkrywam!

Lecz umrzyj, lichy zwyrodniały cieniu,
który się mienisz wciąż rzeczywistością!...
zbity z tysiąca gąsienic wleciesz się – ty Pieniu,
zamiast napoić duszę światłem i wolnością!
Świat zbudujemy własny w swym nowym sumieniu,
świat Rytmu z Słońcem, – z Ziemią – i Boskością!

Błyśnie Król Wężów – Słońce ponad mądrym ludem!
przeobrazi nas Król-Duch nowym swoim cudem
i stanie wśród warsztatu, gdzie wszystkie ramiona
steżyły się do czynu i wznoszą bierwiona,
i życia nowego Dom budują Polsce...

ULTIMA THULE *

(Fragmenty)

*Pani Wandzie Popławskiej
w podzięcie w wspaniałe dni
spędzone
w Ultima Thule.*

I MITY

Radosną Cię ujrzałem w cichym, winogradnym domu
wśród kwiatów i drzew, kiedy wieczorność rumiana
przyływa ze stepu... Wśród sosen wiekowych ogromu
wieczorną zorzą płonie lasów tajemnicza ściana
i gołębie latają... Księżyc, hamletując, marzy
nad śniącą rzeką – – a w sennych mgłach śmierć
rozśpiewana.

Na progu Cię ujrzałem świątyni: Madonna – czy też
Kurtyzana?

Twojego serca dzwonią mi pacierze,
jak w katakumbach msze...
Ja tętnię w górach – Centauryczne zwierzę,
co piersią wody prze.

Miuję puszcę Twoich włosów
(złota Demeter!)
i ten wodospad biodr pośród nebiosów
(ty ksieni heter!)
i Twoich ramion upojne węcierze,
i w oczach wieczny Maj –
a że w Materię, jako w ducha wierzę –
więc i na wzgórzu Wenusowym gaj
wzywa mię tak – jako fanfara rycerze!

Kochanków łono dyszące pożarem
niech koi święty blask najgłębszych wód!
Jest w tobie jednej cały harem.
W klasztorze zmysłów wszystek cud!

W Tobie śmiertelna wonność rzymskich Marem!
W Tobie błękitnych wirchów niedostępny lód,
opłomieniony wulkanicznym żarem...

W wielkiej świątyni życia, gdzie modli się szyderstwo,
gdzie uczy nas zbożności Diabeł, gdzie biesiaduję na cmentarzu,
Mędrzy – a rwiemy owoc Złego... Ty jedna jesteś na ołtarzu
posąg Fortuny zwycięskiej! Krwią żywe marmury,
duszą pojone i światłem... Niech stoją tu przy mnie Ahury
i jej śpiewają hymn... A ja z fatumu
mych zmysłów wyrzeźbię lampę dla Twojego tumu!

Wchodzisz? na koniec!!! na koniec rozwarte twe szaty –
i z krzykiem się rzucasz na warg moich struny!...
– – To sen-widmo, znika. Zatrzaśnięte kraty,
został jedynie Magii sad, gdzie błędzą Al-Haruny.

Na wirch samotny idę – Prometej, bezroświaty, [sic]
Straszniejszy tam jest kraj niż Danta, gdyż Raju nie tęczą luny.
Zwołam w mą grotę olbrzymów – i będziem tworzyć z własnej Woli
w pustyni – Duszę Wieczną. Ty życie – odejdz w aureoli!

Odejdź, szczęśliwa z innym! Ty, lub Twoja mara,
na skrzydłach której iskrzą niebiosów lazule,
miłuj mojego druha! we mnie zbyt straszna Niagara,
więc rzucam ją w przepaść głębszą – niż Ultima Thule!
Twardym się staje mój głos, choć mam w sercu ule
pełne bursztynowego miodu. W twoim ręku czara
trucizny czy upojeń? błądzim nad rzeką, ciemni króle,
rządzący przeznaczeniem. Oto mię splomienia wiara,
że jeśli w chmurach się zatopią nasze firmamenty
zostanie Ognia żar. I ja w nim. I ty – mój mrok święty!...

III MGNIE NIE RAJU

Wśród lasu ciemnego księżyc gra na mandolinie
hiszpańską pieśń – Ty idziesz ze mną, o niewiasto złota,
dziwnych łez pełna!... Nad nami las, jak olbrzymia grota,
a my, jak w wodospadzie płynący, kąpiący się w winie!...

.....
Wśród lasu ciemnego księżyc gra na mandolinie.

.....
Kochana!... wydarłaś się z mych objęć, mówiąc, żeś jest cudza,
i że miłujesz innego, który jest przedziwny;
ja wiem – a cichy szept Twój sumienie przebudza
i męczę się, ja – Demon na Górze Oliwnej,
Daremno wszystko czeka: leśne ogromne zacisze
i miłość – jak w jaskini hymn krystalicznego dzwonu,
miłować mi nie wolno! głos jawny w sobie słyszę,
miłować Cię muszę!! mówi mi Furia egonu!
Miłość ma była dotąd, jako Tragedia w sarkofagu,
Ty Afrodyte, zbudziłaś we mnie wiosnę w trumnie
i odtąd żądz mych Morze huczy bezrozumnie,
a jest to – Sen o Szczęściu – w zabłąkanym Magu.
Księżyc zachodzi. – Ty znikłaś. – Mrok leśny nade mną się zwierza.
I słyszę krzyk (mojego serca!), w którym już Wielki Dionizos-Pan umiera!

VII. NA KONIEC TO NAJWYŻSZE

Goreje na kominku żar – my troje w świetlicy.
Mąż opowiada swe dziwne przygody wśród gór lodozwału
i jako Ciebie spotkał; – konając, doszedł do Twojej krynicy
i tu stał się młodzianem wśród nieśmiertelnego szału.
Mroczno w komnacie. My sami. Wybuchło zarzewie,
padają iskry, jak łzy. Wtem zda się – że my sobowtóry,
a nie ma mnie – tylko on z mym sercem idzie w różokrzewie
Twych włosów – i ust naszych splatają się chóry.
I nie ma mnie – a jednak cały tonę w Oceanie
Twojej bezdennej miłości – a kolan Twoich cudne Propileje
czekają na rydwan Zwycięzcy. I śmieję się – wesół niesłuchanie!
Świat we mnie tańczy – i niebo z gwiazdami się śmieje!
I nie wiem już tej nocy, kto był z nas przy Tobie – –
Bezmierna radość – Życie nowe!
Reszta dopowie się w grobie.

„Ultima Thule”, 2 X 1913 roku

TŁUMACZENIA

GLOSA

PIEŚŃ ŚWIĘTEJ TERESY

(Glosy były śpiewane w ten sposób, że po każdej zwrotce następował „tekst”, czyli zasadniczy motyw pieśni. W glosie św. Teresy streszcza się on w ostatnim wierszu stanowiącym kamerton całości. Tłumacz ściśle się trzymał oryginału pod względem formy i treści.)

Tekst

Żyję – nie żyjąc już w sobie –
Na życie tak wzniosłe spojrzam,
Że umieram, bowiem nie umieram.

Glosa

Najświętsze z Bogiem przymierze,
Gdzie łączy miłość wezbrana –
Ściąga do niewoli Pana,
A sercu otwiera zaścieże.
Gdy w sobie Boga zawieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

II

Jakże długie jest to życie,
Jak twarde jego wygnanie,
Jakie więzów doleganie,
W których dusza ma spowicie!
Lecz przyjdzie kajdan rozbicie –
Otuchy takiej nabieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

III

Ach, jakąż byt jest goryczą,
Gdy nie masz w Bogu radości!
Słodkim jest powiew miłości,
Ale tęskno dni się liczą.
Panie, zdejm ze mnie pątniczą
Szatę, którą się ubieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

IV

Jedną nadzieją jam żywa,
Że śmierć użyczy wytchnienia,

Tęsknoty znajdują spełnienia –
Tak mi wiara obiecywa –
Chodź do mnie – ciebie tak wyzieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

V

Zważ, jak jest miłość potężną,
A życie jak uprzykrzone!
Wszak musi być utracone
I zdobyte siłą męzną.
Przybądź, o łaskawa Xiężno –
Z twoich rąk życie odbieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

VI

To życie w górze płynące
Jest wiecznie wiosną zielone,
Tu zaś smutne i zwiędnięte,
I serc naszych nie gojące.
Śmierć ma zwleknięcia szydzące,
Tak długo jej wrót nie otwieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

VII

I cóż mogę ofiarować
Bogu co żyje we mnie?
Chyba siebie – już beze mnie –
By się Nim tylko radować,
Mrąc – pragnę w Nim się pochować,
Jego jedynie wybieram –
Że umieram – bowiem nie umieram.

VIII

Gdy z dala od Ciebie zostaję –
W pustyniach mojego łona
Dusza śmiercią gorszą kona
Niż ta, jakiej dziś doznaję –
Skargi i jęki wydaję,
I Tobie, Panie, doskwieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

IX

Ryba z wody wyciągniona
Nie zbywa się całej pociechy,
Bo cierpiąc śmierci oddechy,

Śmiercią bywa nagrodzona.
Lecz jakaż będzie sławiona
Przy życiu, z którym się ścieram –
Że umieram – bowiem nie umieram.

X

Na chwilę doznaję ulżenia,
Widząc Ciebie w Sakramencie,
Lecz wnet się grażę w zamęcie,
Bo z Tobą nie mam złączenia
I tak mnie trapią cierpienia,
Iż w Tobie się nie zawieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

XI

Kiedy nadzieją się poję
Twoje oblicze oglądać –
Aż mi straszno tego żądać,
Bo Ciebie stracić się boję.
Tak mnie dręczą niepokoje
I taką nadzieją wzbieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

XII

Wybaw z tej śmierci, o Panie,
Ty – który dajesz żywoty:
Oto związane mam loty
Na niezerwalnym arkanie.
Spojrzyj na moje konanie,
Jak się ku Tobie wydzieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

XIII

Oh, w takiej śmierci przebiadać
I życie przepłakać muszę,
Aby oczyścić swą duszę
I okup za winy składać.
Kiedyż Cię będę posiadać?
Gdyż prawdy się nie zapieram,
Że umieram – bowiem nie umieram.

Mewlana Dżelaleddin Rumi

Z PIERWSZEGO DYWANU

DŻELALEDDINA

EI AASZIKAN EL AASZIKAN IMRUZI MA IMU SZUMA

O miłośnicy, miłośnicy! jesteśmy dziś rzućeni, tak jak wy,
w głęboką otchłań, a któż ciemnych pozna jeszcze?
Gdy potop dziejów wezbrany jest falami – przechodzą fale jak wielbłądy –
a mroki morskie się nie troszczą, że ginie w nurtach syn powietrza.
Widzenie me wybucha płomieniami – lecz żyję wciąż w odmiecie fal –
jak ryba dyszeć muszę burzą, lecz moją falą już jest grzech.
Mojżesz, synu Umran – w morzu się zjaw i uderz laską –
(przynosi mi do głowy stare wino wciąż nowe szale i marzenia!)

Jest nam świat jak góra Synaj – tęsknim wciąż jak Mojżesz wzejść na wirchy –
a gdy błysnie żar objawień – kamienista góra pęka w dwoje.
Jeśli chcesz klejnoty widzieć – z nich tu masz łańcuchy gór –
kłąk zieleni, trochę słomy stają się wnet kwiatem tu.
Wina nie chcę – upojony jestem samym dźwiękiem szklanych czar –
winogradniku, o winogradniku – czemu jesteś na mnie zły?
ja uniosłem tobie winne grona – a tyś z głowy mej zasłonę wziął.

CHUISZRA DŻUN CHARİ DIDEM SUI GÜL Bİ GIRICHTEM

Kiedym ujrzał, żem jest cierń – wtem schroniłem się w gęstwinie róży;
kiedym ujrzał, żem jest kwas – wnet zmieszałem się z nektarem trzciny.
Kiedym ujrzał, żem jest jad – prędko wlałem w czarę lek teriaku;
kiedym ujrzał na dnie męt – zaczerpnałem źródeł nieśmiertelnych.
Kiedym ujrzał, żem jest mrok – na Jezusie gwieźdnym wsparłem dłoń mą;
kiedym ujrzał, żem jest grób – otworzyłem bramy wiecznych sadów.

EL CHAKI KEHI PAJET RISEKI FELEKI BUDI

Ty, którego opyloną nogę ogląda Niebo z zawiścią –
w prawiekach dusza ma i twoja były tylko jednym.

W domu malarza chińskiego widziałem cudny obraz,
co z lic aniołów i ludzi zaczerpnął ich duszy i krwawień.

Wiele słów prawdy spoczywa wśród ukryć nocą,
wiele kolumn ognistych zabłysło w mrokach zwątpiałym.

O Szems Tebrizi, w twych barwach słonecznych powstaję –
wprawdzie umarły jestem, lecz tyś mój w krąg śpiewny Ocean.

NEWBEHARA DŽANI MAJI DŽIHANRA TAZE KUN

Wiosną jesteś duszo ma – więc do życia odnów świat –
uczyn łąki znów świeżymi – w zagajnikach róże uczyn nowe.

Mroczy się cmentarny las – żaden słowik tu nie śpiewa –
wiatr od morza przestał dąć – morze, chmury i wiatr wschodu uczyn nowe.

Niech wśród jodeł lilia lśni i wymową srebrną nuci wolność –
kwiaty, pszczoły i motyle niech tu lecą – ty pasieki w lasach uczyn nowe.

Niech zaszumi dębów chór, zakołysz sosny w takt,
i turkawkom z góry Karmel – ich majowe pieśni uczyn nowe.

Z krzewin leśnych dymi pył – rosy białe lśnią w pokorze,
na mogiłach pnie się bluszcz – idź, modlitwy serca uczyn nowe.

Wszak miłości pragną róże, a piorunów ciemne góry –
wieszczu wleć – skrzydła zrzucić – i wyżyny natchnień uczyn nowe.

Już błyskawic słowo grzmi – moschus chmur użyźnia ziemię –
z mrocznych burz ty świętym wstań – nawet niebo w sobie uczyn nowe.

Kwiaty złocą wniebowzięte, księżyc wschodzi ponad toń –
ty w świątyni ponad stawem błędź i milczenia w sobie uczyn nowe.

Piorun bije w nieba dom – i ten huczy jakby dzwon –
ty muzykę wielką bogów – nawet bogi w światłach uczyn nowe.

Tajemnice już zamierzchły – gnije bagno ludzkich dusz –
alchemiku boży wstań – sny młodości zadzumionym uczyn nowe.

Z WTÓREGO DYWANU

DŻELALEDDINA MECHASSIB EL JAR MIHMANDAR IM SZEB

Nie śpij druho nocy tej – tyś jest Duch, a myśmy chorzy –
Nocy tej.
Odpędź z twoich oczu sen – tajemnica się rozwidni –
Nocy tej.
Tyś jest Jowisz na niebiosach – wśród gwiazd krążysz
firmamentu –
Nocy tej.
Nad otchłanie Orła pędź, bohaterem jest twój duch –
Nocy tej.
Prawd lodozwał Cię wydzwignie, zazielenią się ruiny –
Nocy tej.
O, jak cicho – inni śpią – ja i Bóg jesteśmy sami –
Nocy tej.
Jaki szum – szczęście wschodzi – prawda skrzydłem
opromienia –
Nocy tej.
Gdybym przespał aż do ranka – już bym nigdy nie odzyskał
Nocy tej.
Targowiska już ucichły – patrz na rynek gwiazdnych dróg –
Nocy tej.
Lew i Orion – Andromeda – i Merkury krwawo lśni –
Nocy tej.
Wpływ złowieszczy miota Saturn, Wenus płynie w złotym
dżdżu
Nocy tej.
Zamilknięciem więzę język – lecz ja mówię bez języka –
Nocy tej.

MERD CHODA MEST BUD BI SZERAB

Mąż Boży pijany jest bez win –
mąż Boży syty jest bez mięs.

Mąż Boży w wiecznym jest zdumieniu,
mąż Boży trwa bez snu.

Mąż Boży nie jest wiatrów pył,
mąż Boży nie jest mróz ni żar.

Mąż Boży jest w chałupie król,
mąż Boży jest w pustyni skarb.

Mąż Boży jest świątynią posłuszeństwa,
mąż Boży jest grodem dobrych czynów.

Mąż Boży w niewierze jest wierzący,
mąż Boży nie zna cnót ni grzechu.

Mąż Boży jest uczonym w Bogu,
mąż Boży uczonym nie jest ksiąg.

Mąż Boży jest morzem niezmiernym,
mąż Boży dżdżem jest bez nawałnic.

Mąż Boży głęboko jest ukryty –
mój synu! znajdź go, idąc w mroku.

DŽIHAN JABIM WE GHAIRI MA CHLALEST

Znalazłem świat, reszta jest niczym –
tu jest raj – gdzie indziej grzech.

Bądź upewniony, bo posłuszeństwo
poza tę ścieżką wiedzie do zguby

Nic nie ogarnie głębin świata,
gdzie nawet wady są cnotami.

Wszechbyt jest Boga czystym odblaskiem
lecz oko twoje miesza widzenia.

Ze szczytów głupstwa w dal mądrości
przechodzi miłość, znika człowiek.

Dusza zwolniona z pęt omamień –
w niepodobieństwa żyje zamku.

Tam odnajduje biegun świata –
i tak zakańcza spór od wieków.

HER KI RUCHSARI TU BINED BEGÜLISTAN NEREWED

Kto ujrzy Twoje lico, nie tęskni za ogrodem róż;
kto z Ciebie mękę ma – po leki ziół nie idzie.

Kto w mroku twej komnaty przepędzi z Tobą noc –
oglądać tulipany i wasyliski ten nie idzie.

Gdy znalazł Chizer rubin kochanki ust,
do innych źródeł życia po wieczność już nie idzie.

Tonąc w miłości dżdżu, chcę, by mnie zabił grom –
lecz zmarły człowiek mój przed ołtarz już nie idzie.

Mężowi nieprzystojna trwożyć się błysku lanc –
kto trwożnym jest, niech w boju wir nie idzie.

Gdy nie ma nadziei odnaleźć Ciebie w raju –
niechaj miłośnik sam w Edenów mur nie idzie.

Sprzed wieków miłość Boża stygmat wyzegła mi –
tak, że ma dusza już za Tobą w pomrok idzie.

Śpiewałem, Szems Tebrizi, pustyni Twojej hymn:
król magów jest szaleńcem, kiedy za gwiazdą swą nie idzie.

MEN AN RUS BUDEM KI ASUMAN NEBUD

Jam istniał, gdy nieba nie było – i wśród wieczności pyłu
istnienia nie było.
gdy oprócz Druha mego aureoli i Boga znad głębin
nikogo tam nie było.
Imiona są stworzone z mych warg w czasach, gdy nas
i mnie nie było –
i już modliłem się, gdy w łonie Maryi jeszcze Mesjasza
nie było.
Miłując poznałem krzyż i chrześcian, lecz tego, com szukał,
na krzyżu nie było –
w pustelni żyłem wśród klasztoru, gdy jeszcze zakonu
i piekiel tam nie było.
Z wielbłądem szedłem do Kaaby – gdzie również proroka
młodości nie było –
jadąc do Herw i Kandahar marzyłem o tym, czego na świecie
nie było.
Wdzierałem się na górę Kaf, gdy jeszcze Anka widać
nie było –
zapadłem siedem niebiosów w głąb, na siedmiu ziemiach
nieba i gwiazd nie było.
Pytałem u bram losu o miłość mą – i wyrok brzmiał,
że nigdzie jej nie było –
jasnowidzeniem szedłem w dal – lecz oprócz mroków niczego
tam nie było.
W Gehennę serca zapadł wzrok – i tu sprzed wieków
Jego lśnienie było –
zdumiony go ujrzałem, zaiste! choć w Nim atomu jednego
nie było –
i oprócz Szems Tebrizi maga – nikogo w równym
natchnieniu nie było.

ADŽEB AN DILBER GÜDŽA SIBA SZÜD

Powiedz mi, gdzie Piękny jest? Ten wśród burzy górski
cedr – Gdzie on jest?
Kiedy płomień świecy łąka, On beze mnie w nocy sam –
Gdzie on jest?
Straż pytałam miejską w bramach: – Czy z wielbłądem
szedł w pustynię? – Gdzie on jest?
I w winnicy błagam najemników: – Piękny Książę, czy
nie wiedzą, – Gdzie on jest?
W lasy drzew prawiecznych wchodzę. – Mój miłosny
jeleń szukał wody – Gdzie on jest?
O północy wstałam we śnie – i przechodzę wśród upiorów –
Gdzie on jest?
Z moich oczu płynie rzeka – i zapada w morze ciemne –
Gdzie on jest?
gwiazd się pytam i miesiąca - czy On widzi je beze mnie –
Gdzie on jest?
Mędrców pytam i podróżnych – w tłumie ludzkim jego
nie ma – Gdzie on jest?
o, powiedz mi, Szems Tebrizi! Ty, będąc słońcem, wiesz
wszystko – Gdzie on jest?

ID AMED ID AMED WE AN BACHTI SAID AMED

Święto idzie, święto idzie, – szczęście idzie tu!
trąby weź, hymny graj – księżyc idzie tu.

Święto idzie, miłośniku – słyszysz dźwięki sfer?
z najwyższego tronu nieba Zbawca idzie tu.

O pieśniarze, o tancerze szukający nowych gór –
przez otchłanie tej Gehenny zamek szczęścia idzie tu.

Wielu mędrców wszak z podziwu nagle ciemnych stało się,
gdyż nieznany widm korowód z powietrza idzie tu.

Czarnoksiężką mocą poi i w proroków zmienia nas –
ródźką świętą tego Władcy z mogił ziemnych idziem tu.

W korowodzie bohaterskim widm krążących, gwiazdnych dusz –
nieskończona Mleczna Droga – nad otchłaniami idzie tu.

Bądź radosny, tajemniczy. Tajemniczy – wolny bądź –
wsiane jedno ziarno szczęścia – całym zbożem idzie tu.

Wśród milczenia – jako lilie, wśród umartwień jako głąz –
duszę swoją daj wieczności – zamek boży idzie tu.

GEH SAF BUDEM GEHI GHISZ AN NIS CHOSZ

WE IN NIS CHOSZ

Jam lśniący – mgławcy, śnieżny – czarny jak demon:
Dobrem jest tamto i to.
Jutrznia – gryf nocny Simurg – zwierciadło Maga
Salomona:
Dobrem jest tamto i to.
Pył – wichur – morze – wulkan – miłość – gród
nienawiści:
Dobrem jest tamto i to.
Lampa – mogiła – skała – wosk topniejący :
Dobrem jest tamto i to.
Księżyc – mroki – poranek – gromnica ponad
zmierzchem dusz:
Dobrem jest tamto i to:
Wciąż zmieniam barwy, wciąż miejsce – umieram, płynę
i wschodzę:
Dobrem jest tamto i to.
Z grobu mój sztandar i trąba – w niebiosach rozpięty
mój namiot:
Dobrem jest tamto i to.
Człowiek mój zmarłe jest zwierzę, zwierzęta mam
z Diwów – Aniołów:
Dobrem jest tamto i to.
Słuchają mię Hury i Peri – sam jestem wiecznie
w pustyni:
Dobrem jest tamto i to.
Z pokorą serca wyznaję – jam ten, co idzie
wśród mroku:
Dobrem jest tamto i to.
Mówię to z słońcem nad głową: rozjaśnij się – w mrok
zejdziesz znów!
Dobrem jest tamto i to.

MAHI HEFTÜM ASÜMANEM ËI PÜSSER BIDAR BASZ

Jam księżyc raju siódmego – jam lampa najwyższego
tronu –
Czuwaj Młodzianie!
Dusza ma błądzi w labiryntach, z mroków i jaśni ja
mękę mam –
Czuwaj Młodzianie!
Rozjarzam wam mój żar rubinów – ja trwam, a otom
już przeminął w wieki –
Czuwaj Młodzianie!
Jam katarakta wód duchowych – i odźwierciadlam
Ziemię niepowrotnie –
Czuwaj Młodzianie!
Wróg mię oblega czarnym obozem – ja lampy świecę
z miłości baszt –
Czuwaj Młodzianie!
Miłość rozwiera bramy niebiosów – a jam zamkniętych
wieżyc Muezzin –
Czuwaj Młodzianie!
Księżyc pustka mym ołtarzem – woń jego snów ogrodem
moim –
Czuwaj Młodzianie!
Mówiłem ci jak upiór w błysku milczeń: nic jaśniejszego
nie masz nad ten mrok mój –
Czuwaj Młodzianie!

DANI SIMÁA DŽI BUD SAUT BELI SZÜNIDEN

UWAGA. Mistyczny taniec, czyli korowód (simáa), w którym derwisze obracają się każdy dokoła siedzącego spokojnie szejcha, – uzmysławia taniec mistyczny gwiazd, podczas gdy towarzyszący flet wyobraża muzykę sfer.

Ten mistyczny taniec znany był już Grekom, jak o tym świadczy napis na grobie pewnego, w samotrackie misteria wtajemniczonego, młodziana. Szejch pośrodku wyobraża Słońce lub wyższy jeszcze ośrodek systemu gwiazdowego. Muzyka nie jest oszołamiająca i dzika – raczej smutna i łagodna, która przez jęki fletu wyraża skargę stworzenia oddzielonego od Twórcy, kropli od morza, energii świetlnej od słońca.

Nucone przy tym wiersze tchną najczystsza miłością i nauką sofich, która świat ukazuje jako niebyt, zjawisko, a Boga jako jedyne istnienie, do którego pielgrzym dochodzi tylko przez najwyższe wyrzeczenie się i ofiarę.

Wiecie, czym są korowody? to w pradali i przedbycie
w zgromadzeniu cieniów wyrzec: tak! za dusz miliony.

Wiecie, czym są korowody? zniszczyć siebie, tworząc Boga,
i do raj u sięgnąć, co nie minie, wśród niebytu.

Wiecie, czym są korowody? na drodze miłości
toczące się serce od bramy wiecznej do bramy.

Wiecie, czym są korowody? walką dusz olbrzymią,
gdzie myśl jak ptak krąży w ulewie krwi własnej.

Wiecie, czym są korowody? obłąd patriarchy,
który Józefa gźło niósł po drabinie z niebiosów,

Wiecie, czym są korowody? kwitnący kaduk Mojżesza,
którym niszczył on magię Faraona bytu.

Wiecie, czym są korowody? bożą tajemnicą,
która bez dróg prowadzi po górach pustyni do Boga.

Wiecie, czym są korowody? jako Szems Tebrizi
widzieć raj oczyma duszy z najgłębszej otchłani.

BIA-BIA-KI TUJI DŹANI DŹANI SIMÁA

O przyjdź, przyjdź! Ty jesteś duszą, duszą korowodu,
o przyjdź. Ty jesteś cedrem w wielkim lesie korowodu.

O przyjdź, gdyż nie był nikt jak Ty i nie będzie nigdy,
o przyjdź, gdyż równego Tobie nie ujrzy oko korowodu.

O przyjdź, słoneczne źródło bije w Twoich mrokach,
tysiąc jutrzeń tańczy rozświt korowodu.

Tysiącem hymnów mówi Tobie harfa korowodu,
ja tylko słowo powiem milczeń korowodu.

Po górach labiryntu idziesz z nieznanego świata,
gdyż ponad śmierć i nad życie jest mrok korowodu.

Wzniesionym jest wysoko gmach siódmego nieba,
lecz ponad gwiazd krużganki jest wschód korowodu.

Słoneczny pył, gdy nasycony blaskiem jest promienia,
zaczyna drgać milczących głębin tańcem korowodu

O przyjdź! tu jest miłości wulkan, przyjdź, o Szems Tebrizi!
zostanie ciemnym, kto w raj nie wstąpi światła korowodu.

SERI BER AR KI MA BAREWIM BE SERI ISZK

Głowę wznies – my chodzimy po szczytach miłości –
jedno mgnienie iść będziemy w błękitach miłości.

Śmierć mówiła do mnie o wiecznej miłości –
o winie bożym, które topi śmierć falą miłości.

Łańcuch bytu ja zerwałem wszechmocą miłości,
w święto mroków urodziła mię matka: Duch miłości.

O, zapytaj miłość, jak by ujść miłości – !
bój – do światów aż zgaszenia – jest życie miłości.

Pojawiają się widma na niwach miłości –
od ich cieni diamentowych lśni zorza miłości.

Ciało swoje daj jak złoto męczarniom miłości –
złoto pył jest, gdy nie zużyć na zasiew miłości.

Powiem ci, dlaczego Morze ciemnościami bluzga?
gdyż je mocą swą potworną mży księżyc miłości.

I dlaczego z ziemi lepił Demiurg hurysy?
gdyż jest ambrawą przepojona tchnień słońca miłości.

I dlaczego niebo wiecznie po otchłaniach krąży?
magnetyczny sen je uwiódł gwiazdzistej miłości.

Powiem ci, dlaczego wodę ten wiatr miesza w wiry?
gdyż głębinę chce zamienić w stuliście miłości,

I dlaczego mrok wieczorny zwiesza nad ziemią zasłony?
by ofiary miłujące skrył namiot – bezbrzeże miłości.

Tajemnicę wam rozgłaszam sfer, planet, żywiołów,
gdyż straciłem już moc moją w turniejach miłości!

DŹI KARISTAN KI DARI ENDER IN DIL

Jakąż pracownię nosisz w sercu?
jakie bożyszczce lśni w twym sercu?

Nadeszła wiosna, czas zasiewu –
któż wie, co ty urodzisz w sercu?

Zasłona kryje świat zewnętrzny,
lecz nam rozchyła magię w sercu.

Tułacz swe nogi wsparł na kałuży,
lecz jego wirch bez chmur jest w sercu.

Gdyby nie było marzeń nad ziemią,
nie lśniłby wówczas księżyc w sercu.

I gdyby nie był los mój władztwem Króla –
nie miałby Bóg zamczyska w sercu.

Jest to mityczna niezbrodzona puszcza,
gdzie łów szatanów odbywa się w sercu.

Tu morze myśli bije fal głębiami,
fosforescencje i Lewiatan w sercu.

Zamilknę, gdyż myśl nie znurkuje moja
tych krajobrazów w moim własnym sercu.

ËL AASZIKAN ËL AASZIKAN ES AALEM BI DŽAN AMEDEM

Miłośnicy, miłośnicy! przyszedłem ze świata dusz –
duszo, ugnij się – ja szukam kochanka mojego.

Rozsądni, rozsądni – gdzież ja zabłądziłem?
o, nie pytajcie mnie, gdyż nie przychodzę z pamięcią.

Wiedzący, wiedzący – gdzie blask tajemnicy?
wiedzącym jestem ja, gdyż zna mnie Ten, co wie.

Wędrowcy, wędrowcy – goniąc moją gwiazdę,
padam i wstaję znów, w ciężarze mych skrzydeł nadchodzę.

Oczyszczeni, oczyszczeni! ogień uczynił mię
jak eter lekkim – wlatam przez bramy serc.

Wino darzący, darzący! zabierzcie ode mnie to wino,
gdyż jako Żar Ptak jestem zakochany w Mroku.

Bliźni moi, bliźni! oh, odejdźcie precz!
jestem stygmat bólu w otchłani Wiecznego.

Magowie, magowie! patrzcie, że idę na Wschód –
i taro nad duszami rozbłyskam księżycem mej Wiedzy.

MEN BENDËI SULTANEM SULTANI DŽIHANBANEM

Jam rab jest Padyszacha, jam wiata Padyszach –
odkąd ujrzałem blask, idę zdumiony i błędę.

To mówię jak papuga, to śpiewam jak Żar Ptak,
jestem nadczłowiek i zwierzę najniższe wśród morza.

Jam duch, jam cisza, jam nawałnic grom –
Archanioł słońca, mitycznego króla syn.

Jam raj – i piekiel czarownice wraz –
jam lśnienie boskie – wszechludzkości grzech.

Jam góra i doliny – gwiazda, moczar zły –
jam budowniczy sfer, żywiołu ślepy gniew.

Ja tworzę ranny świt, zagaszam słońce –
jestem zewnątrz zjawisk, i zjawisk tajna jaźń.

Jam światło magów wiodące wielbłądy i króle –
ja z planet zmarłych tworzę życia hymn.

W milczeniu noszę wiar ognistą tarczę –
jam wschód zwątpienia, jam hydry tysiąc głów.

Ja prawdę znam – i wśród jej kolumn błędę –
ja mrok, rosienie gwiazd, jam cmentarz – grobów pył.

Jam wiekuistnie sam i nigdy znaleźć się nie mogę –
jam dawno zmarły – tu, jam nagi – w masce.

Ja nie wiem – lecz mój Duch jest mędrcom – ze mnie –
jam tułacz i Mekki chram – jam Szatan – król Salomon.

Jam żył wraz z Noem, zamknąłem się w Korabiu –
i jam potopem dździył – tonąłem w burzy.

Jam miłość – kochanek mroku, upojony tajnią –
jam ziemia obiecana – mrący w pustyni lud.

Ja walczę – i poddaję się w moment tryumfu –
jam Faraona wróg – lecz i Mojżesza.

Ja Mag i żebrak, rana i strzała w niej –
rzucam się sam w otchłanie, i wyjść już z nich nie wydołam.

Jam w lesie, gdzie są święci – i Chrystus w lupanarze –
dźwigam okowy zła – ja Prometeusz!

Jam światłość mroków, skrzydła mam ćmy – spalone,
jam sieć – i pająk – i muszka – i męczarnie.

Jam Samum, Morze Martwe – blask i mrok w pustyni –
jam potępieniec, Czart – jasnowidzący w piekle.

Jam król haremów i żebrak w noc wichrową –
ja zmarła wieczność, co siebie już poznała – –

nie było mnie, nie będzie nigdy – –

jestem Twórcą.

HU SENEM BER KUDZIAM HER SZEB SI DIL HU SENEM

Do nieba wołam każdą noc – ze serca: Hu!
wieczności Boga pełen krzyczę: Ja Hu! Men Hu!

Każdego ranka jutrznia – w nocy księżyc wschodzi tu –
do słońca, ziemi śpiącej i księżycyca wzywam: Ja Hu! Ja Hu!

Na najdrobniejszej z roś zakwita promień Tajemnicy –
ja grucham jak turkawka w lesie – grru!

Gdy w sercu Bóg – jest więc Bóg ze mną – jam w Bogu;
Boga ujrzę, gdy wejdę do wiecznego snu.

Ponad nicości wodami tworzy mię wiecznie Bóg –
On się odzywa we mnie: Jam jest, Jestem: Ja Hu! Men Hu!

W mej duszy mam wyryte złotem imię Boże –
jam pieniądz Boga i dźwięczę wam: Ja Hu!

Za Szems Tebrizi kto idzie, choć ciemny jest jak księżyc,
rozświeci noc – otchłanie mroków blaskiem tym: Ja Hu! Ja Hu!

ËI AASZIKAN ËL AASZIKAN MEN AASZIKI DIRINE EM

O miłośnicy, miłośnicy, miłuję długo –
chóry zbawionych, błogosławieni – miłuję długo!

Nie było raju ni Adama – nie było wieków:
istniałem już – ja smok ogniowy – miłuję długo.

Tworzyłem się lat siedemkroć tysięcy –
żyłem w pralaszach, idąc w dal: miłuję długo.

Gdy żar komety wśród ciemności mknął –
nie istniał nikt prócz moich snów – – miłuję długo.

W noc przeznaczenia, gdy duchy rzekły: tak!
ja byłem pierwszym świadkiem ich – miłuję długo.

Jam przeżył dzieje Zedy i Koranu, mnie
zmartwychwznosił Jezus Pan: miłuję długo.

Nim Mohammed otchłanie zmierzył koniem –
jam zeszedł już z siódmego raju gór: miłuję długo.

Wy, co na skrzydłach swych dźwigacie tron –
podnieście wyżej go, o, cherubimy! miłuję długo.

Więc, śmierci, wyznaj, że nadszedł już Majestat,
co ukrzyżuje mnie na tchnieniu gwiazd: miłuję długo.

Wodzem upiorów idę przez bór życia –
i wchodzę na ścieżynę prawd: miłuję długo

Matki cztery mam –ojców dziewięć mam –
przeznaczenia księgi tworzę – duch: miłuję długo.

Powiedz Tebrizemu, że przyszedł Greczyn –
i mówi jak Mewlana wiekom w śmiech: miłuję długo.

O miłośnicy, miłośnicy! któż jest Szems Tebrizi?
on światłem, co w proroku błyska w dal: miłuję długo.

AMED BEHAR ĘI DOSTAN MENSIL SUI BOSTAN KÜNİM

Wiosna jest – idźcie, przyjaciele, do sadu –
wy obcy rajom – wnknijcie do wnętrza tych wrót.

Chcemy dziś latać, jak pszczoły wśród róż i akacyj –
będziemy budować nasz pałac z wielu komórek jak ul.

Tu huczy grzmot: nie grajcie już więcej w ukryciu –
niech pękną trąby z nadmiernych symfonij miłości.

Niebo chmurzące tu krąży – obłąkani – jam król wasz –
przynoszę duszę mą w ofierze dziś miłującym.

Łańcuchy rwać! niech każdy w kuźni olbrzymiej
wykuwa słońce nad światem w ognjach zadumy.

My żary serca rozdmiemy miechem w wulkany –
i wszystkich mędrców świata weźmy za czeladź do kuźni.

My rzucim ziemię w otchłanie, w nowe niebiosa
zwrócimy biegun świata: zenit nadirem.

W milczącej sumie mądrości stworzymy owo Jedyne,
któremu służyć będziemy, nad gwiazdy krążąc wśród Duszy.

ISZKA TÜRA KAZI BEREM KI ESZK SICHEM HEMDŽU SANEM

Miłości, uklękam przed Tobą i płaczę w mroku jak bożki –
idę z pustyni bezbrzeżnej, gdzie tylko są raje męczarni.

Miłości, mityczny posągu! Ja jestem Tobą, Ty we Mnie –
wodospad, groza niewiadoma, Ty świt i strącenie do piekieł.

Ty jesteś wymowa fantazji, a w życiu milczenie –
Ty – bezrozumna, uparta, ślepa i nie wierząca!

Władczyni królów, która tronujesz na gwiazdach duchowych,
bez śladu na powierzchni, wulkan w głębinie.

Ty wszystko w niczym! magowie ci służą wszechmocni,
gdyż ich uwalniasz od zgonu, jak rój meteorów.

Tyś kwiatem róży – wampirem, górą i chmur błyskawicą –
obrazie tysiąc-zmienny jednego pędzla.

Kto się zbliży do Ciebie – duszę oddaje za Ciebie –
w męce powiadam: idź precz! – lecz zostań! mówię w pokorze.

Nocą w mym uwielbieniu wzlatam na skrzydłach aniołów –
w południe chciałby mój gniew karać to słońce piekłami.

Wszechświat jest w Twojej niewoli – nie wspomnę mrocznych przywidzeń –
które nisko w Twej głębi płyną, rozpiąwszy sztandary.

Za każdym tchnieniem serca nowe przybliży się widmo –
a dusza przed nim drży, jak w starym zamczysku pacholę.

Zamilknę, aby świat zmarły nic powstał z mogił milczenia –
w raz inny powiem nie mniej – lecz więcej też nie wypowiem.

MA TADŹI SERIFRASI HEME CHALKI CHUDAIM

Jesteśmy aureolą nad narodem Bożym –
myśmy księżęta są światów i pustyń.

My boży świt, w którym sam płomień zagasa,
my źródło życia mroczne, wyjące w otchłani.

Jesteśmy – nas nie ma – i będąc, jesteśmy nie sobą!
my wędrownicy – skarb – droga i karczma rozstajna.

W świętym niebycie tworzymy, mrać – musimy przetrwać –
królować nad nicością – w mrokach męcząc – kochać.

JA REBB DŹI JAR DAREM SZIRI SZIKAR DAREM

O Panie, jakiego lwa, jakiegoż druha mam!
w mej piersi on poluje na tysiąc orłów.

Gdy uciekałem raz, ścigany falą miłości,
słyszałem krzyk: nie ujdiesz przed spełnieniem losu.

Księżycy pytałem w mroku o mój księżyc –
rzekł mi: ja przed nim zakryłem się chmurą tęsknoty.

Złocił się świt i weszło słońce krwawe, –
nagle ujrzałem w nim ranę z jego strzały.

Zaszumiał wicher i gnał jak pogoń piekła w pustynie
i leciał za nim jęk: zaklęte mam serce od czarów.

W morzu odbijał się wulkan – i tworzył razem to widmo
z lodowych brył, nieugaszalne ogniem – : myśl szatana!

Milcz, nieme serce z wyciętym na wieki językiem –
– Chcę to napisać! – mówi. – I wstyd mi za me serce.

I cóż ja ujrzę w żywiołach? żyjąc w zamku bożym
i po winnicach błędząc, z mroków piję wino.

DER DŽIHAN GISI AASZIKI MEST 'EI MUSULMANAN MENEM

O ludzie wschodni! miłością upojony w tym wszechświecie jestem,
poganin i wierzący – pijany życiem mnich – jam jest!

Jam nieba tron od pyłu aż do Plejad,
pomyśl: od wstrętu do rozkoszy drabiną tą jam jest.

Mahomet na dwa strzały z łuku stał od tronu Boga –
jam boży tron – pra-słowo Jana, Wedy i psalm – jam jest!

Jam fetysz gwiazd, Golgoty krzyż – Baal i Dagon –
jam czarny aerolit – i, gdzie ofiary się zarzyna, chram – jam jest.

Na siedemdziesiąt sekt i dwie dzieli się gałąź wiary –
lecz jeden pień – wierzącym co trwa u drzewa stóp – jam jest.

Zrozumiej ogień, powietrze, wodę, ziemię –
wodą, powietrzem, ziemią, ogniem – i nadto coś – jam jest.

Jam kłamstwo przybite na krzyżu wiar, jam ciężar ziemi,
jam zło przeklęte – idący wśród wyzwoleń duch – jam jest,

Z najgłębszych piekła zim – najwyższy żar płomienia,
raj nie wyśnionych snów, niszczyciel gwiazd – jam jest.

Na ziemi tułam się, z chmur skrzydła wlokę w otchłani –
człowieczy ból, aniołów hymn, szatana myśl: jam jest.

Jam nieświadomy – i znany tylko mnie – o, skończ męczarnie!
gdziekolwiek idę – jestem duszą. – Przemienie świat: jam jest.

EGERET MURAD BASZED KI NEMIRI WE BIMÄNI

Gdy nie chcesz umrzeć – lecz trwać chcesz: zerwij ze świata ludem,
wyrzeknij się ciała, i duszy, i serca wyrzeknij się z trudem.

Wyrzeknij się wiary, niewiary, zemst i umiłowań –
nie patrz na gwiazdy, co płyną wśród żalob i pochowań.

Wyrzeknij się miłości i twego istnienia –
swą pierśią nie oddychaj, lecz żyj z Mrocznego tchnienia.

Gdy siemię róży zamiera w cmentarnej pustce ziemi –
powstaje z tej nicości kwiatami krwi wonnemi.

I kłos ryżowy wschodzi, niosąc swe ziarna w dani
ptakom i ludziom i niebu i czarnej bagnistej otchłani.

Fakirze! jeżeli Jażni jesteś miłośnikiem,
zapomnij o mnie – idź w dale, nie pomnąc o nikim!

ALFABETYCZNY WYKAZ UTWORÓW

Ach, w modrzewiowym dworze...

A gdym buchnął krwawicą z ust...

Akwarele

Ama

Anamnezis

Ananke

Auto-da-fe

Baśń

Bądź zdrowa!

Białe róże krwi

Bitwa nad Jalu

Błękitnym echem letniej żarzy...

Bojan

Czarne xięstwo

Dałeś nam, Mroku, mieczów siedem...

Dni moje...

*Do nieba wołam * ...*

Dotknięciem wróżki mchy szmaragdowe...

Droga mleczna

Droga od Kezmarku

Duch mój zamieszkał wyludnione miasta...

Dusza w czyścicu...

Echo Hejnału

Fioletowe góry...

*Gdy nie chcesz umrzeć... **

Glosa. Pieśń świętej Teresy*

Głębiny duch

*Głowę wznies... **

Hej, z maurytańskich śpiewnych sal...

Hiacynty wystrzeliły nad grobem Jezusa...

Hymn Banity

Hymn do wschodzącej Jutrzenki

Idziesz tu ze mną w zamarłe pustynie...

Inferno

Izis

Jadowite węże pełzną po stepach...

*Jakąż pracownię nosisz w sercu...**
Jaki lekki – zwinny...
Jak zwiędłe liście...
Jam ciemny jest wśród wichrów płomień boży...
*Jam istniał...**
*Jam księżyc raju siódmego...**
*Jam lśniący – mgławcy...**
*Jam rab jest Padyszacha...**
Jan z Lejdy (1535)
Ja trwam nad wieczność...
Jesienne lasy poczerwienione...
*Jesteśmy aureolą...**
Jest serca kraj na modrej morza fali...
Już świt... Purpury są na niebie...

Kain
Kallypso
Kiedy Cię moje oplotą sny...
*Kiedym ujrzał, zem jest cierń...**
Kiedy odejdę w dal...
Kiedy w rajskim dziwnym śnie...
Kiście wonnych kwiatów lila...
Kochankowie bogów
Kolosseum
Korsarz
Król w Osjaku
Księżycu! przy ołtarzu chmur... (obecnie część utworu: O, jakież idą srebrne chmury...)
Księżyc wschodzący krwawo ponad misą stepu...
Kto jestem? wie tylko ten...
*Kto ujrzy Twoje lico...**
Kwiat purpurowy...

Lamentacje
Lecę wśród złotych pszenic...
Lucifer

Łazarze
Łez! łez mej piersi...

Madonna Dolorosa
Magia mej duszy niechaj Cię wywoła...
Mam serce popękane jak wulkan w płomieniu...
Marola
*Mąż boży pijany jest bez win...**
Meduza
Melancholia
– *Miesięczna wielka mogiła...*
Migocą złote pomarańcze...
Miłości i melancholii świątynia

*Miłości, uklękam przed Tobą...**
*Miłośnicy, miłośnicy! przyszedłem...**
Minotaur
Modlitw
Moja tęsknota...
Morietur stella
Mój duch łańcuchem skuty do ziemi...
Msza konających
Msza żałobna

Nade mną leci w szafir morza...
Na Hali Miętusiej
Na księżycu czarnym wiszę...
Na maszcie moim Wega się żarzy...
Na szafirowej snów głębinie...
Natchnienie
Newady śnieżne zimne szczyty...
*Nie śpij druhu nocy tej...**
Noc – kryształ czarny...
Noc majowa
Noc mi rzuciła swą czarną zasłonę...
Noc św. Jana
– *Nocy czarna, która idziesz, nad wodami...*
Nokturn
Nuży mię ta sina dal...

Ogień
O, jakież idą srebrne chmury...
*O ludzie wschodni!...**
*O miłośnicy, miłośnicy! jesteśmy dziś rzućeni...**
*O miłośnicy, o miłośnicy, miłuję długo...**
O nocy cicha, nocy błękitna...
*O Panie, jakiego lwa...**
*O przyjdź, przyjdź...**
Orland szalony
Oto mej duszy świątynia...

Palmy
Płyną ciche, srebrne lzy...
Pną się we mnie czarne kwiaty...
Poją mnie wrzosa, paprocie miedziane...
Ponad głębiami czarnych wód...
Pośród nocy miesięcznej...
Pośród stepów i wydm...
Powiało na mnie morze snów...
*Powiedz mi, gdzie Piękny jest?...**
Przed burzą
Przy grobie don Juana Tenorio
Przy Skale Pisanej

Quemadero

Reinkarnacja
Resurrecturi
Różany obłok
Róże – mimozy...
Rycz burzo!...

Samobójca
Santa Hermandad
Sen
Sen mi się jakiś ciemny przypomina...
Serenada
Skargi*
Skrzydła gryfów pokłębione...
Stanąć tak nad morzem...
Stoi kamień na kamieniu...
Strach
Stryga
Stygmaty św. Franciszka

*Święto idzie...**

Tak jestem smętny, jak kurhan na stepie...
Tak jestem szczęśliwy, jak Chrystus nad krzyżem...
Tak mi jest cudnie tu!
Tak mi Ojczyzny mojej żal...
Templariusz
Trismegista
Tu znamiona światów... (Krzyż)
*Ty, którego opyloną nogę...**
Tyle dzwonnicy kwiatów lila...

Ultima Thule (fragmenty)
Umarły świat

Wampir
Wiatr halny. Poemat
Widma
Widmo przy Morskim Oku
*Wiecie, czym są korowody...**
Wieczni wędrowce
Wilia
*Wiosna jest...**
*Wiosną jesteś duszo ma...**
Witeź Włast
W Kościeliskiej
W mym sercu baśni o jutrzence...
Wodne lilie

*Wśród czarnych mórz...
Wśród traw...
W wąwozie Smoczej Jamy
Wyspa Gorgon
Wyszła mi z boru...
W zaczarowanym lesie, pełnym jaśni...*

*Zachodzi słońce z mego ogrodu...
Zahuczał wicher...
Zamek duszy
Zawierucha
Znalazłem świat...*
Zobaczyłem mego ojca we śnie...
Z wyżyn spoglądam na leśne obszary...*

Żywiłem, moim huragany wód...

